

# Conan z Cimmerii

Howard Robert



calibre 0.9.27

ROBERT E. HOWARD

CONAN Z CIMMERII

(WYBÓR: ANDRZEJ ZIEMBICKI)

SCAN-DAL

OD WYDAWCY

Znana czytelnikowi polskiemu z książek Tolkiena i Ursuli Le Guin odmiana baśni współczesnej zwana fantasy jest dziś na świecie równie popularna jak science fiction, a ma bodaj czy nie większą zdolność ewolucji, o czym świadczą utwory autorki Czarnoksiężnika z Archipelagu, a także Tanith Lee, Petera Beagle'a i innych. Fakty te skłaniają nas do podjęcia próby ukazania fantasy w jej zwartym, ale reprezentatywnym kanonie - od Haggarda i Morrisa po Leibera i Andersona. Gwoli kompletności owego kanonu zaczynamy nie od tego, co najlepsze, lecz od tego, co najpopularniejsze.

Niewątpliwie najpopularniejszy zaś jest podgatunek zwany heroic fantasy („fantazja heroiczna”), a w nim - historie o Conanie spisywane pół wieku temu przez Roberta E. Howarda i kontynuowane przez wielu pisarzy po dziś dzień. Książki te osiągają milionowe nakłady; powstają liczne adaptacje komiksowe, a ostatnio - filmowe. Z trzydziestu tomów rozmaitych „Conanów” wybraliśmy osiem tekstów niewątpliwego autorstwa samego Howarda, opisujących karierę Cymmeryjczyka od złodziejskich początków po królewski finał. Dokładniejszemu przedstawieniu „czasów Conana” służy zamieszczony na wstępie pierwszego i w zakończeniu drugiego tomu szkic Howarda „Era hyboryjska”, ważny również dlatego, że jest jedną z pierwszych prób spisania historii imaginacyjnej - najbardziej w tej kategorii znaną jest Tolkienowy Silmarillion.

I słowo o przekładach: swoboda, z jaką edytorzy zwykli sobie poczynać z materia fabułą o Conanie, uprawnia drobne zabiegi stylizacyjne wykonane dla potrzeb niniejszego wydania i nie będące odejściem od litery oryginalnych opowieści.

ERA HYBORYJSKA

CZEŚĆ I

(Przełożył: Stanisław Plebański)

O epoce znanej nemedyjskim kronikarzom jako Era Przedpotopowa wiadomo niewiele; wyjątkiem

jest tu jej ostatni okres, ale i to, co o nim wiemy, otacza aura legendarności.

Najwcześniejsze przekazy historyczne dotyczą schyłku cywilizacji przedpotopowej; dominowały wówczas w świecie królestwa Kamelii, Valusii, Verulii, Grondaru, Thule i Commorii; ludy wymienionych państw używały tego samego języka, co świadczy o ich wspólnym pochodzeniu.

Istniały naonczas i inne królestwa o równym stopniu rozwoju, zaludnione przez rasy odmienne od wspomnianej powyżej, najpewniej starożytniejsze.

Barbarzyńcami owej epoki byli Piktowie, żyjący na wyspach położonych z dala od lądu stałego, na Oceanie Zachodnim, Atlanci, zamieszkujący mały kontynent pomiędzy Wyspami Piktyjskimi a Kontynentem Głównym, czyli Turańskim, oraz Lemurianie, osiedleni na archipelagu dużych wysp na półkuli wschodniej.

A były też wówczas rozległe połacie lądów niezbadanych; kraje cywilizowane, choć wielkie nadzwyczaj, zajmowały stosunkowo małą część ziemskiego globu.

Leżącym najdalej na zachodzie królestwem Kontynentu Turańskiego była Valusia, na wschodzie zaś - Grondar. Mieszkańcy Grondaru reprezentowali niższy poziom rozwoju cywilizacyjnego niż ludy im pokrewne a osiadłe w innych królestwach; dalej na wschód, za Grondarem, rozciągał się bezmiar nagich i dzikich pustyń. Tam, gdzie mniej jałową ziemię porastały dżungle, a także wśród gór, bytowały rozrzucone na znacznych przestrzeniach plemiona prymitywnych dzikusów. Daleko na południu istniała tajemnicza cywilizacja, nie mająca nic wspólnego z kulturą turańską i zapewne przedludzka w swej naturze. Wschodnie pobrzeża kontynentu zamieszkiwała inna ludzka rasa, także nieturańska; od czasu do czasu nawiązywali z nią kontakt Lemurianie; rasa ta pochodziła zapewne z okrytego mgłą tajemnicy bezimiennego kontynentu, leżącego gdzieś na wschód od Wysp Lemuryjskich.

Kultura turańską chyliła się ku upadkowi; turańskie armie składały się po większej części z barbarzyńskich najemników; generałami, politykami, a często i królami bywali w turańskich państwach Piktowie, Atlanci i Lemurianie.

O waśniach pomiędzy królestwami, o wojnach pomiędzy Valusią a Commorią, o tym wreszcie, jak Atlanci podbili część stałego lądu i utworzyli królestwo - o owych wydarzeniach dotrwało do czasów późniejszych więcej legend niż wiarygodnych przekazów historycznych.

A potem Kataklyzm spustoszył świat. Wyspy Lemuryjskie i Atlantia zatoneły, zaś Wyspy Piktyjskie zostały wysoko wydźwignięte i stały się górskimi szczytami nowego kontynentu; znikły całe regiony Kontynentu Turańskiego, pogrążone w oceanicznych falach; zatoneły znaczne obszary i w głębi lądu, tworząc wielkie śródlądowe morza i jeziora. Wybuchły wulkany, a potworne trzęsienia ziemi wstrząsnęły posadami świetnych królewskich miast. Wyginęły całe narody.

Nacjom barbarzyńskim powiodło się nieco lepiej niż ludom cywilizowanym; mieszkańcy Wysp Piktyjskich ulegli zagładzie, ale wielka piktyjska kolonia posadowiona wśród gór na południowej granicy Valusii jako przedmurze przeciw obcym najazdom przetrwała nietknięta; powszechna zagłada ominęła też kontynentalne królestwo Atlantów, a tysiące ich rodaków ściągają doń na statkach z

tonącego lądu macierzystego. Wielu Lemurian umknęło na względnie mało dotknięte kataklizmem wschodnie wybrzeże Kontynentu Turańskiego, gdzie popadło w niewolę zamieszkałego tam starożytnego ludu, a ich historia na tysiąclecia stała się historią okrutnego ucisku i niewolniczej służby.

W zachodniej części Kontynentu zmienne warunki doprowadziły do rozkwitu dziwnych form życia roślinnego i zwierzęcego; gęste dżungle porosły równiny, rwące rzeki, tocząc swe wody ku morzu, wyryły głębokie kaniony; wypiętrzyły się niebotyczne masywy górskie, a jeziora pokryły ruiny położonych w żyznych dolinach prastarych miast.

Ze wszystkich stron ścigały do kontynentalnego królestwa Atlantów miriady zwierząt i dzikusów - małp i małpoludów, uchodzących z zatopionych obszarów; zmuszeni do ciągłej walki o byt Atlanci zdołali jednak zachować resztki swej zaawansowanej w rozwoju barbarzyńskiej kultury; pozbawieni rud i metali poczęli - tak jak ich odlegli przodkowie - obrabiać kamień. Kiedy już wspięli się na wyżyny owej sztuki, doszło do starcia ich nacji z potężnym narodem Piktów. Ci ostatni także powrócili do wyrobu i użytkowania krzemiennych narzędzi, ale w rzemiośle wojennym rozwijali się znacznie szybciej niż Atlanci; byli rasą bardziej płodną, ale prymitywniejszą - nie pozostały po nich ani malowidła, ani rzeźby z kości słoniowej jak po Atlantach - zostawili za to po sobie mnóstwo doskonałej krzemiennej broni.

Starły się tedy owe królestwa epoki kamiennej i po serii krwawych wojen Piktowie zepchnęli Atlantów do poziomu prymitywnego barbarzyństwa, sami zaś zatrzymali się w rozwoju.

Po pięciu stuleciach od kataklizmu barbarzyńskie królestwa znikły z powierzchni ziemi; pozostały po nich dwa, wspomniane powyżej, plemiona - dzikie i nie ustające w walce pomiędzy sobą. Piktowie przeważają liczbą i jednością, zaś Atlanci stanowią szczepy połączone luźnymi związkami plemiennymi.

Taki oto był w owym okresie Zachód.

Na Dalekim Wschodzie żyją naonczas Lemurianie, odcięci od reszty świata gigantycznymi górami i łańcuchami olbrzymich jezior, wciąż jeszcze pędząc niewolniczy żywot pod panowaniem starożytnej rasy autochtonów.

Głębokie południe spowija mgła tajemnicy, nie tknął go Kataklizm, ale dopiero w przyszłości region ten odegra jakąś rolę w dziejach ludzkości.

Pośród niskich wzgórz na południowym wschodzie przetrwały niedobitki jednego z nievaluzyjskich narodów Kontynentu Turańskiego; ludzie ci zwą się Zhemri.

Tu i tam rozrzucone są po świecie plemiona podobnych małpom dzikusów, nieświadomych nawet powstania i upadku wielkich cywilizacji. Ale na dalekiej północy zbliża się powoli ku barierze człowieczeństwa inna pierwotna rasa.

Za czasów Kataklizmu grupa dzikusów na poziomie niewiele wyższym od neandertalczyka, szukając ocalenia, umknęła na pomoc; znaleźli oni śnieżne krainy zamieszkałe jedynie przez gatunek

wojowniczych małp - potężnych, białych, kosmatych zwierząt, najwyraźniej przywykłych do miejscowego klimatu. Uchodźcy podjęli z nimi walkę i zepchnęli je aż poza Koło Podbiegunowe, na oczywistą - jak sądzili - zagładę. Ale małpoludy przystosowały się do nowego, niesprzyjającego otoczenia - i przetrwały.

Po tym, jak wojny Piktów z Atlantami zniszczyły to, co mogło stać się zaczątkiem nowej cywilizacji, następny, Mniejszy Kataklyzm znacznie odmienił wygląd dawnego kontynentu, pozostawiając w miejscu łańcucha jezior wielkie, śródlądowe morze, co jeszcze bardziej oddzieliło Wschód od Zachodu. Trzęsienia ziemi, powodzie i wybuchy wulkanów dokończyły zagłady barbarzyńców - zagłady, której sami dali początek, wszczynając między sobą wojny.

W tysiąc lat po Mniejszym Kataklyzmie Zachód stał się dziką krainą dżungli, jezior i rwących rzek. Na północnym zachodzie, pomiędzy porośniętymi lasem wzgórzami, bytują koczownicze plemiona małpoludów nie znających mowy, ognia ani narzędzi; są to potomkowie Atlantów pogrążeni w otchłani zezwierzęcenia, z której przed wiekami wydzwignęli się w morderczym trudzie ich przodkowie. Na południowym zachodzie żyją rozproszone szczepy zwyrodniałych jaskiniowców, porozumiewających się prymitywnym językiem; zwą się nadal Piktami, ale miano owo poczęło już oznaczać „człowiek” - dla odróżnienia ich od prawdziwych bestii, z którymi muszą walczyć o przetrwanie; tylko ta nazwa łączy piktyjskie wspólnoty z dawniejszymi dziejami plemienia. Ani zdegenerowani Piktowie, ani małpowaci Atlanci nie mieli kontaktu z innymi narodami.

Na Dalekim Wschodzie Lemurianie, nieomal zepchnięci w zezwierzęcenie przez niewolnicze warunki, wznieśli powstanie i wycięli w pień swych ciemieńców; są teraz dzikusami bytującymi pośród ruin tajemniczej cywilizacji. Niedobitki zgładzonego przez nich narodu, uszedłszy wściekłości swych niewolników, podażyły na zachód, gdzie po najeździe na zagadkowe, prymitywne królestwo, zdobyły je, ustanawiając swe własne rządy; kultura najeźdźców szybko uległa zmianom dzięki kontaktowi z kulturą podbitego narodu. Tak powstało nowe królestwo, które zwie się Stygią. Wiadomo też, że pierwotni mieszkańcy tamtych stron przetrwali w niewielkiej liczbie, a najeźdźcy darzyli ich nawet szacunkiem.

Tu i ówdzie na świecie małe plemiona dzikusów zdają się zmierzać ku człowieczeństwu, są one jednak nieliczne i nic bliższego o nich nie wiadomo.

Ale oto ludy północy rosną w siłę; zwą się Hyboryjczykami lub Hybori; ich bogiem jest Bori - pewien wielki wódz, który, według legendy, przewodził im dawniej nawet niż król, co na północ ich powiodł w dniach wielkiego kataklyzmu, dniach wspomnianych już tylko w ludowych podaniach i baśniach.

Hyboryjczycy rozproszyli się na północy i napierają niespiesznie ku południu; jak dotąd nie napotkali innych ludów i prowadzą wojny jedynie między sobą. Piętnaście stuleci w północnych krainach uczyniło z nich jasnowłosą roślinną rasę, ognistą przy tym i wojowniczą; już na tym etapie rozwoju cechuje ich kulturę swoista, naturalna poetyka; mają też dobrze wykształcone zdolności artystyczne. Żyją jeszcze głównie z łowów, ale ich południowe szczepy już od kilkuset lat hodują bydło.

W kompletnej izolacji Hyboryjczyków od innych narodów zdarzył się tylko jeden wyjątek - razu

pewnego powrócił z dalekiej północy wędrownik niosący wieść, iż lodowe pustynie, uważane za bezludne, są zamieszkane przez liczne plemię małpoludów, wywodzących się - jak przysięgał - z małp, wypchniętych z bardziej nadających się do zamieszkania rejonów przez przodków hyboryjskiej rasy. Wędrowiec ów nalegał, by wysłać dużą siłę zbrojną poza Koło Podbiegunowe i bestie owe wygubić, ponieważ - jak twierdził - przekształcały się już w ludzi. Wyśmiano go; jeno niewielka grupka żądnych przygód młodych wojowników podążyła za nim na północ - i słuch po nich zaginął: żaden nie powrócił. A hyboryjskie plemiona parły na południe, i w miarę zwiększania się ich liczebności ów ruch przybierał na sile.

Stulecie następne było epoką wędrówek i podbojów; przez karty historii świata przelewają się rzeki plemion, ruchliwe i tworzące wiecznie zmienny obraz.

Spójrzmy na świat w pięćset lat później.

Szczepy płowowłosych Hyboryjczyków posunęły się na południe i na zachód, pokonując i niszcząc wiele małych, bliżej nieznanych narodów. Zasileni krwią zniewolonych ludów potomkowie pierwszych fal migracji przejawiają odmienne cechy rasowe, zaś na nich napierają kolejne rzuty plemion o czystej krwi, spychając przed sobą ludność zagarnianych ziem niczym szczotka niedokładnie zgarniająca śmiecie; jeszcze bardziej przemieszało to ze sobą rasy - czystą, mieszańców i niedobitki wyniszczonych narodów.

Jak dotychczas zdobywcy nie zetknęli się z rasą starożytniejszą od swojej.

Tymczasem na południowym wschodzie potomkowie ludu Zhemri, zasileni świeżą krwią jakiegoś nieznanego plemienia, czynią wysiłki, by choć częściowo odbudować swą prastarą kulturę.

Na zachodzie podobni małpom Atlanci rozpoczynają długą wspinaczkę; zamknął się dla nich pełny cykl rozwoju - dawno już zapomnieli, iż ich przodkowie byli niegdyś ludźmi: nieświadomi swego poprzedniego stanu ruszają w drogę ku człowieczeństwu bez drogowskazu, jakim by była pamięć historycznej przeszłości narodu.

Na południe od nich Piktowie pozostają dzikusami, jakby wbrew prawom natury ani nie rozwijając się, ani nie cofając w rozwoju.

Na jeszcze głębszym południu drzemie tajemnicze, starożytne już królestwo - Stygia. Na jej wschodnich rubieżach bytują koczownicze, nomadyjskie plemiona, już wtedy znane jako Synowie Shem.

U boku Piktów, w żyznej dolinie Zingg, pod osłoną wyniosłych gór bezimienny, prymitywny szczep uznany za pokrewny. Shemitom wytworzył rozwiniętą kulturę rolniczą.

Do impetu hyboryjskiego napływu dołączył jeszcze jeden czynnik: pewne plemię odkryło sposób wznoszenia budowli z kamienia i wkrótce świat ujrzał pierwsze hyboryjskie państwo - prymitywne i barbarzyńskie królestwo Hyperborei, które wzięło początek od niezdarnie wzniesionej z głazów fortecy, dającej oparcie i obronę podczas waśni plemiennych. Ludzie owego szczepu szybko wyrzekli się namiotów z końskich skór i zamieszkali w domach wznoszonych niezgrabnie, ale

solidnie z kamienia; tak zabezpieczeni wnet stali się potęgą na miarę ówczesnego świata.

Niewiele było w dziejach przewrotów bardziej dramatycznych niż powstanie owego silnego, wojowniczego państwa, którego obywatele nagle porzucili sposób życia nomadów i jęli wznosić domostwa z nie ociosanych głazów, otoczone cyklopicznymi murami - a dokonał tego lud dopiero wynurzający się z epoki kamienia gładzonego, przez czysty przypadek odkrywając podstawowe zasady sztuki budowlanej.

Narodziny królestwa Hyperborei dodały impetu wielu hyboryjskim plemionom, które, bądź to pokonane w boju, bądź to odmawiając uległości wobec swych zamieszkałych w zamkach pobratymców, ruszyły na szlak długich wędrówek, wiodący przez niemal połowę świata. A już wtedy wysunięte ku północy szczepy hyboryjskie poczynają coraz dotkliwiej odczuwać zaczepki ze strony ludu jasnowłosych, olbrzymich dzikusów, zaawansowanych w rozwoju niewiele bardziej niż małpoludy.

Opowieść o następnym tysiącleciu to saga o narodzinach potęgi Hyboryjczyków, których wojownicze plemiona zdominowały cały Zachód. Wtedy to właśnie kształtują się pierwsze prymitywne królestwa. Płowowłosi najeźdźcy starli się z Piktami i zepchnęli ich na jałowe ziemie zachodnie. Osiadli na północnym zachodzie potomkowie Atlantów powoli przeobrażają się z małp w prymitywnych dzikusów i - jak dotychczas - nie spotkali się jeszcze z Hyboryjczykami.

Na Dalekim Wschodzie Lemurianie rozwijają swą własną, dziwną cywilizację, zaś Hyboryjczycy tworzą na południu królestwo Koth, które graniczy z pasterską krainą zwaną Ziemią Shem; półdzikie ludy miejscowe poczynają stopniowo zrywać z barbarzyńskimi tradycjami - po części dzięki zetknięciu się z Hyboryjczykami, częściowo zaś przez kontakt ze Stygią, która od stuleci nękała pasterskie plemiona łupieżczymi najazdami.

Jasnowłosy lud dzikusów z dalekiej północy tak urósł w siłę i liczbę, że północne plemiona hyboryjskie ruszyły na południe, spychając przed sobą klany swych pobratymców. Jeden z północnych szczepów podbija starożytne królestwo Hyperborei, ale dawna nazwa kraju nie ulega zmianie.

Na południowy wschód od Hyperborei z królestwa Zhemri powstaje państwo zwane Zamorą, zaś na południowym zachodzie Piktowie najeżdżają żyzną dolinę Zingg i pokonawszy jej rolniczych mieszkańców, osiadają pośród nich; powstaje w ten sposób mieszana rasa, którą z kolei podbija plemię Hyboryjczyków i po stopieniu się z nią w jedną całość daje początek królestwu o nazwie Zingara.

W pięć stuleci później granice państw są już ściśle określone. W świecie zachodnim dominują królestwa Hyboryjczyków - Aquilonia, Nemedia, Brythunia, Hyperborea, Koth, Ophir, Argos, Corinthia i Królestwo Pograniczne. Na wschód od nich leży Zamora, a na południowy zachód Zingara; ich ludy nie są spokrewnione i są sobie podobne jedynie ciemną skórą i egzotycznymi obyczajami.

Daleko na południu drzemie Stygią, wprawdzie nie niepokojona przez obce najazdy, ale już w nieco innych granicach - oto ludy shemickie zrzuciły stygijskie jarzmo, zamieniając je na mniej dla

nich uciążliwą zależność od Koth, zaś ciemnoskórzy ciemniejący zostali odrzuceni za wielką rzekę zwaną Styx, Nilus lub Nil; rzeka ta wypływa na północ z tajemniczych obszarów południowych, po czym zakręca prawie pod kątem prostym i toczy swe wody na zachód przez żyzne pastwiska krainy Shem, by w końcu wpaść do wielkiego oceanu.

Najbardziej wysuniętym na zachód hyboryjskim królestwem jest leżąca na północ od Aquilonii Cimmeria; jej dzicy mieszkańcy nie zostali zmuszeni do uległości przez najeźdźców; są potomkami Atlantów i dzięki kontaktom z hyboryjską kulturą rozwijają się teraz szybciej niż ich odwieczni nieprzyjaciele, Piktowie, zamieszkujący dzikie dżungle na zachód od Aquilonii.

Po upływie następnych pięciu stuleci cywilizacja hyboryjską jest już tak rozwinięta, iż sam kontakt z nią umożliwia wydzwignięcie się z otchłani barbarzyństwa dzikim plemionom, które się z nią zetknęły. Najpotężniejszym królestwem jest podówczas Aquilonia, ale inne rywalizują z nią co do świetności i siły. Hyboryjczycy stali się rasą w znacznym stopniu skażoną przez obcą krew; najbliższym pokrewieństwem ze wspólnymi praprzodkami mogą się poszczycić mieszkańcy Gunderlandii - północnej prowincji aquilońskiej. Ale dopływ obcej krwi nie osłabił Hyboryjczyków - są przemożną siłą w świecie zachodnim, choć dzikie ludy stepowe nieustannie rosną w siłę.

Na północy potomkowie jasnowłosych dzikusów arktycznych - złotowłosi, niebieskoocy barbarzyńcy - wyparli hyboryjskie plemiona ze śnieżnych krain; jeszcze tylko starożytne królestwo Hyperborei daje odpór ich naciskowi. Kraj rodzinny owego północnego ludu zowie się Nordheim, a jego mieszkańcy dzielą się na rudych Vanirów z Vanaheimu i jasnowłosych Aesirów z Asgardu.

I oto na kartach Historii pojawiają się znów Lemurianie - tym razem już jako Hyrkańczycy. Przez całe stulecia parli stanowczo na zachód, by teraz osiągnąć południowe wybrzeże wielkiego, śródlądowego Morza Vilayet i założyć na jego południowym krańcu królestwo Turan. Pomiędzy wspomnianym morzem a wschodnimi granicami lokalnych księstw i dominiów rozciągają się dzikie stepy, zaś bardziej ku północy i na południu - pustynie. Innego niż hyrkańskie pochodzenia mieszkańcy tamtych stron są rozrzuconymi na wielkich obszarach klanami pasterzy; o ich północnym odłamie nie wiemy nic, południowy zaś wywodzi się z tubylczych Shemitów o niewielkiej domieszce krwi hyboryjskiej, uzyskanej za sprawą wędrownych wojowniczych plemion.

Pod koniec tego okresu inne klany Hyrkańczyków idą na zachód i okrążywszy północny kraniec morza ścierają się z wysuniętymi na wschód przyczółkami Hyperborejczyków.

Spójrzmy przez chwilę na ludzi owego stulecia.

Dominujący w świecie Hyboryjczycy nie są już jednolicie jasnowłosi i szaroocy - zmieszali się z innymi rasami. Pośród mieszkańców królestwa Koth znajdziemy silnie zaznaczone cechy shemicke, a nawet stygijskie - podobnie jak i w Argos, gdzie silniej jednak utrwaliła się domieszka krwi zingaryjskiej. Brythuńczycy ze wschodu spokrewnili się z ciemnoskórymi Zamoryjczykami, a ludy południowej Aquilonii przemieszały się ze smagłymi Zingaryjczykami do tego stopnia, że czarne włosy i brązowe oczy poczęły dominować w Poitain - najbardziej na południe wysuniętej aquilońskiej prowincji. Starożytne królestwo Hyperborei leży wprawdzie na krańcu cywilizowanego świata, lecz i w żyłach jego mieszkańców płynie wiele obcej krwi, a to za sprawą cudzoziemskich kobiet przywożonych jako niewolnice z Hyrkanii, Asgardu i Zamory.



Nie skażoną obcymi domieszkami krew hyboryjską można znaleźć jeszcze tylko w Gunderlandii, a to dlatego, że lud tamtejszy nie ma zwyczaju trzymania niewolników.

Barbarzyńcy zachowali czystość swej rasy; Cymmeryjczycy są wysocy i silni, włosy mają czarne, a oczy szare lub niebieskie; ludy z Nordheimu są podobnego pokroju, ale skóra ich jest biała, oczy niebieskie, a czupryny rude lub złotawe; Piktowie pozostali tacy jak zawsze - krępi, niscy, bardzo śniadzi, zaś oczy i włosy miewają zwykle czarne.

Ciemnoskórzy Hyrkańczycy to lud szczupły i wysoki, choć coraz częściej zdarzają się pośród nich osobnicy budowy krępej i skośnoocy, a to przez domieszkę krwi ogarniętej przez nich w pochodzie na zachód inteligentnej rasy, zamieszkującej pośród gór, na wschód od Vilayet.

Shemitów najczęściej cechuje wzrost średni, ale że w ich żyłach płynie nieco krwi stygijskiej, zdarzają się czasem wśród nich mężowie potężni, szerocy w barach i masywnie zbudowani; zwykle bywają ciemnoocy, nosy mają haczykowate, a włosy tak czarne, że aż wpadające w błękit.

Stygijczycy są śniadzi, wysocy, proporcjonalnej budowy; twarze ich cechują zazwyczaj rysy proste acz szlachetne; taka jest stygijska klasa panująca; żyjące w ucisku i poniewierce warstwy niższe stanowią wynaturzoną mieszaninę wielu ras - stygijskiej, shemickiej, a nawet hyboryjskiej.

Na południe od Stygii leżą rozległe królestwa ludów czarnoskórych - Amazonów, Kushytów i Atlajan - oraz zamieszkane przez różne ludy cesarstwo Zembante.

Pomiędzy Aquilonią i puszcza piktyjską znajduje się Pogranicze Bossońskie; jego mieszkańcy wywodzą się od miejscowego plemienia ogarniętego przez hyboryjski szczep już w pierwszych stuleciach wędrówki Hyboryjczyków na południe. Bossończycy nigdy nie ulegli wpływom najeźdźców o wyższej kulturze i zostali przez nich zepchnięci na sam skraj cywilizowanego świata; są ludźmi wzrostu średniego i średniej budowy, a oczy miewają szare lub brązowe; utrzymują się głównie z rolnictwa, mieszkają zaś w dużych, okolonych solidnymi murami wsiach; są poddani króla Aquilonii. Ich kraina rozciąga się od Cimmerii na północy aż po Zingarę na południowym zachodzie, tworząc tym samym przedmurze dla Aquilonii tak przeciw Cymmeryjczykom, jak i Piktom.

W boju są Bossończycy nieugięci, zaś w ciągu stuleci wojen z północnymi i zachodnimi barbarzyńcami wnieśli taktykę walki defensywnej na tak wysoki poziom, że otwartym atakiem prawie nie sposób przełamać ich obronnych formacji.

Taki oto był świat w czasach Conana.

## DOM PEŁEN ŁOTRÓW

(Przełożył: Stanisław Plebański)

Powiadają legendy, że najpotężniejszy wojownik ery hyboryjskiej, człek - jak pisał nemedyski

kronikarz - który „swemi obutymi w sandały stopy podeptał zdobne w klejnoty trony Ziemi”, urodził się na polu bitwy, w czym miała być wieszczba jego przyszłych losów. Jest to możliwi., albowiem niewiasty cymmeryjskie równie sprawnie jak ich mężowie władały orężem, nie można tedy wykluczyć, iż matka Conana, nie bacząc na poważny swój stan, pospieszyła, by odpierać atak wrażeń Vanirów. Wśród wojen zaczepnych i odpornych, toczonych z niewielkimi tylko przerwami przez bitne klany Cymmeryjczyków, upływało dzieciństwo Conana. Po ojcu, kowalu i płatnerzu, obdarzony nad wiek okazałą staturą brał w nich udział, odkąd mógł unieść miecz w dłoni. Miał piętnaście lat, gdy zjednoczone plemiona cymmeryjskie obieżyły, zdobyły i puściły z dymem Vanarium, gród pograniczny wzniesiony przez ekspansywnych Aquilończyków na ziemiach tradycyjnie przynależnych Cimmerii. Był jednym z tych, co najwścieklej darli się na mury i najgłębiej ubroczyli oręż we wrogiej krwi. Jego imię poczęto wymawiać z szacunkiem przy ogniskach narad. Po zdobyciu Venarium spędził Conan czas jakiś w rodzinnym szczepie, u boku sprzymierzonych Aesirów czyniąc wyprawy na tradycyjnie wrogich Vanirów. W jednej z owych wypraw dostał się do niewoli, ale z niej zemknął i ruszył na południe. Dotarł do Arenjun, zamoryjskiego Miasta Żłodzi, w którym rozpoczął trwającą kilka lat karierę zawodowego rabusia, kontynuowaną w stolicy Zamory, Shadizarze, w królestwach Corinthii i Nemedii...

# 1.

Podczas dworskiego festynu Nabonidus, Czerwony Kapłan, rzeczywisty władca stolicy, dyskretnie dotknął ramienia młodego arystokraty Murila, ten zaś odwrócił się, by napotkać zagadkowe spojrzenie dostojnika. Żaden z nich nie wyrzekł ani słowa; Nabonidus skłonił się tylko i podał Murilowi niewielkie złote puzderko. Świadom, że niczego bez powodu Nabonidus nie czynił, młody szlachcic wymknął się przy pierwszej nadarzającej się okazji i w pośpiechu wrócił do swej komnaty. Tu otworzył puzdro; znalazł w nim ludzkie ucho, łatwe do rozpoznania dzięki szczególnej bliźnie. Krople zimnego potu wystąpiły mu na czoło - nie miał już wątpliwości, jaką to myśl ukrytą wyrażało spojrzenie Czerwonego Kapłana.

Pomimo jednak swych uperfumowanych, trefionych czarnych loków nie był Murilo słabeuszem, zginającym bez walki kark przed katem. Nie wiedział, czy Nabonidus igra z nim tylko, czy też umożliwiał ucieczkę na dobrowolne wygnanie; już to, iż żył jeszcze i był wolny, dowodziło, że dano mu co najmniej kilka godzin - zapewne do namysłu. Lecz nie namysłu i decyzji potrzebował - potrzebował narzędzia. A wyposażyła go w owo narzędzie Fortuna, nie przestająca działać pomiędzy spelunkami i burdelami dzielnic nędzy nawet wtedy, gdy w swym domu, w części stolicy zajmowanej przez pałace arystokracji, wieńczone purpurowymi wieżami, strojne w marmur i kość słoniową, rozdygotany Murilo rozmyślał nad sposobem pokrzyżowania Nabonidusowych planów.

A był pewien kapłan boga Anu, którego świątynia wznosząca się na obrzeżu dzielnicy nędzy stanowiła scenę czegoś więcej niżli tylko obrzędów i modłów. Kapłan ów, tłusty i dobrze odżywiony, uprawiał paserstwo, będąc równocześnie szpiegiem na usługach gwardii. Interes prosperował kwitnąco, a złoto dwoma wartkimi strumieniami wpływało do szkatuły kapłana, jako że dzielnicą, z którą graniczyła świątynia, był Labirynt - platanina błotnistych, krętych uliczek, plugawych spelunek nawiedzanych przez najbardziej notorycznych złodziei i hultajów w królestwie. Odwagą i bezczelnością wyróżniali się spośród nich gunderskiego pochodzenia dezerterski z wojsk najemnych i pewien cymmeryjski barbarzyńca. Pierwszego za sprawą kapłana Anu schwytano i obwieszono na placu targowym, Cymmeryjczyk atoli umknął; dowiedziawszy się określną drogą o zdradzie kapłana, wtargnął nocą do świątyni i skrócił donosiciela o głowę.

W mieście zawrzało. Poszukiwania zabójcy były wszakże bezskuteczne, dopóki pewna ladacznica nie wydała Cymmeryjczyka w ręce królewskiego rontu - zaprowadziła kapitana straży i jego drużynę do ukrytej komory, gdzie spoczywał zmożony pijackim snem barbarzyńca. Gdy jęli go pętać, ocknął się - wraził sztylet w gardło oficera, przedarł się przez pozostałych napastników i uszedłby niechybnie, gdyby nie trunek, wciąż jeszcze zaćmiewający zmysły; rozjuszony, na wpół oślepy, szybując tygrysim skokiem ku wolności, nie trafił w otwarte drzwi i tak potężnie huknął łbem o kamienną ścianę, że padł bez czucia i świadomości.

Przyszedł do siebie dopiero w najgłębszym lochu miasta, przykuty do ściany łańcuchami, którym nawet jego olbrzymie mięśnie nie mogły dać rady. Na poły siedząc, na poły leżąc, mając za posłanie przygarść jeno zgniłej słomy, przeklinał barbarzyńca moc kwaśnego wina i dziewczkę zdradliwą, gdy szcęknęły rygle, a do lochu wkroczył człek z twarzą zamaskowaną, owinięty szerokim, czarnym płaszczem. Cymmeryjczyk przyglądał mu się z zainteresowaniem, odgadując w nocnym gościu oprawcę, przysłanego, by mu gardło cichcem poderznął; upewniała go w tym ciekawość z jaką

przybysz mierzył go wzrokiem. A nawet w piwnicznym półmroku, mimo pętających członki jeńca łańcuchów, potężne, imponująco umięśnione ciało Cymmeryjczyka sprawiało wrażenie, iż drzemią w nim siły niedźwiedzia i szybkość pantery. Spod czarnej zwichrzonej grzywy niebieskie oczy lśniły niepohamowaną dzikością.

- Czy chcesz żyć? - zapytał Murilo, on to bowiem nawiedził pojmanego zabójcę.

Barbarzyńca mruknął, a w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania; choć nie wyrzekł ani słowa, siła wyrazu ożywionego nadzieją spojrzenia była dostatecznie wymowną odpowiedzią.

- Chcę, byś zabił dla mnie człowieka.

- Kogo?

Głos Murila zniżył się do szeptu:

- Nabonidusa, królewskiego kapłana.

Cymmeryjczyk nie okazał zdumienia ani obawy; obcy był mu nawet cień szacunku dla wielkich tego świata - król czy żebrak, nie widział różnicy. Nie przyszło mu też do głowy pytanie, dlaczego Murilo zwrócił się do niego właśnie, choć dzielnice nędzy pełne były korzystających z wolności płatnych skrytobójców.

- Kiedy będę wolny?

- Nim minie godzina. W nocy tej części więzienia pilnuje tylko jeden strażnik; można go przekupić. Mówiąc ściśle: już jest przekupiony. Spójrz - oto klucze: zdejmę twe łańcuchy, a gdy od mego odejścia czas upłynie bezpieczny, strażnik Athicus drzwi twej celi otworzy. Athicusa powalisz i strzępami swej tuniki zwiążesz; na tak sprawionego nie padnie podejrzenie, a wszyscy uwierzą, że pomoc dla cię z zewnątrz nadeszła. Idź od razu do domu Czerwonego Kapłana i zabij go; udaj się potem do Szczurzej Nory, gdzie pewien człowiek da ci konia i trzos pełen złota - tak opatrzony zdołasz wymknąć się z miasta i opuścić kraj.

- Zdejmuj natychmiast te przeklęte okowy! - zażądał Cymmeryjczyk. - I każ strażnikowi, by mi przyniósł spyżę. Na Croma! Dzień cały przeżyłem o chlebie i wodzie i prawiem szczeżł z głodu!

- Stanie się, jak rzekłeś, ale pamiętaj: nie wolno ci uciec, nim będę miał dość czasu, by dotrzeć do mego domostwa.

Uwolniony z łańcuchów barbarzyńca wstał i przeciągnął się, prężąc potężne ramiona; w półmroku kazamaty przypominał olbrzyma. Murilo pomyślał, że jeśli ktokolwiek na świecie byłby w stanie zgładzić Czerwonego Kapłana, to ten Cymmeryjczyk jest do tego zdolny.

Raz jeszcze młody szlachcic gwoli pewności powtórzył swój plan, po czym opuścił więzienie, przed wyjściem polecając Athicusowi, by zaniósł jeńcowi misę jadła i kwartę piwa. Wiedział, że strażnikowi może ufać nie tylko z powodu hojnie sypniętego złota; posiadał informacje, których ujawnienie groziło Athicusowi stryczkiem.

Dopiero znalazłszy się z powrotem w swej komnacie Murilo odzyskał spokój ducha. Nabonidus działałby rękami bezwolnego króla - tego był pewien. A przecież królewscy strażnicy nie kołatali do jego drzwi; oznaczało to, że kapłan nie powiedział królowi nic - na razie... Jutro niechybnie byłby to uczynił - gdyby dożył jutra.

Murilo wierzył, iż Cymmeryjczyk dotrzyma umowy; inną rzeczą było to, czy zdoła cel wyznaczony osiągnąć. Po wielokroć już próbowano zgładzić Czerwonego Kapłana - i nasyłani zbójcy umierali tajemniczą śmiercią. Choć i przebiegli bywali, i okrutni, i zuchwali - ginęli jednak; wychowani w miastach, nie posiadali wilczych instynktów barbarzyńcy.

Murilo ujrzał wyjście ze swej niewesołej sytuacji w chwili, gdy obracając w dłoniach złote puzderko z wiadomą zawartością, dowiedział się swymi sekretnymi kanałami o pojmaniu Cymmeryjczyka. Teraz w spokoju swej komnaty wznosił toast za człowieka imieniem Conan i za jego powodzenie tej nocy. Sączył jeszcze wino, gdy jeden z jego szpiegów przyniósł wieść, iż Athicusa aresztowano i osadzono w twierdzy. Cymmeryjczyk tedy nie uciekł...

Murilo po raz wtóry poczuł, jak krew w jego żyłach lodowacieje. Dostrzegł w owej odmianie fortuny diabelską rękę Nabonidusa; pojął nagle, że ulega oto niesamowitej obsesji: roiło mu się, że Czerwony Kapłan nie człowiekiem jest, a czarownikiem zdolnym czytać w myślach swych ofiar, pociągającym za struny, na których tańczą jak marionetki.

Desperacja rodzi determinację. Kryjąc miecz pod czarną opończę, wybiegł Murilo z domu ukrytym wyjściem i pośpieszył opustoszałymi ulicami. Zbliżała się północ właśnie, gdy stanął przed domem Nabonidusa, majaczącym czarną bryłą pośród ogrodu otoczonego murem, oddzielającym posiadłość kapłana od sąsiedniej posesji. Mur był wysoki, ale możliwy do pokonania. Nabonidus nie wierzył w przeszkody tak proste jak kamienna bariera; to, czego naprawdę należało się obawiać, znajdowało się za murem. Murilo nie wiedział dokładnie, na co może się natknąć; powiadano, że olbrzymi, krwiożerczy pies włóczy się po ogrodzie, od czasu do czasu rozdzierając kogoś na strzępy tak, jak ogar rozdziera królika. Co więcej mogło nań czyhać za murem - nie próbował nawet przewidzieć.

Ludzie, którym w sprawach wagi państwowej dozwalało na krótko wejść do domu, opowiadali, że Nabonidus otaczał się przepychem, ale poprzestawał na zaskakująco nielicznej służbie; w istocie widywano tylko jednego służącego - wysokiego, małomównego człeka imieniem Joka. Kogoś innego - zapewne niewolnika - słyszano poruszającego się w zakamarkach domu, osoby tej nie widział jednak nikt. Największą niewiadomą tajemniczego domostwa był sam Nabonidus. Siła jego intryg i rozległe wpływy nawet poza granicami państwa uczyniły zeń najpotężniejszego człowieka w królestwie. Lud, kanclerz i król jak bezwolne kukły tańczyli na strunach skupionych w rękach Czerwonego Kapłana.

Murilo wspiął się na mur i zeskoczył do ogrodu pogrążonego w cieniach, zagęszczonych miejscami przez rozłożyste krzewy i poruszane wiatrem listowie. Żadne światło nie rozjaśniało okien domu, odcinającego się czarną bryłą na tle nocnego nieba. Młody szlachcic przemykał ostrożnie przez kolczaste chaszczce; rozgorączkowana wyobraźnia płatała figle: chwilami zdawało mu się, że słyszy ujadanie wielkiego psa - lada moment spodziewał się ujrzeć potężne cielsko śmigające nań z ciemności. Wprawdzie wątpił w skuteczność swego miecza przeciwko takiemu atakowi, ale nie zawahał się. Czy w kłach bestii, czy od katowskiego topora - umiera się podobnie.

Nagle potknął się o coś masywnego i podatnego zarazem. Schylił się, by lepiej widzieć w nikłym świetle gwiazd - i rozpoznał bezwładny kształt. U jego stóp leżał pies pilnujący ogrodu - martwy pies. Miał skręcony kark, a na ciele ślady wyglądające jak rany zadane wielkimi kłami. Murilo był pewien, że nie mogła tego dokonać żadna ludzka istota; najwyraźniej bestia napotkała potwora potężniejszego od siebie. Młody szlachcic spojrział nerwowo w stronę tajemniczej gęstwiny chaszczy i krzewów; dreszcz przebiegł mu po grzbiecie. Ruszył w stronę pogrążonego w ciszy domu. Pierwsze drzwi, których spróbował, były otwarte. Ujął mocniej rękojeść miecza i przekroczył próg; znalazł się w długim, mrocznym korytarzu, słabo rozświetlonym promykami wnikającym obok zasłony przegradzającej odległe wyjście.

Grobowa cisza wisiała w powietrzu.

Murilo jął się skradać korytarzem; zatrzymał się na końcu, by poprzez szparę w zasłonie ujrzyć oświetlony pokój o oknach szczelnie zasłoniętych aksamitnymi storami tak, by ani promyk światła nie przedarł się na zewnątrz. Pokój był pusty - jeśli pustką nazwać brak żywej istoty; kogoś w nim jednak Murilo zobaczył. Pośród rumowiska mebli i pozrywanych ze ścian tkanin, co świadczyło o rozegranej tu straszliwej walce, leżała ludzka postać. Spoczywała na brzuchu, lecz głowa jej tak była skręcona, że podbródek pozostał aż za ramieniem. Rysy twarzy, zastygłej w przeraźliwym grymasie, układały się w kształt złośliwego uśmiechu. Po raz pierwszy Murilo poczuł tej nocy, że jego determinacja słabnie. Niepewnie spojrział w stronę, z której nadszedł, ale wizja katowskiego pnia i topora podziałała nań jak nowy zastrzyk woli: ruszył przez pokój, starając się unikać widoku ciała rozciągniętego na środku. Choć człowieka tego nie widział nigdy przedtem, dzięki zasłyszonym opisom odgadł, iż był to Joka, ponury sługa Nabonidusa.

Przez uchylone drzwi, przesłonięte storą, zajrzał do szerokiej, okrągłej komnaty, otoczonej galerią w połowie wysokości pomiędzy błyszczącą posadzką a wyniosłym sklepieniem. Sala ta urządzona była z ładu królewskim przepychem. Na środku stał bogato rzeźbiony mahoniowy stół, dźwigający bezlik naczyń z winem i kosztownymi potrawami. Wtem... Murilo skamieniał - na wielkim fotelu zwróconym oparciem w jego stronę spostrzegł postać przyobleczoną w szaty powszechnie znane w całym królestwie. Czerwony rękaw skrywał ramię spoczywające na poręczy, głowa, nakryta szkarłatnym kapturem habitu, nieco pochylała się jakby w zamyśleniu. Takim właśnie widywał Murilo Nabonidusa na królewskim dworze - setki razy.

Przeklinając bicie własnego serca, młodzieniec począł się skradać; uniósłszy miecz, całym ciałem gotował się do zadania ciosu. Choć był coraz bliżej, ofiara nie drgnęła; odniósł wrażenie, że jego ostrożnie stawiane kroki nie zostały usłyszane. Czyżby Czerwony Kapłan zasnął? Jeden krok dzielił Murila od jego wroga, gdy nagle siedzący w fotelu wstał i odwrócił się, i spotkały się ich spojrzenia.

Krew odpłynęła w jednej chwili z członków Murila.

Rękojeść miecza wysunęła się ze zmartwiałej dłoni, a klinga uderzając o marmurowe płyty posadzki jęknęła metalicznie.

Okropny krzyk wydarł się spoza zsiniałych warg i nim zamarł, inny dźwięk zmieszał się z jego echem - głuchy łoskot padającego ciała.

W domu Czerwonego Kapłana zapanowała cisza.

## 2.

Wkrótce po odejściu Murila z lochu, w którym osadzony był Conan Cymmeryjczyk, Athicus przyniósł więźniowi tacę z posiłkiem złożonym z kufła piwa i potężnego pościa mięsa. Conan żarłocznie rzucił się na jadło; gdy się posilał, Athicus ruszył na ostatni obchód cel chcąc sprawdzić, czy wszystko przebiega zgodnie z planem, tak aby nikt nie stał się mimowolnym świadkiem zaplanowanej ucieczki. Zajęty był jeszcze obchodem, gdy oddział gwardii wtargnął do więzienia i aresztował go. Murilo mylił się sądząc, iż aresztowanie owo -ma związek z przygotowaną ucieczką Conana - prawda była inna: Athicus zbyt otwarcie wdawał się w konszachty z występłą gawiedzią Labiryntu, aresztowanie zaś było konsekwencją jednego z dawniejszych grzechów strażnika. Inny wartownik zajął jego miejsce - otepiałe i bierne indywiduum, którego żadna łapówka nie byłaby w stanie skłonić do zaniechania regulaminowych obowiązków. Brak mu było wyobraźni, co nadrabiał przesadnie głębokim przekonaniem o ważności pełnionej przezeń funkcji.

Kiedy zamilkły już krzyki wleczonego przez gwardzistów Athicusa, nowy strażnik rozpoczął rutynowy obchód korytarzy. Gdy dotarł do celi Conana, jego głęboko zakorzenione poczucie dyscypliny doznało wstrząsu: ujrzał uwolnionego z łańcuchów więźnia, który kończył właśnie ogryzać resztki pieczystego z potężnej kości wołowej. Widok ten tak wielce wzburzył strażnika, że popełnił błąd: nie przyzywając wartowników z innych części więzienia sam wszedł do celi. Była to jego pierwsza, a zarazem ostatnia pomyłka na służbie. Conan bowiem zgruchotał mu czaszkę wołowym gnatem, przywłaszczył sobie jego puginał i pęk kluczy, po czym spokojnie opuścił celę. Tej nocy, zgodnie ze słowami Murila, czuwał tylko jeden strażnik; Cymmeryjczyk, korzystając z kluczy, rychło znalazł się na wolności, tak jak gdyby plan Murila się powiódł. W cieniu więziennych murów Conan zatrzymał się, by podjąć decyzję co do swych dalszych poczynań. Pomyślał zrazu, że skoro zbiegł z lochu o własnych siłach, nic Murilowi nie jest winien. Pamiętał jednak, że to młody szlachcic zdjął zeń łańcuchy i nakazał przysłać pożywienie - bez tych przysług ucieczka byłaby niemożliwa. Conan uznał więc, iż jest jednak dłużnikiem Murila, a będąc człekiem zawsze dotrzymującym danego słowa, postanowił wypełnić swoją część umowy z młodym arystokratą.

Pierwej atoli musiał zająć się pewną własną sprawą.

Cisnął precz podartą tunikę i okryty jedynie przepaską biodrową ruszył w noc. Idąc, zbadał dotykem zdobyczny puginał - morderczą broń o szerokiej, obosiecznej klindze długości dziewiętnastu cali. Skradał się ulicami i ciemnymi placami, póki nie dotarł do dzielnicy będącej celem jego marszu, do Labiryntu. Odtąd poruszał się już z pewnością bywalca tych stron. A droga wiodła przez istny gąszcz ciemnych zaułków, zamkniętych podwórek i okrężnych ścieżek, przez świat tajemniczych dźwięków i nachalnych odorów. Ulice nie miały tu chodników; błoto i wszelaki śmieć pokrywały je grubą warstwą obrzydliwej brei; odchody wyrzucane wprost na ulicę odkładały się w cuchnące pryzmy i zionące fetorem kałuże. Jeśli nie szło się dostatecznie ostrożnie, łatwo było stracić grunt pod nogami i zapaść się do pasa w śmierdząca maź. Nierzadko też zdarzało się potknąć o człowieka z poci rżniętym gardłem lub głową pogrążoną w bagnie. Uczciwi obywatele mieli powody, aby omijać Labirynt z daleka.

Conan nie zauważony dotarł do celu w chwili, gdy ktoś, kogo bardzo pragnął spotkać, właśnie miał się oddalić. Gdy Cymmeryjczyk wśliznął się na podwórzec, w komorze o piętro wyżej



dziewczyna, która sprzedała go straży miejskiej, odprawiała właśnie swego nowego kochanka. Zamknawszy za sobą drzwi, młody rzezimieszek szukał po omacku drogi po skrzypiących schodach, pogrążony w myślach związanych, jak u większości mieszkańców Labiryntu, z przestępczym zagarnięciem cudzego mienia. Nagle w pół drogi stanął, a włos zjeżył mu się na głowie. Ujrzał przed sobą niewyraźny zarys cielska czającego się do skoku i parę oczu pałających jak ślepia polującej bestii. Drapieżne warknięcie było ostatnim dźwiękiem w życiu, jaki słyszał, potwór bowiem, zaczajony w mroku, skoczył i ostrą klingą rozpruł mu trzewia: Rzezimieszek zdążył wydać jeden stłumiony okrzyk i martwy osunął się na schody. Barbarzyńca śmignął nad nim; wyglądał jak upiór, a oczy jego gorzały w ciemnościach złowieszczą poświatą. Wiedział, że odgłos padającego ciała został dosłyszany, lecz wiedział także, iż mieszkańcy Labiryntu nie zwykli wtrącać się w nie swoje sprawy. Przedśmiertny krzyk na ciemnych schodach nie był tu niczym niezwykłym; zapewne później, po rozsądnie bezpiecznym upływie czasu, ktoś zechce sprawdzić, co się stało. Conan wspiał się po schodach i stanął przed znajomymi sobie od dawna drzwiami; były zamknięte od środka, lecz klinga puginału wsunięta w szczelinę przy wypaczonej framudze uniosła zasuwę. Wszedł i zamknął za sobą drzwi; stał przed dziewczką, która sprzedała go straży. Odziana tylko w nocną koszulę ulicznica siedziała w kucki na skotłowanym legowisku. Zbladła; patrzyła na niego jak na zjawę; słyszała krzyk na schodach, teraz dostrzegła ciemne plamy na trzymanym przezeń puginale. Zbyt jednak mocno ogarnęła ją obawa o własną głowę, by miała trwonić czas na lamentsy nad oczywistym losem swego kochanka. Jęła żebrać o życie, a język plątał się jej z przerażenia. Conan milczał; po prostu stał, mierząc ją przymrużonymi oczyma; badał przy tym ostrze puginału na zgrubiałym naskórku kciuka. W końcu ruszył przez izbę; dziewczka wtuliła się w ścianę i wydając słabe jęki, wciąż błagała o litość. Barbarzyńca uchwycił ciężką ręką jej jasne włosy i ściągnął ją z barłogu. Wsunął puginał do pochwy, złapał wierzgającą brankę pod swe lewe ramię i ruszył ku oknu. Jak w wielu budynkach tego typu, tak i tu każde piętro okalał gzyms, będący przedłużeniem wysuniętych parapetów. Conan kopniakiem otworzył okno i wstąpił na ów otaczający dom wąski występ. Gdyby ktoś nie spał lub był w pobliżu, miałby niecodzienny widok: oto rosły mąż ostrożnie posuwa się po gzymsie, niosąc pod pachą półnagą, wierzgającą dziewczkę. Ów ktoś zapewne nie byłby bardziej zdziwiony niż sama branka.

Osiągnąwszy upatrzony punkt Conan stanął, chwytając się nierówności ściany wolną ręką. Z wnętrza domu zaczęły dochodzić odgłosy świadczące o tym, iż ktoś w końcu odkrył ciało na schodach. Dziewczyna poczęła się wiercić, błagając i skowycząc na przemian. Conan spojrział w dół na błoto i nieczystości zalegające ulicę; przez moment wsłuchiwał się w odgłosy dobiegające z domu, po czym celnie cisnął dziewczkę wprost do dołu kloacznego. Chwilę napawał się widokiem szamoczącej się i grzęznącej w gnoju zdrajczynie, z lubością wsłuchując się w płynący z jej ust potok jadowitych przekleństw; zarechotał nawet basowym śmiechem, na co pozwalał sobie nader rzadko. Odwrócił głowę, dobiegł go bowiem narastający we wnętrzu domu tumult; podjął szybką decyzję: nadszedł czas, by zabić Nabonidusa.

### 3.

Wibrujący echem metaliczny hałas zbudził Murila, który jęknął, natężył siły i, wciąż chwiejny, usiadł z trudem, wspierając się o wilgotny mur.

Otaczała go cisza i ciemność; sądząc przez chwilę, że oślepl, omal nie omdlał z przerażenia. Powoli wracała mu pamięć; na myśl o niedawnych wydarzeniach ciałem jego wstrząsnął dreszcz. Dotykem stwierdził, że siedzi na posadzce z dokładnie dopasowanych bloków skalnych. Macając dalej, odkrył ścianę z tego samego materiału. Wsparł się o nią, by nie stracić równowagi, próbując zarazem odgadnąć, gdzie się znajduje. Wnet pojął, iż w piwnicy lubo więziennym lochu, od jak dawna wszakże - nie mógł się zorientować. Mglisto pamiętał metaliczny odgłos, który go zbudził; zastanawiał się, czy był to łoskot zatrzaśniętych za nim żelaznych wrót celi, czy też dźwięk przypominał wejście przysłanego doń siepacza. Zadygotał cały na tę myśl i począł wymacywać dłońmi drogę wzdłuż ściany; przez moment spodziewał się osiągnąć granicę celi, lecz po chwili doszedł do wniosku, że posuwa się biegnącym w dół korytarzem. W obawie przed wpadnięciem do studni czy innej pułapki trzymał się ściany. Od pewnego już czasu zdawał sobie sprawę z obecności czegoś w pobliżu; nie widział nic - być może to słuch uchwycił jakiś dźwięk lub podświadomy zmysł ostrzegł przed niebezpieczeństwem. Stał, a włos mu się z jeżył: miał już pewność, że w mroku czai się jakaś żywa istota. Pomyślał tylko, że za chwilę serce odmówi mu posłuszeństwa, gdy głos z barbarzyńskim akcentem wyszeptał:

- Czy to ty, Murilo?

- Conan!

Osłabły z wrażenia młody arystokrata ruszył po omacku przed siebie i dotknął dłońmi potężnego, nagiego ramienia.

- Dobrze, zem cię rozpoznał - mruknął barbarzyńca. - Właściem miał cię zadźgać jak tłustą świnię.

- Gdzież jesteśmy, w imię Mitry? - jęknął słabym głosem Murilo.

- W piwnicach pod domem Czerwonego Kapłana.

- Jaką mamy porę?

- Niedawno minęła północ.

Murilo, jeszcze oszołomiony, potrząsnął głową, starając się zebrać rozproszone myśli.

- A ty skądżeś się tu wziął? - zapytał Cymmeryjczyk.

- Przybyłem, by zabić Nabonidusa. Dowiedziałem się, że zmienili wartę w twym więzieniu...

- Ano, zmienili - mruknął Conan. - Rozwaliłem łeb nowemu strażnikowi i wyszedłem. Byłbym tu już wiele godzin temu, ale musiałem zadbać o pewną sprawę osobistą. A więc - co teraz? Czy

zapolujemy na Nabonidusa?

Murilo zadrżał:

- Conanie, jesteśmy w domostwie arcyszatana! Przybyłem, szukając wrogiego człowieka, a zastałem włochatego diabła rodem prosto z piekieł!

Conan niepewnie stęknął; nieustraszony jak ranny tygrys, dopóki miał stawać przeciw ludziom, jako człowiek prymitywny pełen był zabobonnego lęku przed zjawiskami nadprzyrodzonymi.

- Udało mi się wejść do domu - Murilo szeptał, jakby otaczająca ich ciemność pełna była nasłuchujących uszu. - W ogrodzie znalazłem Nabonidusowego brytana zatłuczonego na śmierć. Wewnątrz natknąłem się na Jokę - służącego; miał skrecony kark. Później ujrzałem samego Nabonidusa - odziany w rytualną szatę siedział w fotelu; w pierwszej chwili pomyślałem, że i on nie żyje - lub śpi. Podkradłem się, by dźgnąć go lub zarąbać, a on powstał... i spojrzał na mnie. O Mitro! - Wspomnienie przeżytej trwogi odebrało na chwilę mowę młodemu szlachcicowi, jakby ponownie przeżywał okropną scenę.

- Conanie - szepnął po chwili. - To nie człowiek stał przede mną! Ciałem i posturą przypominało to człowieka, ale ze szkarłatnego kapłańskiego kaptura wyzierała ku mnie twarz jak ze złego snu opętańca: pokryta czarną szczecią, wśród której lyskały czerwone prosięce oczka, nos miała płaski, o wielkich, falujących chrapach, szerokie, obwisłe wargi unosiły się, obnażając wielkie jak u psa, żółte kły. Dłonie wystające ze szkarłatnych rękawów były niekształtne i jak pysk - włosiem porośnięte. Wszystko to w jednej ujrzałem chwili; później opanowała mnie groza, postradałem zmysły i omdlałem.

- Co potem? - niecierpliwie mruknął Cymmeryjczyk.

- Ów potwór musiał cisnąć mnie do tych lochów; przytomność odzyskałem niedawno. Conanie - podejrzewałem, że Nabonidus czymś więcej jest niżli tylko człowiekiem; teraz wiem już na pewno: to w i l k o ł a k! Za dnia porusza się wśród ludzi w ludzkim przebraniu, nocą zaś przybiera swą prawdziwą postać.

- To oczywiste - stwierdził Conan. - Wszyscy wiedzą, że są ludzie przybierający wedle woli kształt wilków. Lecz czemuż miałby pobić swe sługi?

- Któż może pojąć rozum szatana? - odparł Murilo. - Teraz radźmy, jak się stąd wydostać - wszak ludzka broń nie ima się wilkołaka. Jak się tu dostałeś?

- Spodiewając się, że ogród jest strzeżony, wlałem w kanał ściekowy; tunelem się łączy z tym lochem. Myślałem, że znajdę jakieś nie zamknięte drzwi wiodące do wnętrza domu.

- Więc uciekajmy drogą, którą przyszedłeś! - wykrzyknął Murilo. - Niech to diabli! Jeśli wyjdziemy z tego gniazda węży, to ze strażnikami królewskimi jakoś sobie poradzimy - zaryzykujemy ucieczkę z miasta. Prowadź, Conanie!

- Nic z tego - mruknął Cymmeryjczyk. - Droga do kanału zamknięta. Kiedym wszedł do tunelu,

żelazna kratka opadła z sufitu: gdybym nie uskoczył szybciej niż błyskawica, jej ostrze przybiłoby mnie do podłogi jak glistę. Próbowałem ową kratę podnieść - ani drgnęła: nawet słoń by jej nie poruszył. A nic, co jest większe od królika, nie prześlizgnie się przez jej pręty.

Murilo zaklął paskudnie. Powinien był przewidzieć, że Nabonidus nie pozostawiłby żadnego wejścia do swego domu bez zabezpieczenia; gdyby Conan nie miał szybkości dzikusa, opadająca kratka niechybnie przecięłaby go wpół. Najwidoczniej przejście Cymmeryjczyka uruchomiło spust jakiś ukryty, zwalniający kratę, byli więc uwięzieni.

- Nie ma tedy innej możliwości - rzekł Murilo czując, jak zimne strużki potu ciekną mu po plecach - niż szukać innego wyjścia. Z pewnością wszystkie opatrzone są w pułapki, ale nie mamy wyboru.

Pomruk barbarzyńcy oznaczać miał zgodę. Ruszyli po omacku wzdłuż korytarza. Wtem Murilo coś sobie przypomniał:

- Jak rozpoznałeś mnie w tych ciemnościach?

- Gdy wszedłeś do mej celi, poczułem perfumy, którymi polewasz swe loki - odparł Conan. - Poczułem je znowu, kiedym przed chwilą czaił się w ciemności, gotując się do wyprucia ci bebeczków.

Murilo przyłożył jeden ze swych czarnych pukli do nosa i w pełni zdał sobie sprawę z czułości zmysłów barbarzyńcy: nawet teraz, dla powonienia mieszcucha, zapach ledwo był wyczuwalny.

Gdy ruszyli, ręka jego odruchowo opadła ku pochwie miecza. Zaklął: była pusta. Po chwili nikła poświata zamajaczyła przed nimi; doszli do ostrego zakrętu korytarza i razem wychylili się zza węgła; Murilo półleżąc na Conanie poczuł nagle, jak mocarne ciało barbarzyńcy tężeje, wtedy spostrzegł, że w korytarzu poza zakrętem leży bezwładne, półnagie ludzkie ciało, cokolwiek oświetlone przez promienie zdające się emanować z widniejącej w oddali na ścianie szerokiej, srebrnej tarczy. Zarysy leżące; postaci zdały mu się dziwnie znajome... Straszne i niewytłumaczalne zarazem podejrzenie opanowało Murila.

Gestem nakazując Cymmeryjczykowi, by podążył za nim, ruszył naprzód i pochylił się nad ciałem. Przewyciężając obrzydzenie uchwycił leżącego za ramiona i odwrócił go na plecy.

Okropny okrzyk wydarł się z warg młodego szlachcica, stojący zaś obok niego Conan aż jęknął ze zdumienia.

- Nabonidus! Czerwony Kapłan! - wyrzucił z siebie Murilo. - Ale kto... co...

Leżący jęknął i zadrzał. Z kocią szybkością skoczył ku niemu Conan, mierząc puginałem w serce kapłana...

W ostatniej chwili Murilo schwycił go za zbrojną w morderczy oręż dłoń.

- Czeka! Jeszcze go nie zabijaj!

- Czemu nie? - zdziwił się Cymmeryjczyk. - Wszak widzisz, że zrzucił skórę wilkołaka i śpi; czy zbudzisz go, by rozdarł nas na strzępy?

- Poczekaj. - Po wstrząsie, jakiego doznał przed chwilą, Murilo z wolna przychodził do siebie. - Spójrz - on nie śpi - widzisz ten siniak na wygolonej skroni? Ogluszono go - mógł tu leżeć od wielu godzin.

- Zdawało mi się, żeś widział go tam, w domu, na górze, pod postacią bestii.

- Tak, widziałem! A może... On się budzi! Powstrzymaj twe ostrze Conanie, uwikłaliśmy się w sprawy poważniejsze, niż mogłem przypuszczać; zanim zabijemy kapłana, muszę dobyć z niego języka.

Nabonidus uniósł drżącą rękę do obolałej skroni, jęknął i otworzył oczy; zrazu niewidzące i puste, po chwili odzyskały swą dawną przenikliwość. Jak by okropny nie był cios, który na czas jakiś pogrzył w mroku bystry umysł kapłana, począł on teraz pracować ze zwykłą dla siebie szybkością. Przytomne już spojrzenie Nabonidusa omiotło kilkakrotnie otoczenie, by spocząć na twarzy Murila.

- Zaszczycasz swą obecnością mój biedny dom, panie - zaśmiał się chłodno kapłan, spoglądając przy tym na potężną postać, piętrzącą się za plecami młodego szlachcica. - Jak widzę, przywiodłeś ze sobą dzielnego osiłka; zali twój miecz nie wystarczy, by zbawić życia moją mizerną osobę?

- Dość na tym - niecierpliwie uciał Murilo. - Jak długo tu leżysz?

- Pytanie trudne dla człowieka właśnie odzyskującego przytomność - odparł kapłan. - Nie wiem, jaką mamy porę; pamiętam tylko, że gdy mnie powalono, około godziny brakowało do północy.

- Któż zatem przebrany w twą szatę przebywa w domu?

- To musi być Thak - odparł Nabonidus, ostrożnie badając swe rany. - Tak, to z pewnością on. Czy rzekłeś: w mojej szacie? Parszywy pies!

Conan nie rozumiejąc o czym w jego przytomności mówiono, wiercił się niespokojnie, mrużąc coś do siebie we własnym języku. Nabonidus rzucił nań niespokojnym okiem.

- Nóż twego siepacza tęskni do mojego serca. Sądziłem, Murilo, że będziesz dostatecznie rozsądny i korzystając z mego ostrzeżenia, uciekniesz z miasta.

- Skąd miałem wiedzieć, iż byłoby mi to dane - za-replikował Murilo. - A poza tym tu trzymają mnie moje interesy.

- Dobrze się dobrałeś z tym oprawcą - mruknął Nabonidus, łypiąc z ukosa na sylwetkę Conana. - Już od pewnego czasu miałem cię w podejrzeniu i dlatego zniknął ów blady szambelan; nim umarł, powiedział mi wiele rzeczy, a między innymi nazwisko pewnego młodego szlachcica, który przekupił go, by zdobyć tajemnice dworu, odprzedane dalej przez owego młodzieńca sąsiednim dominiom. Zali się nie wstydzisz, Murilo, złodzieju o delikatnych rękach?

- Nie więcej mam powodów do wstydu niż ty, łajdaku o sercu sępa - odparł nie zmieszany Murilo.  
- Dla swej osobistej chciwości wyzyskujesz całe królestwo; przywdziawszy na twarz maskę znudzonego męża stanu oszukujesz króla, rujnujesz bogaczy, ciemniesz biedotę, a całą przyszłość narodu poświęciłeś dla zaspokojenia swych okrutnych ambicji. Niczym innym nie jesteś jak tylko tłustym wieprzem o ryju pogrążonym w żłobie; nie mnie się równać z twą złodziejską sztuką. Ów Cymmeryjczyk najuczciwszy jest spośród nas trzech, kradnie bowiem i morduje otwarcie.

- No dobrze - ozwał się Nabonidus. - Jest tu nas trzech, godnych siebie łajdaków. Ale co dalej? Co będzie z moim życiem?

- Gdym ujrzał ucho zgłodzonego przez ciebie szambelana, pojąłem, że wyrok na mnie już zapadł - rzekł gwałtownie Murilo. - Przypuszczałem, iż by mnie zgładzić, zechcesz się posłużyć rozkazem wydanym przez króla. Czyż nie miałem racji?

- Odgadłeś trafnie - odparł kapłan. - Pozbycie się szambelana było dziecinnie łatwe - mogłem sam o to zadbać: ty jesteś osobą zbyt znaczną, nawet dla mnie. Miałem tedy zamiar jutro z rana opowiedzieć królowi żarcik o tobie...

- Żarcik, który kosztowałby mnie głowę - warknął Murilo. - A zatem król nic nie wie o moich zagranicznych przedsięwzięciach?

- Jak dotychczas - westchnął Nabonidus. - Ale widząc nóż w rękach twego kompana zaczynam się obawiać, że żarcik ten nigdy nie będzie opowiedziany.

- Powinieneś wiedzieć, jak nas wydostać z tej kreciej nory - rzekł Murilo. - Powiedzmy, że daruję ci życie - czy w zamian pomożesz nam uciec i przysięgniesz zachować milczenie o mej... hm... niedyskrecji?

- Czy kapłan kiedykolwiek dotrzymuje przysięgi? - włączył się do rozmowy Conan. - Pozwól mi poderżnąć mu gardło, chcę sprawdzić, jakiego koloru jest jego krew. W Labiryncie powiadają, iż serce Czerwonego Kapłana jest czarne, tedy i krew jego także czarną być musi.

- Zamilcz, prostaku! - szepnął Murilo. - Jeśli ów łotr nie zechce pokazać nam wyjścia z tych lochów, zginiemy tu obaj.

I głośniej już dodał:

- A więc, Nabonidusie, cóż na to powiesz?

- Cóż może odpowiedzieć wilk z łapą w potrzasku - zaśmiał się kapłan. - Jestem w waszej mocy, lecz jeśli mamy stąd wyjść cało, musimy sobie wzajem pomagać. Przysięgam, iż jeśli przeżyjemy tę przygodę, zapomnę o twych ciemnych sprawkach - przysięgam na duszę Mitry!

- To mi wystarczy - osądził Murilo. - Nawet Czerwony Kapłan nie złamałby tej przysięgi. A teraz uchodźmy czym prędzej! Mój stojący obok przyjaciel dostał się tu przez tunel, lecz spadła za nim krata odcinająca nam odwrót; czy możesz kratę tę podnieść?

- Nie z tego lochu. Dźwignia podnosząca kratę jest w komorze ponad tunelem. A stąd wyjść można tylko jedną jeszcze drogą i tę drogę zaraz wam pokażę. Lecz pierwszej zaspokój i mą ciekawość - odpowiedz, jakże się tu dostał?

Murilo w kilku słowach opisał swe przypadki, zaś kapłan, wysłuchawszy go, skinął głową na znak, że wszystko zrozumiał, po czym z 'wolna uniósł się na nogi. Obolały jeszcze po długim spoczynku na kamiennej podłodze, powłóczę nogami ruszył korytarzem. Loch rozszerzał się, tworząc obszerną komorę; kapłan skierował się w stronę widniejącego na odległej ścianie srebrzystego kręgu. W miarę zbliżania się do owego miejsca natężenie światła rosło, choć wciąż pozostawało ono tylko rodzajem rozrzedzającej mrok metalicznej poświaty. Stanąwszy przy srebrzystym kręgu, ujrzeli wąskie schody wiodące ku górze.

- Oto jest i wyjście. Wiem na pewno, że drzwi, tam u szczytu, nie są zamknięte. Mam jednak wrażenie, iż ten, kto zechce przejść przez owe drzwi, lepiej by zrobił podrzynając sobie własnoręcznie gardło; spójrzcie - tu gestem wskazał srebrzyste koło.

To, co z dala wyglądało na srebrną płytę, było w istocie wielkim zwierciadłem osadzonym w ścianie. Zawity układ miedzianych rur wybiegał z muru ponad nim, zakręcając ku powierzchni lustra pod prostymi kątami; przyłożywszy oko do wylotu jednej z owych rur Murilo ujrział oszałamiający ciąg wielu mniejszych luster. Z kolei młody szlachcic skupił uwagę na wielkim zwierciadle i nagle aż drgnął ze zdumienia; zaglądną mu przez ramię Conan tylko stęknął głucho, nie wierząc własnym oczom. Mieli wrażenie, iż zaglądną przez szerokie okno do wnętrza rzęsiście oświetlonej komnaty; widzieli wielkie lustro na ścianach obitych aksamitem, kryte kosztownym jedwabiem łoża, fotele z hebanu zdobione kością słoniową; widzieli także liczne, zasłonięte kotarami drzwi - zapewne wejścia do innych komnat. Wiodąc dalej wzrokiem ujrzeli wielkie, czarne monstrum, kontrastujące groteskowo z przepychem komnaty.

Murilo poczuł, że serce podchodzi mu do gardła; spojrzawszy w twarz potwora odniósł wrażenie, iż bestia patrzy mu prosto w oczy. Odruchowo odskoczył od lustra dostrzegając równocześnie, jak Conan zbliżył twarz do srebrzystej tafli, tak że niemal tykał jej wargami miotając obelgi i przekleństwa w swym barbarzyńskim języku.

- W imię Mitry, Nabonidusie! - Murilo ledwie dyszał z przerażenia. - Cóż to za ohyda?

- To Thak - spokojnie odparł kapłan, ostrożnie masując swą obolałą skroń. - Ktoś mógłby nazwać go małpą, lecz różni się on od małpy co najmniej tyle samo, co od człowieka. Jego lud żyje daleko na wschodzie, w górach obrzeżających wschodnie granice królestwa Zamory; plemię owo nieliczne jest, lecz wierzę, iż jeśli nie zostaną wybici, za jakie sto tysięcy lat staną się ludźmi. Obecnie są w stadium przejściowym, nie będąc, jak ich odlegli przodkowie, małpami, nie są też tym, czym mogą się stać z upływem millenniów ich potomkowie - ludźmi.

- Żyją w wysokich partiach niedostępnych gór, nie znając ognia, nie budując domów, nie odziani; nie znają też broni, a porozumiewają się mową złożoną głównie z pomruków i cmoknięć.

- Przygarnąłem Thaka, gdy był jeszcze szczeniakiem; z czasem uczył się wszystkiego szybciej i dokładniej niż jakiegokolwiek normalne zwierzę - był mi obrońcą i sługą zarazem.

- Lecz zapomniałem, iż istoty po części człowieczej nie da się zepchnąć do roli bezwolnego cienia tak, jak można by to uczynić ze zwyczajnym zwierzęciem. Najwidoczniej jego prymitywny mózg zachował uczucia złości, nienawiści i czegoś w rodzaju zwierzęcej ambicji.

- Uderzył, gdym się tego najmniej spodziewałem. Dziś wieczorem jakby nagle zwariował, a jego zachowanie nosiło wszelkie znamiona zwierzęcego szału; nie zawiódł mnie jednak - wiedziałem, że musiał to już dawno zaplanować.

- Usłyszałem dochodzące z ogrodu odgłosy walki i gdy szedłem, by sprawdzić, co się dzieje - a sądziłem, iż to mój pies rozszarpuje ciebie, Murilo - nagle z zarośli wypadł na mnie Thak ociekający krwią. Zanim zdałem sobie sprawę z jego zamysłu, rzucił się na mnie i straszliwym ciosem twardego jak końskie kopyto kułaka poraził mą skroń. Nie pomnę nic więcej; domyślałem się jeno, iż wiedziony jakimś impulsem na poły ludzkiego mózgu, odarł mię z szat, a nagiego - acz ciągle żywego - do lochu cisnął. Dlaczego? Bogowie raczą wiedzieć.

- Z ogrodu wracał po zabiciu psa; później, w domu, sprawił Jokę - sameś widział jego martwe ciało; Joka stanąłby w mej obronie nawet przeciwko Thakowi, którego zresztą zawsze nienawidził.

Murilo wbił wzrok w kreaturę widoczną w lustrze; bestia siedziała z kamiennym spokojem przed zamkniętymi drzwiami.

Zadrżał, ujrawszy wielkie, czarne dłonie tak gęstym porośnięte włosiem, że przypominało ono raczej zwierzęce futro; przygarbione cielsko było potężne - nadnaturalnie szerokie bary rozsadzały szkarłatną szatę, odsłaniając ramiona potwora; Murilo zauważył, iż porasta je futro równie gęste jak na dłoniach. Spod kaptura wyzierała zdecydowanie zwierzęca fizjonomia; Murilo musiał jednak uznać za prawdziwe stwierdzenie Nabonidusa, iż bestia owa jest czymś więcej niż tylko zwierzęciem; było w czerwonych, złośliwych oczkach, niezgrabnej postawie, w całym wyglądzie owej istoty coś, co różniło ją od zwierząt. Monstrualne ciało kryło rozum i duszę zapowiadające rychłe zmagania o prawdziwe człowieczeństwo.

Murilo stał jak wryty, zauważając odległe podobieństwo pomiędzy swoim własnym rodzajem a siedzącym w kucki potworem; zrobiło mu się słabo na myśl o otchłaniach zwierzęcości, z których ludzkość wydzwignęła się w trwającej eony morderczej wspinaczce.

- Bez ochyby nas widzi - warknął Conan. - Czemuż więc nie atakuje? Mógłby z łatwością przebić się przez to okno.

Teraz dopiero Murilo zdał sobie sprawę, że Conan bierze lustro za okno, przez które wyglądają z lochu.

- On nas nie widzi - odezwał się kapłan. - Zaglądamy do komnaty leżącej nad nami, a drzwi pilnowane przez Thaka to te u szczytu schodów. To tylko prosty układ luster - czy widzicie te zwierciadła na ścianach? Przekazują odbicie wszystkiego, co się dzieje w komnacie, do tych rur, wzdłuż których inne lustra przesyłają obraz dalej, by ostatecznie wyświetlić go w powiększeniu na tym dużym zwierciadle przed nami.



Murilo uświadomił sobie, że kapłan, by dokonać takiego wynalazku, musi wyprzedzić swą epokę o stulecia; Conan zaś uznał to wszystko za czarną magię i nie próbował nawet z wywodu kapłana nic pojąć.

- Kazałem zbudować ten loch, by służył jako więzienie i miejsce schronienia zarazem - mówił dalej Nabonidus. - Bywało, że ukrywałem się tu i poprzez lustra widziałem, jak dokonywała się kaźń na żądnych mej krwi zbirach.

- Lecz czemu Thak pilnuje tych drzwi? - zdumiał się Murilo.

- Musiał słyszeć opadnięcie kraty w tunelu - jest połączona z dzwonkiem w komnacie powyżej; wie, że ktoś jest w lochu i czeka, aż człek ten wejdzie po schodach na górę. Dobrze przyswoił sobie nauki, jakich mu udzielałem; widywał, co działo się z ludźmi wychodzącymi przez te drzwi, gdy pociągałem za linę wiszącą tam, na ścianie; teraz czeka, by mnie naśladować.

- Cóż mamy czynić, skoro owo monstrum waruje pod drzwiami?

- Możemy go tylko obserwować; dopóki jest w komnacie, nie śmiejmy nawet wejść po schodach. Thak ma siłę goryla i z łatwością mógłby nas rozszarpać na strzępy. Ale nie potrzebuje używać swych mięśni; jeśli otworzymy te drzwi, wystarczy, że pociągnie za linkę, a przeniesiemy się do wieczności.

- Jakimż to sposobem? - zaciekawił się Murilo.

- Zgodziłem się dopomóc wam w ucieczce - odparł kapłan. - Nie pomnę jednak, iżbym obiecywał zdradzać me sekrety.

Murilo chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz zastygł z otwartymi ustami, a wzrok jego zawisł na zwierciadle; Conan i Nabonidus także zbliżyli twarze do błyszczącej tafli.

Ukradkiem czyjaś dłoń rozchyliła zasłony przed jednym z wejść wiodących do położonej nad nimi komnaty. W szczelinie ukazała się czarniawa twarz o błyszczących oczach; groźne spojrzenie spoczęło na pogrążonej w fotelu zgarbionej postaci w czerwonym habicie.

- Petreus! - syknął kapłan. - Na Mitrę, coż za zgromadzenie sępów ogląda dzisiejszej nocy mój dom!

Twarz pozostała w obramieniu zasłon, a za nią pojawiły się następne - ciemne, szczupłe, jednako napiętnowane żądzą mordy.

- Cóż oni tu robią! - Murilo odruchowo ściszył głos, choć powinien był pamiętać, że niespodziewani przybysze nie mogą go słyszeć.

- Hm, coż może robić w domu Czerwonego Kapłana Petreus wraz ze swymi żarliwymi nacjonalistami? - zaśmiał się Nabonidus. - Spójrz, z jaką nienawiścią ślepią na postać, którą biorą za swego najgorszego wroga - popełniają ten sam błąd, co ty. Pyszny zaiste widokiem będą ich miny, kiedy owo złudzenie się rozwieje.

Murilo nic nie odpowiadał. Cała ta sytuacja miała dlań wyraźny posmak fantazji i ułudy: miał wrażenie, iż jest na przedstawieniu marionetek lub raczej czuł się jak bezcielesny duch obserwujący żywych ludzi, nieświadomych ani jego obecności, ani tego, iż są przez kogoś widziani.

Młody szlachcic nie miał pewności, czy Thak wyczuwał obecność intruzów; w każdym razie nie dawał tego po sobie poznać - siedział, jak przedtem, zwrócony plecami do drzwi, przez które lada moment mieli wpaść do komnaty skrytobójcy.

- Przybywają w takich samych, jak twoje, intencjach - szepnął Nabonidus do ucha Murila - tyle tylko, że z powodów patriotycznych raczej niż osobistych. Teraz, gdy pies jest martwy, jakże łatwo dostać się do mego domu. Ach, jakąż miałbym okazję, by się ich teraz pozbyć - raz na zawsze! Gdybym to ja siedział w fotelu zamiast Thaka... jeden skok ku ścianie... szarpnięcie za linę...

Petreus ostrożnie uniósł stopę nad progiem komnaty; jego towarzysze tłoczyli się tuż za nim, a ich obnażone sztylety połyskiwały z lekka w półmroku korytarza.

Nagle Thak zerwał się z fotela i rzucił się ku spiskowcom. Ci, nastawieni na to, iż ujrzą znienawidzoną, lecz dobrze znaną postać Nabonidusa, zostali w pełni zaskoczeni koszmarnym widokiem szarżującej bestii; w drzazgi poszły ich determinacja i odwaga, ustępując miejsca dzikiej panice. Wydawszy okropny krzyk Petreus cofnął się, pociągając za sobą swych towarzyszy - powodowani nieopisaną trwogą wpadali na siebie w wąskim przejściu, przewracając się wzajemnie i potykając o ciała leżących. W tej chwili Thak jednym pokracznym susem dopadł ściany, schwycił grubą, aksamitną linę - i szarpnął.

Natychmiast kotary po obu stronach wejścia rozsunęły się odsłaniając korytarz, a z góry coś śmignęło ze szczególnym srebrzystym pobłyskiem.

- On pamiętał! - triumfował Nabonidus. - Ta bestia jest prawie człowiekiem! Był kiedyś świadkiem podobnej kaźni i zapamiętał wszystko! Uważajcie teraz! Patrzcie!

Murilo zorientował się, iż to, co przegrodziło wejście, było grubą, szklaną płytą. Dostrzegął poblask twarze konspiratorów; Petreus, wyrzuciwszy przed siebie ręce jakby w obawie przed atakiem Thaka, napotkał przezroczystą barierę i gestykulując jął coś tłumaczyć swym kompanom.

Teraz, gdy kotary były odciągnięte na boki, trzech mężczyzn w lochu mogło widzieć wszystko, co działo się w części korytarza mieszczącej stłoczonych nacjonalistów.

Opanowani przerażeniem, rzucili się pędem w stronę, z której nadeszli - po to tylko, by odbić się od krzepkiej a niewidzialnej ściany.

- Szarpnięcie za linę zamyka ów korytarz - chichotał Nabonidus. - To proste: szklane tafle zsuwają się w rowkach wyżłobionych w futrynie; pociągnięcie liny zwalnia sprężynę trzymającą tafle. Opadają one, a zatrask uniemożliwia ich podniesienie. Podnieść je można tylko z zewnątrz. Szkło jest odporne na uderzenia - nawet kowalski młot nie mógłby go rozbić.

Schwytyanych w pułapkę ludzi ogarnęła histeryczna trwoga - miotali się dziko od jednych do

drugich drzwi; łomocząc na próżno w kryształowe ściany, wygrażali pięściami w stronę nieubłaganej czarnej postaci, która przykucnęła na zewnątrz, spokojnie obserwując zachowanie pojmanych spiskowców.

Wtem jeden z nich odchylił głowę, spojrział w górę i, jak można było sądzić z ruchu jego warg, począł krzyczeć, wskazując ręką na sufit.

- Opadnięcie tafli wyzwala Tuman Śmierci - wyjaśnił usłużnie Czerwony Kapłan, zanosząc się dzikim śmiechem. - Jest to pyłek szarego lotosu, porastającego Moczary Nieboszczyków, hen, poza granicami krainy Khitaju.

Z powały w korytarzu opuszczała się z wolna kiść złotych pąków; otwierały się jak płatki wielkiej, przekwitłej róży, a spływały z nich fale szarawej mgiełki, stopniowo wypełniającej zamkniętą szklanymi taflami przestrzeń. Natychmiast histeria panująca wśród pojmanych spiskowców ustąpiła miejsca szaleństwu i grozie. Ludzie w korytarzu zaczęli się potykać, zataczać jak pijani, a piana wystąpiła na ich wykrzywione odpychającym śmiechem usta. Z wściekłością rzucali się na siebie, tnąc, gryząc, drąc pazurami, mordując w obłędnej masakrze.

Murilo poczuł, iż chwytają go mdłości; dziękował bogom za to, że nie musiał słyszeć krzyków i jęków, od których zapewne aż drżały ściany fatalnego korytarza. Bezgłośna tragedia przypominała mu teatr cieni.

W pobliżu miejsca kaźni, tuż przy szklanej tafli, Thak podrygiwał ze zwierzęcą radością, wyrzucając wysoko w górę owłosione ramiona. Za plecami Murila Nabonidus chichotał jak strzyga:

- Och, cóż za piękny sztych, Petreusie! Uczciwie go wypatroszyłeś! A ten cios dla ciebie, mój patriotyczny przyjacielu! Nareszcie! Padli już wszyscy, a żywi ociekającymi śliną zębami szarpia ciała martwych!

Murilo zadrżał; stojący za nim Cymmeryjczyk cicho przeklinał w swym chropawym języku. Śmierć objęła władzę nad korytarzem wypełnionym szarą mgiełką. Konspiratorzy leżeli, tworząc stos poszarpanych, okaleczonych ciał; zastygli, zwracając ku górze zakrwawione twarze o otwartych ustach, a ponad ich niewidzącymi oczyma z wolna wirowała chmura szarego pyłu.

Thak, zgarbiony niczym olbrzymi gnom, podszedł do ściany i w szczególny sposób pociągnął za linkę.

- Otwiera zewnętrzne drzwi - rzekł Nabonidus. - Na Mitrę! Jest w nim więcej z człowieka, niżlibym mógł przypuszczać. Widzicie: mgiełka wypływa z korytarza i rozprasza się, a on dla bezpieczeństwa czeka. Teraz podnosi drugą taflę - jest ostrożny: zna moc szarego lotosu niosącego śmierć i szaleństwo. Na Mitrę!

Murilo aż podskoczył, uderzony siłą wyrazu ostatnich słów kapłana.

- Oto pojawia się nasza jedyna szansa - pośpiesznie wyjaśnił Nabonidus. - Jeśli Thak opuści komnatę na kilka chwil, zaryzykujemy wejście po schodach.

W napięciu obserwowali potwora znikającego w korytarzu. Gdy szklane tafle podniosły się, kotary opadły na miejsce zasłaniając wylot komory śmierci.

Kapłan przeciął milczenie:

- Musimy ryzykować! - Murilo wbił wzrok w zroszoną kroplami potu twarz Nabonidusa. - Thak widział kiedyś, jak pozbywałem się ciał i zapewne robi to właśnie teraz. Szybko, za mną na górę! - Tu kapłan rzucił się ku schodom, wbiegając na nie ze zdumiewającą Murila zręcznością. Młody szlachcic i Cymmeryjczyk deptali mu po piętach; po otwarciu drzwi u szczytu schodów z ust Nabonidusa wyrwało się głębokie westchnienie ulgi: Thaka nie było w komnacie.

- Jest w korytarzu z ciałami - zasugerował Murilo. - Czemu nie mielibyśmy schwytać go w pułapkę, tak jak on schwytał Petreusa i jego ludzi?

- Nie, nie... - Nabonidus dyszał, łapiąc oddech, a nienaturalna bladość wystąpiła mu na lica. - Nie mamy pewności, czy on rzeczywiście tam jest; poza tym może wyjść, nim zdążymy dopaść liny. Podążajcie za mną korytarzem - muszę dostać się do swej komnaty, skąd wezmę broń zdolną unicestwić Thaka. Ten korytarz jest jedynym wolnym od pułapek.

Ruszyli za nim, szybko dopadając zasłoniętych kotarą drzwi, które leżały naprzeciwko wejścia do komory śmierci, i znaleźli się w korytarzu; w obłędym pośpiechu Nabonidus jął próbować kolejno drzwi po obu stronach. Wszystkie były zamknięte.

- Na Mitrę! - Czerwony Kapłan zatoczył się i oparł o ścianę, a skóra jego przybrała barwę popiołu. - Drzwi są pozamykane, a Thak odebrał mi klucze. Wpadliśmy w pułapkę.

Murilo, sam poblady, okrągłymi oczyma patrzył na ogarniętego paniką kapłana; ten jednak po chwili wziął się w garść.

- Ta bestia mnie przeraża - oświadczył. - Gdybyście, tak jak ja, widzieli go rozszarpującego ludzi... Mitro - wspomagaj nas! Teraz musimy z nim walczyć tym, co nam bogowie dali. Chodźcie!

Poprowadził ich z powrotem ku zasłoniętemu kotarą wejściu do okrągłej komnaty i wyjrzał przez szparę właśnie w chwili, gdy Thak wychynął z drzwi po przeciwnej stronie. Od razu widać było, że bestia coś podejrzewa. Małe, nisko osadzone uszy Thaka strzygły czujnie; potwór rzucał wokoło gniewne spojrzenia i zbliżywszy się do pierwszych z brzegu drzwi szarpnął w bok zasłonę, by sprawdzić, co się za nią kryje.

Nabonidus, trzęsąc się jak liść osiki, cofnął się i uchwyciwszy kurczowo ramię Conana zapytał szeptem:

- Człowiecze, czy odważysz się wystawić swój nóż przeciwko jego kłom?

Błysk oczu Cymmeryjczyka starczył za odpowiedź.

- Szybko! - syknął kapłan popychając Conana ku ścianie, za zasłonę. - Gdy nas odkryje, co nastąpi lada moment, ja i młodzieniec ściągniemy na siebie uwagę. Jeśli zdołasz, zatop swój nóż w jego

plecach, kiedy będzie przebiegał obok ciebie. Ty, Murilo, pokaż mu się, a później uciekaj korytarzem. Mitra wie, że nie mamy nawet cienia nadziei na zwyciężenie Thaka w otwartej walce, ale i tak bylibyśmy zgubieni, wkrótce bowiem odnalazłby nas.

Murilo poczuł, jak krew uderza mu do głowy, ale szybko opanował się i zdecydowanym ruchem odsunął kotarę, na krok wychylając się z korytarza. Thak, buszujący właśnie po przeciwnej stronie komnaty, odwrócił się, spojrzął i skoczył w stronę Murila z grzmiącym rykiem. Szkarłatny kaptur zsunął mu się na plecy, odsłaniając czarną, niekształtną głowę; czarne łapy i tkanina habitu unurzane były w jaśniejszej czerwieni. Gdy tak szarżował w poprzek komnaty obnażywszy kły, wyglądał jak czarno-czerwony upiór, a krótkie, krzywe nogi zaskakująco lekko unosiły ogromne cielsko.

Murilo odwrócił się i śmignął w górę korytarza; choć strach dodał jeszcze chyżości jego nogom, kosmaty potwór już mu siedział na karku.

Gdy Thak mijał kotarę, Conan wystrzelił spoza niej, spadając na ramiona małpoluda i w tym samym momencie pogrążając puginał w jego plecach. Thak zawrzasnął przerażająco, a impet zwałił go z nóg; szczepieni przeciwnicy huknęli o podłogę, natychmiast tworząc wir splecionych w straszliwych zapasach członków, z trzaskiem kości przemieszczający się po komnacie.

Murilo spostrzegł, że barbarzyńca zacisnął nogi na torsie bestii i starając się utrzymać pozycję na jej plecach raz za razem zadawał ciosy puginałem. Thak usiłował tak przemieścić uwieszonego na swych plecach wroga, by ten znalazł się w zasięgu olbrzymich kłów, szczękających co chwila z dziką żądzą zmiżdżenia ciała napastnika. W huraganie ciosów, spowici w strzępy szkarłatnej szaty walczący przeciwnicy przetoczyli się korytarzem, a poruszali się tak szybko, iż Murilo, obawiając się, że mógłby porazić Conana, nie odważył się użyć krzesła, które zdążył schwycić.

Pomimo przewagi wynikającej z zaskoczenia i pierwszego chwytu Conana, pomimo czerwonej szaty omotującej członki małpoluda i krępującej przez to jego ruchy nadnaturalna siła Thaka zaczęła przeważać - wolno, lecz nieubłaganie przyciągał Cymmeryjczyka ku swej dyszącej żądzą mordy paszczęce.

Małpolud otrzymał już tyle ciosów, iż, równo obdzielone, mogłyby zabić tuzin ludzi. Puginał Conana raz za razem tonął w plecach, torsie i byczym karku krwawiącej już obficie z licznych ran bestii; gdyby jednak ostra stal nie sięgnęła lada chwila jakiegoś witalnego organu, nadludzka żywotność Thaka wystarczyłaby do rozszarpania Conana, a po nim dwóch jego towarzyszy. Cymmeryjczyk także walczył jak dzika bestia - w kompletnej ciszy, z rzadka tylko przerywanej sapnięciami z wysiłku; czarne pazury potwora darły ciało Conana, a stalowy uchwyt niekształtnych łap nieuchronnie przybliżał twarz barbarzyńcy do mierzających w jego gardło kłów.

Wtem Murilo dojrzał właściwy moment - skoczył, zamachnąwszy się krzesłem i z siłą wystarczającą do zmiżdżenia ludzkiej czaszki, uderzył. Ciężkie krzesło odbiło się od kosmatego łba, lecz zamroczony na ułamek sekundy potwór rozluźnił dusicielski uścisk, a wtedy dyszący i broczący krwią Conan zadał cios, pogrążając puginał aż po rękojęść w sercu bestii.

Konwulsyjny skurcz przebiegł ciało małpoluda; chciał jeszcze powstać z podłogi, ale zdążył tylko nieść się nieco, wytrzeszczył oczy i opadł bezwładnie, a członki jego zadrżały w ostatnim skurczu.

Znieruchomiał.

Conan z wolna dźwignął się na nogi i zatoczył lekko; wierzchem dłoni otarł pot i krew zalewające mu oczy; krew kapłała z jego palców i z pugińału, a z ramion, ud i torsu ściekała cieniutkimi strużkami. Murilo doskoczył doń, by go podtrzymać, ale barbarzyńca odpędził go niecierpliwym gestem:

- Kiedy nie będę mógł ustać o własnych siłach, będzie to znak, że umieram - wymamrotał opuchniętymi wargami. - Ale puchar wina z chęcią bym wychylił.

Nabonidus wbił wzrok w leżącego sztywno Thaka, jak gdyby nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Czarny, odrażająco kosmaty potwór przedstawiał widok

groteskowo-makabryczny: leżał spowity w strzępy szkarłatnej szaty, bardziej jednak ludzki niż zwierzęcy i to przydawało jego martwemu ciału szczególnego patosu.

Nawet Cymmeryjczyk uległ podobnemu wrażeniu, ozwał się bowiem przerywając ciszę:

- Pokonałem dziś człowieka, nie zwierzę; zaliczę go pomiędzy najmężniejszych spośród tych, których dusze wysłałem w krainę wiecznej ciemności, a moje kobiety będą śpiewać o nim pieśni.

Nabonidus schylił się i podniósł pęk kluczy na złotym łańcuchu, spadły one z szyi małpoluda podczas walki. Skinął na swych towarzyszy, by poszli za nim i poprowadził ich do komnaty. Tu Nabonidus otworzył jedne z drzwi i pierwszy wszedł do środka. Izba ta, podobnie jak inne, była rześście oświetlona; Czerwony Kapłan wziął ze stołu flakon z winem i napełnił kryształowe puchary; gdy zaś jego goście łapczywie gasili pragnienie, rzekł:

- Cóż za noc mamy za sobą! Już prawie świta; co zamierzacie czynić?

- Jeśli dasz mi bandażę i resztę potrzebnych do tego rzeczy, opatrzę rany Conana - rzekł Murilo, na co Nabonidus skinął głową i ruszył w stronę wyjścia.

Jakaś ulotna zmiana w pochyleniu głowy kapłana zwróciła uwagę Murila...

Stojący w drzwiach Nabonidus odwrócił się nagle z odmienioną twarzą: oczy załśniły mu triumfalnym blaskiem, a okrutne usta wykrzywił bezgłośny śmiech:

- Tacy sami łajdacy - w głosie brzmiała nuta drwiny. - Lecz nie tacy sami głupcy! Głupcem jesteś ty, Murilo!

- Co masz na myśli - młody szlachcic uniósł stopę, chcąc ruszyć z miejsca.

- W tył! - głos Nabonidusa ciął jak bicz. - Jeszcze krok, i zniszczę was!

- Cóż to za zdrada? - krzyknął Murilo. - Wszak przysięgałeś...

- Przysięgałem, że nie opowiem królowi dykteryjki o tobie; nie przysięgałem, że nie wezmę spraw

w swoje ręce, gdy nadarzy się po temu sposobność. Zali myślisz, że mógłbym przepuścić taką okazję? W normalnych okolicznościach nie odważyłbym się zabić cię bez błogosławieństwa króla, ale o tym, co się zaraz tu stanie, nikt się nie dowie - traficie do kadzi pełnej kwasu, razem z Thakiem i nacjonalistycznymi głupcami, i wszelki ślad po was zginie. Cóż to była dla mnie za noc! Jeślim nawet stracił cenne sługi, to zarazem pozbyłem się groźnych nieprzyjaciół. Stójcie! Jestem na progu i nie możecie mnie dopaść, nim szarpnę za linę, by was posłać do piekieł! Prawie każda komnata w moim domu jest pułapką - nie szary lotos tym razem, a coś równie skutecznego: a więc, Murilo, ty głupcze...

...zbyt szybko, by wzrok mógł nadażyć, Conan schwycił stołek i cisnął nim; Nabonidus instynktownie poderwał ramię - lecz nie zdążył: ciężki pocisk dosięgnął jego czaszki.

Czerwony Kapłan zachwiał się i padł twarzą naprzód, a dookoła jego głowy szybko poczęła się tworzyć ciemno-purpurowa kałuża.

- Jego krew była jednak czerwona - mruknął Conan.

Murilo poczuł, jak uginają się pod nim kolana - nagła ulga odebrała mu siły i musiał się wesprzeć o stół, by nie upaść; drżącą rozcapierzoną dłonią ogarnął ociekające potem trwogi włosy. Słabym głosem powiedział:

- Świta - uchodźmy stąd, zanim dopadnie nas jakaś nowa wraża siła. Jeśli uda nam się wspiąć na mur zewnętrzny tak, by nikt tego nie zauważył, nie padnie na nas podejrzenie w związku z wydarzeniami tej nocy - pozwólmy gwardii, by sama dopisała wytłumaczenie całej tej historii.

Dreszcz przebiegł przez ramiona Murila, kiedy spojrzał na pławiące się we krwi ciało Nabonidusa.

- Był jednak głupcem - gdyby nie zatrzymał się, by z nas szydzić...

- Hm - rzekł spokojnie Conan. - Spotkał go koniec pisany - prędzej czy później - każdemu lajdakowi. Mam ochotę splądrować ten dom, ale zniknijmy stąd lepiej.

Kiedy wymknęli się już z ogrodu spowitego oparami rozświetlanymi przez wstający świt, odezwał się Murilo:

- Czerwony Kapłan odszedł w ciemności zaświata, moja przyszłość tedy w tym mieście w różowych jawi się kolorach i nie muszę się już niczego obawiać. Ale coź będzie z tobą, przyjacielu? Nie przycichła jeszcze sprawa kapłana z Labiryntu, więc...

- I tak znudziło mi się już to miasto. - Szeroki uśmiech rozpromienił twarz Conana. - Gadałeś coś o koniu, co ma czekać w Szczurzej Norze; ciekawym sprawdzić, jak szybko ten rumak zdoła mnie zanieść do sąsiedniego królestwa. Wiele jeszcze gościńców chcę przemierzyć, zanim odejdę drogą, którą Nabonidus podążył dzisiejszej nocy.

(Przełożył: Stanisław Czaja)

Na Murilowym rumaku, pełen ciekawości świata, dotarł Conan do położonego na wschodzie Turanu i jako najemny żołnierz wstąpił do służby w armii króla Yildiza. Niemalże przecież umiejętności wojenne wzbogacił tam o sztukę jazdy konnej i strzelania z łuku, a rozmaite misje pozwoliły mu poznać dziedziny tak egzotyczne jak Meru, Vendhya, Hyrkania i Khitai. Nieporozumienie z przełożonymi spowodowane, jak głosiły plotki, miłosnym temperamentem Conana, sprawiło, że po dwóch latach służby zdezerterował Cymmeryjczyk z armii turańskiej i powrócił w rodzinne strony. Wnet, wspólnie z grupą Aesirów, ruszył do Vanaheimu, by nieco obłuskać wraźch Vanirów...

Zamarł w oddali szcęk mieczów i toporów; umilkły wrzaski masakry; cisza legła na splamionym krwią śniegu. Zimne, wyblakłe słońce, które tak oślepiająco miało swe promienie z lodowców i zaśnieżonych równin, teraz krzeszło iskry z pociętych pancerzy i połamanych brzeszczotów tam, gdzie leżeli zabici. Martwe dłonie wciąż zaciskały się na rękojeściach; okryte hełmami głowy, odrzucone w spazmie agonii, ponuro zadzierały rude i złociste brody, jakby w ostatnich modłach do Ymira Lodowego Olbrzyna, boga ludu wojowników.

Ponad zakrwawionymi zaspami i opancerzonymi ciałami poległych patrzyło na siebie dwóch mężczyzn. Tylko oni poruszali się wśród wszechogarniającej martwoty. Mroźne niebo wisiało nad ich głowami, wokół rozsnuwała się bezgraniczna równina, u stóp mieli trupy.

Z wolna szli między nimi - jak duchy na spotkanie umówione wśród poboju martwego świata. Stanęli twarzą w twarz.

Byli ogromni, budowy krzepkiej jak tygrysy. Stracili tarcze, a ich pancerze były pogruhotane i wyszczerbione. Krew zastygła na zbrojach, czerwieniły się ostrza mieczów. Rogate hełmy nosiły ślady srogich ciosów. Pierwszy z wojowników bez brody był i czarnogrzywy, włosy i broda drugiego czerwieniły się jak krew na zalanym słońcem śniegu.

- Człeczce - ozwał się ten drugi - powiedz, jak cię zwa, abym zaś mógł mym braciom w Vanaheimie opowiedzieć, kto ostatni ze zgrai Wulfhera padł pod mieczem Heimdula.

- Nie w Vanaheimie - warknął czarnowłosy wojownik - ale w Valhalli powiesz swym braciom, żeś spotkał Conana z Cimmerii!

Heimdul ryknął i skoczył, a jego miecz zakreślił śmiertelny łuk. Gdy świszczące ostrze grzmotnęło w hełm, pękając na miriady błękitnych iskier, Conan zachwiał się i ujrzał przed oczami czerwone ogniki. Ale zataczając się, zadał całą siłą swych szerokich ramion potężne pchnięcie. Ostrze przeszło przez mosiężne łuski, kości i serce, a rudowłosy wojownik padł martwy do stóp Conana.

Cymmeryjczyk wyprostował się, wyswobadzając miecz i poczuł, że niespodziewanie ogarnia go



słabość. Blask słońca na śniegu ranił oczy jak nóż, niebo zdało się nagle nikle i dalekie. Odwrócił się od zdeptanego pobojuwiska, gdzie żółtobrodzi woje spoczywali wspólnie ze swymi rudowłosymi zabójcami w objęciach śmierci. Kilka zaledwie kroków uczynił, gdy pomroczył blask z zaśnieżonych pól. Ogarnęła go gwałtowna fala ślepoty; opadł w śnieg i wsparty na opancerzonym ramieniu próbował strząsnąć z oczu mgłę jak lew potrząsający grzywą.

Srebrzysty śmiech przebił spowijającą go zasłonę mroku i wzrok począł Conanowi wracać. Spojrzał w górę: coś niezwykłego, coś, czego nie potrafiłby umiejscowić ani nazwać, z całym się dziełem otoczeniem, a ziemia i niebo przybrały barwę osobliwą. Długo o tym nie myślał, przed nim bowiem, chwiejąc się na wietrze jak młoda brzoza, stała kobieta. Jej ciało, utoczone, zda się, z kości słoniowej, krył jeno welon z muślinu. Smukłe stopy bielsze były od śniegu, po którym stąpały. Oszołomionemu wojownikowi roześmiała się w twarz śmiechem słodszy niż szmer srebrzystych fontann, zatrutym wszelako jadem urągłiwej kpiny.

- Kim jesteś? - spytał Cymmeryjczyk. - I skąd przybywasz?

- Zali to ważne? - Głos, miłszy na pozór uchu niż dźwięk srebrnostrunnej harfy, miał w sobie coś okrutnego.

- Wezwij swych ludzi - rzekł, chwytając za miecz. - Odeszły mnie siły, ale tanio żywota nie sprzedam. Widzę, żeś z Vanirów!

- Czyżbym ci to wyznała?

Raz jeszcze wzrok Conana powędrował ku jej rozwianym lokom, które wcześniej wydały mu się rude. Teraz spostrzegł, że ani rude nie były, ani lniane, mając w istocie cudowny kolor pośredni. Były jak złoto elfów: słońce rozświetlało je tak oślepiająco, że ledwie mógł na nie patrzeć. Również jej oczy nie były ani niebieskie, ani szare, ale zmienne, tańczyły w nich światła i smugi barw, których nie umiał nazwać. Śmiały się jej pełne rubinowe wargi i od smukłych stóp po promienną burzę włosów jej alabastrowe ciało doskonalsze było niż marzenie bogów.

Krew zatętniła w skroniach wojownika.

- Nie wiem - ozwał się po chwili - czyś moim wrogiem z Vanheimu, czy sprzymierzeńcem z Asgardu. Wielem wędrował, ale nie spotkałem niewiasty równej ci urodą. Oślepia mnie jasność twych splotów... Między najpiękniejszymi córami Aesirów nie widziałem takich włosów. Na Ymira...

- Kimże jesteś, że się klniesz na Ymira - parsknęła pogardliwie. - Cóż wiesz o bogach lodu i śniegu ty, który szukając przygód między obcymi ludami, przybyłeś z Południa?!

- Na mroczne bóstwa mego narodu! - wrzasnął gniewnie. - Chociem nie ze złotowłosych Aesirów, nie masz bieglejszych ode mnie we władaniu mieczem. Dziś widziałem śmierć osiemdziesięciu mężów i tylko ja jeden uniosłem życie z pola, na którym zbójce Wulfhera potkali się z wilkami Bragiego. Powiedz, niewiasto, widziałaś błyski oręża na śniegu albo zbrojnych kroczących wśród

lodów?

- Widziałam szron łyskający w słońcu - odrzekła. - Słyszałam szepty wiatru nad wiecznymi śniegami.

Z westchnieniem potrząsnął głową.

- Niord winien był się z nami połączyć, nim rozgorzała bitwa. Lękam się, że wpadł ze swym oddziałem w pułapkę. Wulfher i jego woje leżą martwi... Myślałem, że nie ma żadnego sioła na wiele mil wokół, bo wojna rzuciła nas daleko, aleś przecie naga i bosa nie mogła po tych śniegach z daleka przybiec. Prowadź tedy do swego plemienia, jeśliś z Asgardu, słaby bowiem jestem z ciosów i trudów walki.

- Me sioło dalej jest, niż zdołasz dojść, Conanie z Cimmerii - roześmiała się kpiąco.

Rozwarła ramiona i zawirowała przed nim z głową przechyloną zalotnie i skrzącymi się oczyma, na pół ukrytymi pod długimi jedwabistymi rzęsami.

- Powiedz, człowieku, czyż nie jestem piękna?

- Jak poranek, rozświetlający śniegi pierwszym brzaskiem - wymamrotał, a oczy rozjarzyły mu się jak wilkowi.

- Czemu tedy nie powstaniesz i nie podążysz za mną? Cóż wart krzepki wojownik, który przede mną pada? - zanuciła z przyprawiającą o utratę zmysłów kpina. - Legnij i zdychaj w śniegu jak tamci głupcy, Conanie czarnowłose. Nie zdołasz pójść tam, gdzie poprowadzę.

Z przekleństwem na ustach i ogniem w oczach porwał się Conan na nogi, a jego pokrytą bliznami twarz wykrzywił grymas. Wściekłość paliła mu duszę, ale silniejsze było pożądanie - tętniło w skroniach i przyspieszało krążenie krwi w żyłach. Namiętność silniejsza niż cielesna męka ogarnęła całą jego istotę, niebo poczerwieniało w oczach. Szaleństwo, które go omroczyło, zmiotło pamięć o zmęczeniu i słabości.

Nie rzekł ni słowa, gdy zasadziwszy za pas swój zakrwawiony miecz, rzucił się na nią rozwierając palce, by pochwycić delikatne ciało.

Odskoczyła z przenikliwym chichotem i poczęła umykać, oglądając się przez ramię i nie przestając się śmiać. Z głuchym pomrukiem Conan popędził za nią.

Zapomniał o walce, o pancernych wojach skąpanych we krwi, o Niordzie i rozbójnikach, którzy nie dotarli na pole bitwy. Myślał tylko o smukłej białej postaci, która zdawała się lecieć raczej niż biec. Pościg wiódł przez oślepiająco białą równinę. Zdeptane, krwawe pole zostało daleko za nimi, lecz Conan wciąż biegł z właściwą swemu ludowi cichą nieustępliwością. Jego okryte żelazem stopy przebiły zmrożoną powłokę: osunął się w głębokie zasy i brnął przez nie dzięki swej zwierzęcej sile. Ale dziewczyna tańczyła na śniegu jak piórko unoszące się nad wodą; jej nagie stopy prawie nie zostawiały śladów na szronie pokrywającym lodowy płaszcz. Mimo ognia płonącego w żyłach chłód przeniknął przez zbroję i podbitą futrem tunikę wojownika - uciekiniarka jednak, w swym zwiewnym

muślinowym welonie, biegła tak lekko i wesoło, jakby tańczyła wśród różanych i palmowych ogrodów Poitain. Biegła dalej i dalej, a Conan podążał za nią.

Najstraszniejsze przekleństwa spływały ze spienionych warg Cymmeryjczyka, gorączkowo pulsowały spęczniałe żyły na jego skroniach, zgrzytały zęby.

- Nie ujdiesz mi! - ryknął. - Zaprowadź mnie w pułapkę, a stos głów twych współplemieńców usypię ci u stóp! Ukryj się, a góry rozbiję, by cię znaleźć! Do Piekieł za tobą pójde!

Grymas wściekłości wykrzywił mu twarz, gdy usłyszał w odpowiedzi ten sam doprowadzający do szału śmiech.

Coraz dalej wiodła go w pustkowiu. Mijały godziny, słońce poczyniło chylić się ku horyzontowi, zmieniał się krajobraz. Rozległe równiny ustąpiły miejsca niewysokim wzgórzom, maszerującym, zda się, coraz wyżej w nierównym szyku. Dalej ku północy dostrzegł Conan góry olbrzymie, których wieczne śniegi skrzyły się błękitnie i różowo, skąpane w promieniach krwawo zachodzącego słońca. Jak porzeczki rozwijały się ku niebu - lodowe ostrza płonące zmiennymi kolorami, coraz większe i jaśniejsze. A niebo pełne było osobliwych świateł i błysków. I śnieg lśnił niesamowicie: to mroźnym błękitem, to lodową purpurą, to znów zimnym srebrem. Przez migoczącą magiczną krainę podążał Conan, a jedyną rzeczywistością w tym krystalicznym labiryncie była tańcząca na skrzącym się śniegu biała sylwetka - wciąż poza jego zasięgiem.

Nie dziwiła go niezwykłość tego wszystkiego - nawet wtedy, gdy dwóch gigantycznych mężów przegrodziło mu drogę. Łuski ich pancerzy bieleły się szronem, hełmy i topory pokrywał lód. Włosy przysypane mieli śniegiem, brody pełne lodowych sopli, a oczy tak zimne jak światła na firmamencie.

- Braciszku! - krzyknęła dziewczyna, wirując między nimi. - Patrzcie, kto nadchodzi! Przywiodłam wam człowieka na rzeź! Wyrwicie mu serce, byśmy, póki gorące, złożyli je na ołtarzu naszego ojca!

Giganci odpowiedzieli rykiem jakby gór lodowych szorujących po zmrożonym brzegu. Unieśli swe błyszczące w świetle gwiazd topory, gdy runął na nich rozwścieczony Cymmeryjczyk. Oszronione ostrze załśniło przed jego oczyma, oślepiając go na mgnienie, ale odpowiedział straszliwym pchnięciem, które przebiło nogę przeciwnika na wysokości kolana. Z jękiem osunął się pokonany na ziemię, lecz w tejże chwili obalił Conana w śnieg cios drugiego z olbrzymów. Zbroja ocaliła życie wojownika z Cimmerii, choć ramię zmartwiało. I ujrzał Conan, jak piętrzy się nad nim ogromna, rzekłbyś wykowana z lodu postać, groźnie rysująca się na tle lśniącego zimnym blaskiem nieba. Topór spadł - i przebił śnieg, by pograżyć się w zmarzniętej ziemi, gdy Conan rzucił się w bok i jednym susem powstał na nogi. Gigant ryknął i wyswobodził topór, nim to jednak uczynił, zaśpiewało ostrze Cymmeryjczyka. Ugięły się kolana pod olbrzymem; powoli opadł w śnieg, który tryskająca z na pół przerąbanej szyi krew jęła barwić na purpurowo.

Conan rozejrzał się dokoła i dostrzegł dziewczynę, jak stojąc niedaleko patrzy rozszerzonymi z przerażenia oczyma, z których zniknęła cała kpina.

Wrzasnął groźnie, a krople krwi kapały z miecza, którym potrząsał z pasją:

- Przywołaj resztę swych braci! - krzyczał. - Witam rzucę ich serca na pożarcie! Nie ujdiesz!

Przerażona odwróciła się i poczęła uciekać. Już się nie śmiała, nie przedrzeźniała go przez ramię. Biegła, jakby szło o życie. Choć wysiłał mięśnie i ścięgna, aż wydawało się, że pękną mu skronie, a śnieg poczerwieniał przed jego oczyma, była coraz dalej, malejąc w zaczarowanym świetle nieba - nie większa zdawała się od dziecka, potem białego płomyka tańczącego na śniegu, a wreszcie stała się jeno niewyraźnym punktem w oddali.

Lecz zaciskając zęby, aż krew jęła płynąć z dziąseł, Conan pędził dalej i ujrzał w końcu, że plamka znów staje się tańczącym płomieniem, płomień - figurką wielkości dziecka, i oto nie dalej była niż sto kroków przed nim: wolno, piędź po piędzi, topniała dzieląca ich przestrzeń.

Biegła z coraz większym trudem; usłyszał jej przyspieszony oddech i dostrzegł błysk przerażenia w spojrzeniu, które rzuciła przez białe ramię. Posępna wytrwałość barbarzyńcy miała mu przynieść zwycięstwo...

Ognie Piekieł, które tak zręcznie udało się jej zażec, rozgorzały w dzikiej duszy Conana niepokromionym płomieniem. I z rykiem nieludzkim dopadł jej wreszcie, a ona, krzyżąc przejmująco, wyciągnęła ramiona w rozpaczliwym geście daremnej obrony. Rzucił w śnieg swój miecz i zmiażdżył ją w uścisku. Smukłe ciało wygięło się w łuk, gdy z szaleńczą desperacją wiała się w jego żelaznych objęciach. Złote włosy smagały oblicze Cymmeryjczyka, oślepiając go swą jasnością, ale jej bliskość potęgowała tylko obłęd Conana. Jego krzepkie palce pogrzyły się w ciele gładkim i chłodnym: zdało mu się, że obejmuje kobietę nie z krwi uczynioną i kości, lecz z płonącego lodu.

Wykręcała głowę, pragnąc uniknąć żarłocznych pocałunków, które miażdżyły jej usta.

- Jesteś zimna jak śnieg - mamrotał nieprzytomnie. - Ogrzeję cię ogniem mej własnej krwi.

Ostatnim rozpaczliwym skretem wyslizgnęła się z jego ramion i odskoczyła do tyłu, pozostawiając mu w garści swą muślinową szatę. Jej złote włosy w dzikim były nieładzie, ciężko falowało białe łono, a w cudnych oczach taίło się przerażenie. I gdy stała tak naga na śniegu, raz jeszcze oszołomiła Conana jej nieziemski uroda.

A ona wyrzuciła ramiona ku światłom lśniącym na firmamencie i krzyknęła głosem, który już na zawsze miał pozostać w duszy Cymmeryjczyka:

- Ymirze, mój ojciec, ratuj!

Z rozwartymi ramionami skoczył wojownik, by ją pochwycić, gdy z hukiem jakby pękającej góry lodowej całe niebo roziskrzyło się zimnym płomieniem. Błękitny, chłodny ogień, tak oślepiający, że musiał Cymmeryjczyk zakryć oczy, spowił nagle alabastrowe ciało dziewczyny. Przez chwilę krótką jak mgnienie śnieżne wzgórze i niebiosy kapały się w powodzi białego światła, błękitnych strzałach lodowego blasku i mroźnych purpurowych ogniach.

Potem Conan zachwiał się i krzyknął: dziewczyna zniknęła.

Wysoko nad jego głową magiczne światła szalały w diabelskim tańcu. Przez dalekie góry przetoczył się grom, jak tytaniczny rydwan bojowy ciągniony przez olbrzymie rumaki, których gniewne podkowy krzeszą iskry z lodowego gościńca.

A potem zorza, białe wzgórza i płonące niebo rozkołysały się w oczach Conana. Tysiąc ognistych kul strzeliło kaskadami iskier, a nieboskłon stał się kołem gigantycznym, które, obracając się, rozsiewało deszcz gwiazd.

Ziemia pod stopami uniosła się na kształt fali i Cymmeryjczyk opadł w śnieg. I leżał bez ruchu...

W mrocznym, chłodnym wszechświecie, którego słońce szezło przed eonami, poczuł Conan życie - obce i nieoczekiwane. Trzęsienie ziemi dzierżyło go w objęciach, szarpało bezlitośnie, odzierając, zda się, ze skóry dłonie i stopy, aż wrzasnął z bólu i złości, próbując porwać za miecz.

- Przytomnieje, Horso - usłyszał głos. - Spiesz się, trza nam przegnać mróz z jego członków, jeśli ma jeszcze kiedy ruszyć do boju.

- Nie chce rozewrzeć lewej dłoni - mruknął drugi. - Coś w niej ściska.

Conan otworzył oczy i ujrzał pochylone nad sobą brodate twarze. Otaczali go rośli złotowłosi woje w pancerzach i futrach.

- Conanie! - zakrzyknął jeden z nich. - Żyjesz!

- Na Croma, Niordzie - stęknął Cymmeryjczyk - żyję, czyśmy wszyscy w Valhalli?

- Żyjemy - odparł Asgardczyk, zajęty na pół odmrożonymi stopami Conana. - Połączylibyśmy się z wami przed bitwą, gdybyśmy nie musieli przerąbywać się przez zasadzkę. Ciała dopiero zaczynały stygnąć, kiedyśmy przyciągnęli na pole. Nie było cię wśród trupów, tedy poszliśmy twym śladem. Na Ymira, Conanie, po coś się zapuszczał w pustynie Północy? Długo szliśmy za tobą i - na Ymira! - nigdy byśmy cię nie znaleźli, gdyby zamieć przysypała twe ślady.

- Nie kluj się zbyt często na Ymira - szepnął jeden z wojowników. - Jego to dziedzina: legendy powiadają, że między tamtymi włada szczytami.

- Widziałem niewiastę - ozwał się Conan niewyraźnie. - Spotkaliśmy się z ludźmi Bragiego na równinie. Nie wiem, jak długo walczyliśmy... Tylko ja przeżyłem. Słaby byłem i zamroczony, a świat jakby ktoś zaczarował - dopiero teraz wszystko zdaje się znajome i prawdziwe. Pojawiła się ta niewiasta i zaczęła się ze mnie naigrawać. Piękna była jak zmrożony ogień Piekieł. Dziwne napadło mnie szaleństwo, gdym na nią patrzył, i zapomniałem o całym świecie. Ruszyłem za nią... Czyście widzieli jej ślady? Albo olbrzymów w lodowych zbrojach, których usiekłem?

Niord pokręcił głową.

- Tylko twoje ślady widzieliśmy na śniegu, Conanie.

- Tedy może jestem szalony - odrzekł Cymmeryjczyk nieprzytomnie. - A przecie nie jesteście prawdziwsi niż ta złotowłosa dziewczka, która naga czmychała przede mną po śniegu. Wszak z mych własnych rąk zniknęła w lodowym płomieniu!

- Bredzi - wyszeptał wojownik.

- Nieprawda! - krzyknął starszy mąż o dzikich obłądnych oczach. - Atali to była, córka Ymira Lodowego Olbrzyma. Przybywa na pobojojowiska i ukazuje się umierającym. Ja sam, otrokiem będąc, widziałem ją, gdym na pół martwy leżał na krwawym polu Wolfraven. Patrzyłem, jak kroczy wśród trupów, a ciało jej lśni niczym kość słoniowa i złote włosy sieją w świetle księżyca blask oślepiający. Leżałem i wylem jak zdychający pies, bom nie miał siły czołgać się za nią. Wabi mężów z pół bitewnych w śnieżną pustynię, aby mogli ich ubić jej bracia, lodowi giganci, którzy dymiące serca -ofiar kładą na ołtarzu Ymira. Powtarzam: Cymmeryjczyk widział Atali, córę Lodowego Olbrzyma!

- Ba! - mruknął Horsa. - Duszę starego Gorma zranił w młodości cios, który rozszczepił mu czaszkę. Conan majaczył po srogim boju: patrzajcie, jak poszczerbiony jest jego szłom. Każdy z tych ciosów mógł zmącić mu rozum. Za majakiem podążył w pustynię. Jest z Południa, cóż może wiedzieć o Atali?

- Może gadasz prawdę - wymamrotał Conan. - Na Croma, niesamowite to było...

Przerwał i zerknął na przedmiot zwisający z zaciśniętej pięści. Gdy podniósł go do góry, w ciszy nagle zapadłej zagapili się woje na muślinowy welon utkany z nici tak cienkiej, że nie mogła jej uprząć żadna ziemską kądziel.

## KRÓLOWA CZARNEGO WYBRZEŻA

(Przełożył: Stanisław Czaja)

Kilka zaledwie miesięcy spędził Conan w Cimmerii, nim na powrót ruszył ku cywilizowanym królestwom hyboryjskim. Ni jednak służba w armii Nemedii, ni Ophiru nie trwała długo, czasy bowiem były spokojne. Powędrował tedy do Argos...

### 1. CONAN PRZYSTĘPUJE DO PIRATÓW

Jak liść, co wiosną przebudzony,

By spłonąć w ogniu jesieni czeka,

Żarem pragnęłam nieugaszonym

Jednego obdarzyć człeka...

## - PIEŚŃ O B?LIT

Kopyta zatętniły po ulicy schodzącej ku nabrzeżom, a ludzie, którzy rozpierzchli się z wrzaskiem, przez mgnienie tylko widzieli opancerzoną postać na czarnym rumaku, odzianą w powiewający na wietrze szkarłatny płaszcz. Gdzieś z tyłu dobiegał hałas pogoni, jeździec wszelako ani się obejrzał. Dopadłszy brzegu tak potężnie osadził rozpędzonego konia, że ten przysiadł na zadzie. Zagapili się nań żeglarze, stawiający pasiasty, szeroki żagiel na wysokoburtej, pękatej galerze, a krępy, czarnobrody szyper, który stojąc na dziobie, dzierżył bosak, gotów odepchnąć statek od pali, zawrzasł protestujące, gdy ujrzał, że jeździec wprost z siodła ogromnym susem zeskoczył na śródokręcie.

- Kto ci na pokład wejść dozwolił?

- Odbijaj! - ryknął intruz, dodając rozkazowi wagi gniewnym machnięciem ogromnego miecza, z którego prysnęły czerwone krople.

- Ale my zmierzamy ku wybrzeżom Kush! - próbował wymówić się szyper.

- Tedy płynę do Kush! Odbijaj, powiadam! - Obcy rzucił szybkie spojrzenie w górę ulicy, po której galopował oddział jazdy, w tyle zaś truchtała gromada łuczników.

- A masz czym za przejazd zapłacić? - nie ustępował szyper.

- Stałą ci zapłacę! - ryknął pancerny mąż, wywijając swym olbrzymim orężem, który lśnił w słońcu zimnym błękitem. - Na Croma, człeczko, albo ta galera odbije, albo we krwi załogi ją utopię!

Szyper znalazł się na ludziach. Jedno spojrzenie na mroczną, pokrytą bliznami twarz, zastygła teraz w gniewie, i szybko rzucił komendę, napierając zarazem krzepko na bosak, by statek od brzegu odepchnąć. Galera wypłynęła na głębszą wodę i rytmicznie jęły pracować wiosła, a potem podmuch wiatru wypełnił zmarszczony żagiel. Przechylił się lekki korab od owego podmuchu i dostojnie, jak łabędź, wszedł na kurs, coraz prędzej ślizgając się po powierzchni oceanu.

Na brzegu jeźdźcy potrząsali mieczami, groźby wyrzaskując i rozkazy: ku statkowi, aby zaś natychmiast zawrócił, i ku łucznikom, by ci znów pospieszali, nim znajdzie się galera poza strzał zasięgiem.

- Niechaj się pieklą - skrzywił się wojownik. - Pilnuj kursu, cny sterniku!

Szyper zeskoczył z mostku na dziobie, przeszedł między rzędami wioślarzy i wstąpił na śródokręcie. Wsparty plecami o maszt stał tu intruz, czujnie wokół zerkając i nie popuszczając oręża z garści. Żeglarz przyjrzał mu się uważnie, bacząc, by ruchu nieostrożnego w stronę długiego noża, co go trzymał za pasem, nie uczynić. Miał przed sobą roslą, potężnie zbudowaną postać, odzianą w czarny łuskowy półpancerz, wypolerowane nagolenniki i błękitny, stalowy hełm, z którego sterczały lśniące bycze rogi. Z okrytych żelazem ramion zwieszał się, łopocząc na wietrze, purpurowy płaszcz.

Do spiętego złotą klamrą szerokiego skórzanego pasa przymocowana była pochwa miecza. Pod rogatym hełmem równo przycięta czarna grzywa kontrastowała z płonącymi błękitnymi oczyma.

- Jeśli już podróżować pospołu mamy - ozwał się szyper - tedy warto, byśmy w pokoju to czynili. Zważaj, Tito, a jestem licencjonowanym mistrzem żeglarskiego rzemiosła z portu Argos. Zmierzam do Kush, by paciorki, jedwabie, cukier i mosiężne miecze tamtejszym czarnym władcom za kość słoniową sprzedać, koprę, rudę miedzi, niewolników i perły.

Wojownik zerknął w stronę gwałtownie zmniejszających się nabrzeży, gdzie wciąż bezsilnie gestykulowały ludzkie figurki, daremnie snadź starając się znaleźć łódź dość szybką, by mogła doścignąć szparko żeglującą galerę.

- A ja jestem Conan, Cymmeryjczyk - odrzekł. - Przybyłem do Argos zajęcia szukając, skoro wszelako żadne wojny królestwu nie grożą, nicem nie znalazł, do czego by stało dłoń przyłożyć.

- Czemu zaś ścigali cię gwardziści? - spytał Tito. - Nie żeby moja to była sprawa, alem myślał...

- Nic do ukrycia nie mam - przerwał mu Cymmeryjczyk. - Na Croma, choćem kęs czasu spędził wśród was, ludzi cywilizowanych, wciąż obyczajów waszego pojąć nie mogę.

- Owóż nocy minionej setnik z królewskiej gwardii gwałtem chciał wziąć w tawernie dziewczkę młodego woja, a ten, oczywista, zaraz go zakłuł. Ale, widno, jakieś prawo przekłete broni gwardzistów zabijać i chłopak z dziewczyną umknęli. Gadano, że był z nimi widziany i dziś rankiem zaciągnięto mnie przed sąd, a sędzia pyta, gdzie też podział się otrok. Odrzekłem, że skoro druhem mym jest, wydać go nie mogę. Sąd gniewem zawrzał, a sędzia ciurkiem gadał o mych obowiązkach wobec państwa, społeczeństwa i różnych innych rzeczach, com ich nie pojmowałem, i srogo nakazał, bym rzekł, gdzie mego druha znaleźć mogą. A jużem się złościć poczynał, bom przecie stanowisko swe jasnym uczyniłem, alem zdusiłem gniew i spokój zachowywałem, a tu sędzia wrzeszczy, że sąd lekce sobie ważę i winienem być do lochu wrzucon, i gnić tak długo, aż przyjaciela wydam. Widząc tedy, że wszyscy poszaleli, dobyłem miecza i czaszkę sędziemu rozłupałem, wyrąbałem sobie drogę z izby, a ujrawszy konia dowódcy gwardii, dosiadłem go i popędziłem ku portowi, nadzieiny znaleźć korab, co ku obcym wyrusza dziedzinom.

- Cóż - ozwał się twardo Tito - zbyt wiele razy ołgały mnie sądy w procesach przeciwko bogatym kupcom, bym miłością je darzył. Na wiele będę musiał odpowiedzieć pytań, kiedy znów w tym porcie zakotwiczę, ale przecie dowieść mogę, że działałem pod przemocą. Możesz tedy odłożyć miecz. Spokojniśmy żeglarze i nic przeciw tobie nie mamy. A poza tym dobrze mieć na pokładzie osiłka takiego jak ty. Pójdź na rufę, opróżnimy po garncu piwa.

- W to mi graj - chętnie zgodził się Conan, wsuwając miecz do pochwy.

„Argus” był małą krzepką galerą, podobną wielu innym kupieckim statkom, co krążyły między portami Zingary i Argos a południowymi wybrzeżami, rzadko wążąc się ruszać na otwarty ocean.

Miał wyniosłą rufę i wysoki, wygięty dziób; szeroki dość w śródkręciu, wdzięcznie smukłał ku końcom. Sterowaniu służyło ogromne wiosło, na ożagłowanie zaś składał się wielki pasiasty grot z



mocnego jedwabiu, wspomagany czasem przez kliwer. Wiośł używano głównie do wychodzenia z zatok, ujść rzek i w okresie ciszy. Było ich par dziesięć - pięć od dziobu i pięć od rufy, po obu stronach wąskiego śródpokładu. Pod nim - a częścią również pod pokładem dziobowym - przechowywano najcenniejszą część ładunku. Ludzie spali na pokładzie albo między ławkami, w czasie zaś złej pogody kryli się pod baldachimami. Z dwudziestu wioślarzy, trzech sterników i szypra złożona była załoga.

W sprzyjającej tedy pogodzie miarowo sunął „Argus” na południe. Z dnia na dzień potężniał słoneczny żar i rozciągnięto nad statkiem baldachimy - jedwabne pasiaste płachty, równie kolorowe jak żagiel, godne złocień na dziobie i nadburciach.

Ujrzeni wreszcie wybrzeża Shem - niezmierzone pagórkowate łąki z widocznymi gdzieś w oddali wieżycami grodów, z jeźdźcami o czarnobłękitnych brodach i haczykowatych nosach, którzy pędząc na swych rumakach wzdłuż brzegu, wzrokiem pełnym podejrzliwości obrzucali galerę. A ta nie przybijała do tamtejszych portów, wątpliwy bowiem zysk przynosił handel z surowymi i ostrożnymi Synami Shem.

I nie wszedł również szyper Tito w zatokę, do której rzeka Styx wylewa olbrzymie masy wody, a nad błękitnym lustrem oceanu pochylają się czarne masywy zamczysk Khemi. Nieproszone statki rzadko przybijały do portu, gdzie mroczni czarnoksiężnicy mamrotali potężne zaklęcia w oparach ofiarnego dymu, od wieków wznoszącego się z zakrwawionych ołtarzy, gdzie przeraźliwie jęczały niewiasty, i gdzie Set, Stary Wąż, arcydemon dla Hyboryjczyków, ale bóg dla Stygian, ukazywał jakoby swe lśniące łuskowate cielsko tłumom wyznawców.

Miał tego szyper Tito okrążyć zatokę szerokim łukiem, choć gondola o kształcie węża wystrzeliła zza strzeżonego fortem cypla i nagie kobiety o szarobrązowej skórze, z czerwonym kwieciami we włosach, wzywały jego żeglarzy, przybierając nieprzystojne i lubieżne pozy.

A później nie było już w głębi ładu lśniących wieżyc, minęli bowiem południowe granice Stygii i posuwali się wzdłuż wybrzeży Kush. Morze i morskie życie było dla Conana, wiodącego się z wysokich wzgórz północnych wyżyn, nie kończącym się pasmem tajemnic. A i on sam nie mniejsze zainteresowanie budził wśród żeglarzy, ci bowiem nigdy dotąd nie spotkali ludzi jego rasy.

Byli typowymi argosseńskimi marynarzami, niewysokimi, lecz krzepkiej budowy. Ogromnie ich Conan wielkością przenosił i dwóch najmocniejszych bez trudu mógł pokonać. Twardzi i nieustępliwi, nie potrafili wszelako sprostać jego wytrzymałości i wilczej żywotności, jego mięśniom stalowym i szybkości, wykształconej przez życie w najdziwniejszych regionach świata.

Łatwo się śmiał, ale gniew jego bywał straszny. Jadł za trzech, a tęgi napitek uciechą był jego i słabością. Pod wieloma względami naiwny jak dziecko, niezwykajny wyrafinowania, jakie niesie cywilizacja, odznaczał się wszelako wrodzoną bystrością - zazdrośnie strzegł swych praw, a gdy ktoś ośmielał się je naruszać, groźny się stawał jak zgłodniały tygrys. Młody wiekiem, stwardniał jednak jak skała w mnogich wędrówkach, które odczytać można było bez trudu z odzieży jego i oręża. Rogaty hełm tego był rodzaju, jakiego zwykle używali złotowłosi Aesirowie z Nordheimu; pancerz i nagolenniki były dziełem najprzedniejszych płatnerzy z Koth; kolczugę opinającą ramiona i nogi uczyniono w Nemedii, olbrzymi miecz aquilońskiej był roboty, a pyszny purpurowy płaszcz nie mógł

być utkany poza Ophirem.

Wciąż posuwali się na południe i jał wreszcie szyper Tito wypatrywać otoczonych wysokim częstokołem siół czarnego ludu. Ale znaleźli tylko na brzegu jednej z zatok dymiące ruiny i stosy czarnych ciał. Tito zaklął siarczyście.

- Zacny niegdyś był tu handel. To dzieło piratów.

- Co zaś, jeśli ich spotkamy? - zapytał Conan, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

- Nie wojna mym rzemiosłem. Uciekać będziemy, nie walczyć. Atoli jeśli przyjdzie do starcia, to wiedz, żeśmy już nieraz rabusiów poszczerbili, co znów uczynić mozem... Jeśli nie będzie to „Tygrysica” B?lit.

- Kto to - B?lit?

- Najdziksza diabllica jeszcze nie obwieszona. Jeślim się nie pomylił w znaków czytaniu, jej to rzeźnicy sprawili sióło nad zatoką. Obym ujrzał ją kiedy dyndającą na stryczku! Zwą B?lit Królową Czarnego Wybrzeża, a jest shemicką niewiastą, która przewodzi czarnej hordzie. Nęka ją statki i wielu zacnych kupców posłali na dno.

Spod rufowego pokładu dobył Tito pikowane kaftany, stalowe czepece, łuki i strzały.

- Nie na wiele zda się opór, jeśli nas dopadną - mruknął - ale krzywda duszy, gdy życie bez walki oddajesz.

Słońce dopiero poczynało wschodzić, gdy wachta krzyknęła ostrzeżenie. Spoza długiego cypla wyspy po prawej burcie wysliznął się wysmukły, groźny kształt węzowej, rzekłbyś, galery, której podniesiony pokład od dziobu biegł po rufę. Czterdzieści par wiosel nadawało jej srogą szybkość, a niskie nadburcia roiły się od czarnych nagich postaci, które dziko śpiewały, łomocząc włóczniami w tarcze owakie. Na maszcie powiewał długi purpurowy proporzec.

- B?lit! - wrzasnął pobladły Tito. - Yare! Ster lewo na burt! Do ujścia tego potoku! Jeśli do brzegu dobijemy, nim nas dopadną, życie choć możemy unieść!

Skrećiwszy ostro, wystrzelił „Argus” w kierunku przyboju, tłukącego o usiany palmami brzeg, a Tito, biegając między ławkami, klątwą i groźbą zachęcał wioślarzy do większego wysiłku. Płonęły mu oczy, jeżyła się broda.

- Dajcie mi łuk - zażądał Conan. - Nie mam go za oręż przystojny mężowi, alem się strzelania śród Hyrkańczyków niezgorzej wyuczył i lichy by ze mną sprawy stały, gdybym zaś jednego czy dwóch z tego tam pokładu zdmuchnąć nie zdołał.

Stojąc na rufie, obserwował, jak lekko sunie węzowy korab po falach, i jasne dlań było - choć o sprawach żeglarskich wielkiego nie miał pojęcia - że z tej pogoni „Argus” zwycięsko wyjść nie może. Słane przez piratów strzały z cichym sykiem pogrążyły się w oceanie nie dalej niż dwadzieścia

kroków za rufą galery.

- Wolej by stawić im czoła - warknął Cymmeryjczyk - albo wszyscy zdechniemy ze strzałami w karkach, ciosu jednego nie zadawszy!

- Mocniej, psy! - ryczał Tito, wymachując brązowym kułakiem. Brodaci wiosłarze stęknęli, napierając na wiosła, aż mięśnie stężały w węzły z ogromnego wysiłku i kroplisty pot wystąpił im na skórze.

Skrzypiały i trzeszczały wiązania małej galery, gdy sunęła ku brzegowi pchana tęgimi uderzeniami. Wiatr ucichł i żagiel zwisał bezwładnie, i coraz bliżej byli nieubłagani napastnicy.

Przeszło mila dzieliła wciąż „Argusa” od plaży, gdy jeden ze sterników zachwiał się i jak kamień poleciał za burtę ze strzałą sterczącą z szyi. Tito skoczył, by zająć jego miejsce, zaś Conan, rozstawiwszy szeroko nogi na rozkołysanym pokładzie rufowym, uniósł łuk. Dokładnie widział teraz piracki statek. Wiosłarzy chroniła uniesiona wysoko osłona z plecionki, ale tańczących na wąskim pokładzie wojowników miał jak na dłoni. Wymalowani, przyozdobieni piórami i w większości nadzy, wymachiwali włóczniami i kolorowymi tarczami.

Na niewielkim mostku w dziobowej części okrętu stała smukła postać, której biała skóra kontrastowała oszałamiająco ze lśniącym hebanem ciał wojowników. B?lit to była bez wątpienia. Conan aż do ucha naciągnął cięciwę - lecz rozmyśl lubo wyrzut sumienia powstrzymał go od ubicia niewiasty i strzała pogrzyżyła się w piersi stojącego u jej boku rosnącego pirata w pióropuszu. Piędź po piędzi rozbójnicza galera doganiała mniejszy korab. Deszcz strzał padał na pokład „Argusa” i coraz częściej słychać było jęki. Naszpikowani grotami legli już wszyscy sternicy i Tito, miotając najstraszliwsze przekleństwa, samotnie dzierżył ogromne wiosło, a skóra na jego nogach zdawała się pękać od naprężonych i dygoczących z wysiłku mięśni. A potem zakrzuszył się i ze strzałą chybotającą w męznym sercu opadł na pokład. „Argus” zszedł z kursu i jął dryfować na fali. Zawrzaśli przerażeni żeglarze, lecz Conan objął dowództwo zwykłym sobie sposobem.

- Śmiało, chłopcy! - ryknął, zwalniając cięciwę, która jęknęła jadownicie. - Oreż w garść i dajmy tym psom parę kuksańców, nim gardła nam poderzną. Po co się dłużej u wiosel męczyć, skoro dopadną nas w pięćdziesięciu krokach!

Poniechali tedy zdesperowani żeglarze wiosel i chwycili za broń, co męzne było, choć bezcelowe. Raz jeno zdążyli z łuków wystrzelić, nim spadł na nich piracki okręt. Bosaki wgryzły się w burtę, a z wyniosłego pokładu czarni wojownicy obruszyli lawinę strzał, które przenikały przez pikowane kaftany skazanych na zagładę marynarzy. A potem, z włóczniami w dłoniach, skoczyli piraci na pokład „Argusa”, by rzezi dokończyć, zostawiając na swej galerze pół tuzina ciał, plon łuczniczej zabawy Conana.

Krótką i krwawą była bitwa. Nie mogli krępi żeglarze sprostać rosnącym barbarzyńcom i rychło w pień zostali wycięci. W jednym wszelako miejscu bój przybrał obraz niezwykły. Stojący na wysokiej rufie Conan na jednym był poziomie z pokładem pirackiej galery. Gdy jej okuty stałą dziób rozplątał burtę „Argusa”, Cymmeryjczyk, odrzuciwszy łuk, zaparł się krzepko i nie postradał równowagi. Jego potężny miecz wystrzelił na spotkanie rosnącego korsarza, co skakał przez burtę, i czyściutko rozplątał

go w pasie, aż tors w jedną poleciał stronę, nogi zaś w drugą. A potem, w bojowej furii, która pozostawiła u nadburcia stos porąbanych ciał, Conan przesadził okrężnicę i znalazł się na pokładzie „Tygrysicy”. W mgnieniu oka stał się centrum huraganu kłujących włóczni i walących maczug, ale poruszał się jak oślepiająca stalowa błyskawica. Groty pękały na jego zbroi lub przebijały puste powietrze, a ogromny miecz wciąż śpiewał pieśń śmierci. Ogarnął Cymmeryjczyka bojowy szal jego rasy i z płonącymi oczyma, które przyćmiewała czerwona mgła bezrozumnej furii, rozbijał czaszki, otwierał piersi, rąbał członki, wypruwał jelita, czyniąc z pokładu jatki upiorne, zasłane straszliwym plonem krwi, odciętych kończyn, rozpryśniętego mózgu.

Niewrażliwy w swej zbroi na ciosy, plecami wsparty o maszt, piętrzył zmasakrowane ciała u swych stóp, aż cofnęli się wrogowie lękiem opanowani i gniewem. I gdy wznieśli włócznie do rzutu, on zaś sprężył się, by skoczyć i zginąć w gęstwie nieprzyjaciół, przenikliwy krzyk zmroził podniesione ramiona. Zastygli jak posągi: czarni olbrzymi, gotowi do rzutu, i pancerny woj z krwawym mieczem.

Bilit wyskoczyła przed czarnych, uderzając po ich włóczniach. Z dyszącą pierśią i płonącymi oczyma zwróciła się w stronę Conana. Podziw ścisnął mu serce krzepkimi palcami. Smukła była, a przecie bosko uformowana - silna a zarazem rozpustna. Za odzież miała jedynie szeroką jedwabną przepaskę. Jej alabastrowe ciało i gładkie półkule piersi posłały falę straszliwego pożądania przez jestestwo Cymmeryjczyka, silniejszą nawet niż bojowy szal. Jej gęste czarne włosy, tak czarne jak stygijska noc, spadały w lśniących puklach na smukłe plecy. Płonęły ciemne oczy.

Nieokiełznana była jak pustynny wiatr, zwinna i niebezpieczna jak pantera. Nie bacząc na olbrzymi miecz ociekający krwią jej wojowników, podeszła tak blisko, że ostrze dotknęło jej smągłego uda. Rozchyliły się jej rubinowe wargi, gdy spojrzała w posępne, groźne oczy ogromnego woja.

- Kim jesteś? - spytała. - Na Isztar, choć przemierzyłam morza od wybrzeży Zingary po ogień najdalszego południa, nigdy nie spotkała podobnego ci męża. Skąd przybywasz?

- Z Argos - odparł krótko, lękając się podstępu. Gdyby tylko jej smukła dłoń drgnęła w kierunku zdobnego klejnotami sztyletu tkwiącego za jedwabnym pasem, powaliłby ją gołą ręką na pokład, zmysłów pozbawiając.

A przecie nie miał w sercu obawy: zbyt wiele dźmierzył niewiast - barbarzyńskich lubo cywilizowanych - w żelaznych swych ramionach, by nie rozpoznać ognia płonącego w oczach tej, która teraz przed nim stała.

- Nie jesteś z hyboryjskich mięczaków - oświadczyła. - Twardyś i groźny jak szary wilk. Tych oczu nie przyćmiły światła miast; tych mięśni nie zmiękczył żywot wśród marmurowych ścian!

- Jestem Conan Cymmeryjczyk - odrzekł.

Dla ludów klimatu gorącego była Północ mglistą, na połę mityczną krainą, zamieszkaną przez srogich, lodowookich gigantów, co z rzadka opuszczali swe śnieżne pustynie, miecz niosąc i ogień. Wyprawy ich nigdy nie sięgały tak daleko na południe, by do Shem dotrzeć, tedy ta córa Shem nie czyniła różnicy między Aesirami, Vanirami czy Cymmeryjczykami.

Nieomylny instynkt odwiecznej kobiecości powiedział jej, że znalazła oto kochanka, którego rasa tyle jeno znaczy, na ile przydaje mu zwykłych mieszkańcom owych dalekich ziem przymiotów.

- A jam jest B?lit! - krzyknęła tak, jak ktoś mógłby rzec: „Jestem królową!”

- Spójrz na mnie, Conanie! - Rozwarła szeroko ramiona. - Jam jest B?lit, Królowa Czarnego Wybrzeża! O, tygrysie Północy, zimnyś jak śnieżne góry, co cię wydały. Bierz mnie i niechaj skruszą me ciało twe okrutne uściski! Pójdź za mną na kres ziemi i na kres mórz! Ogień, stal i rzeź uczyniły mię królową - ty bądź mym królem!

Jego oczy przebiegły po krwawych szeregach piratów, oznak gniewu szukając albo zazdrości. Nie znalazł ich. Szał i gniew zniknęły z hebanowych twarzy. Pojął, że dla tych mężów B?lit czymś więcej była niżli tylko kobietą: boginią raczej, której woli nikt nie pośmiał się przeciw.

Zerknął na „Argusa”, kołysanego purpurową falą: mocno się był przechylił, woda omywała pokład, a na powierzchni utrzymywały go jeno bosaki abordażowe. I spojrzął na brzeg obramowany błękitem, na mglistozielone bezmiary oceanu, na drżącą postać niewieścia: i dreszcz przeniknął jego barbarzyńską duszę. Krążyć po owych lśniących błękitnie dziedzinach z tą białoskórą młodą tygryską - kochać, śmiać się, wędrować i rabować...

- Pożegluję z tobą - mruknął, strząsając z miecza krople krwi.

- Ho, N'Yaga! - Jej głos zabrzmiał wibrująco jak puszczone cięciwa. - Gotuj zioła i opatrz rany swego pana! Wy tam, przerzucicie łupy na pokład i odbijamy!

Gdy Conan siedział na rufie, wsparty plecami o reling, a stary szaman przemywał liczne rany na rękach i nogach, ładunek nieszczęsnego „Argusa” szybko przeniesiono na „Tygrysicę” i rozmieszczono w małych kabinach pod pokładem. Ciała poległych piratów i żeglarzy ciśnięto za burtę, gdzie roiły się rekiny, a rannych wojowników ułożono na śródokręciu, by ich opatrzeć. Potem zdjęto bosaki i „Argus” bezgłośnie pograżył się w poczerwieniałych od krwi wodach, „Tygryśka” zaś, niesiona rytmicznymi uderzeniami wiosł, ruszyła ku południowi.

Gdy tak ślizgali się nad przezroczystymi, błękitnymi głębinami, B?lit wkroczyła na rufę. Oczy jej płonęły jak ślepa pantery czającej się w mroku, gdy gwałtownym ruchem zrzuciła swe klejnoty, sandały i jedwabną przepaskę, by złożyć je u stóp Conana. Wspięła się na palce, ramiona wyrzuciła do góry - rozedrgana, alabastrowa, naga - i krzyknęła do dzikiej swej hordy:

- Wilcy błękitnych mórz, patrzajcie na taniec - ślubny taniec B?lit, której ojcowie byli królami Asgalun!

I jęła tańczyć; jak wir pustynnego orkanu, jak strzelające w niebo płomienie rozszalałego ognia, jak pragnienie stwarzania i niweczenia. Jej białe stopy deptały zakrwawiony pokład, a umierający, patrząc na nią w oczarowaniu, zapominali o śmierci. A potem, gdy białe gwiazdy poczęły mrugać w aksamitnym zmierzchu, czyniąc z jej wirującego ciała alabastrową zjawę, z dzikim okrzykiem rzuciła się B?lit do stóp Conana, a ślepa fala pożądania, która w chwili owej ogarnęła Cymmeryjczyka, kazała mu o wszystkim zapomnieć i potężnie przycisnąć zdyszana, naga postać do czarnych stalowych

płyt opancerzonej piersi.

## 2. CZARNY LOTOS

Gdy w Martwym Mieście klejnotów blask

Łakomymi chłonęła oczami,

Szał zazdrości ułapił mą krtań pierwszy raz,

Jakby trzeci ktoś stał między nami.

- PIEŚŃ O B?LIT

Krażyła „Tygryska” po morzach i drżały z lęku czarne wioski. Tamtamy dudniły po nocach, wieść przekazując, że diablica z mórz kochanka znalazła, żelaznego męża, którego gniew straszniejszy był niż gniew zranionego lwa. A ci, którym udało się przeżyć pogromy stygijskich statków, przekleństwami obrzucali B?lit i białego woja o srogich błękitnych oczach; stygijscy zaś książęta długi czas mieli go pamiętać, i pamięć owa była drzewem, które w przyszłych latach purpurowe dało owoce. Wszelako, wolna jak błędzący wiatr, krażyła „Tygryska” wzdłuż południowych wybrzeży, aż zakotwiczyła przy ujściu wielkiej posępnej rzeki, której brzegi mroczną i tajemniczą pokryte były dżunglą...

- Oto rzeka Zarkheba, co „śmierć” oznacza - rzekła B?lit. - Trujące są jej wody; spójrz, jakie ciemne i nieprzeniknione. Jeny gady jadowite w nich żywią. Unikają jej ludy czarne. Raz umykająca przede mną stygijska galera pożeglowała w górę rzeki i przepadła. Tu, gdzie teraz jesteśmy, kazałam zakotwiczyć i po wielu dniach prąd zniósł ów korab, którego pokład zakrwawiony był i opustoszały. Jednego tylko oszalałego znaleźliśmy człeka, który wkrótce zmarł, bezrozumnie majacząc. Ładunku nikt nie tknął, ale załoga zniknęła cicho i tajemniczo.

- Umiłowany, mniemam, że gdzieś w górnym biegu musi być miasto, słyszałam bowiem opowieści o wieżycach olbrzymich i murach, które z wielkiej odległości widywali żeglarze na tyle śmiali, by kęs drogi w górę rzeki przepłynąć. Nie ma w nas lęku: zwól wyruszyć i gród ów obłuskać!

Zgodził się Conan. Zazwyczaj godził się na jej pomysły. Jej to umysł kierował wyprawami, jego ramię plany wprowadzało w czyn. Mało go obchodziło, gdzie żeglowali i z kim walczyli - byle tylko żeglować i walczyć. Zadowolony był z życia.

Bitwy i wyprawy srodze przerzedziły załogę - ledwie osiemdziesięciu pozostało włóczyków; zbyt mało na potrzeby wielkiej galery. Atoli B?lit nie chciała tracić czasu na długi rejs ku południowym wyspiarskim królestwom, gdzie zwykła była rekrutować swych bukanierów. Palila się z chęci do najświeższej przygody; tedy wpłynęła „Tygrysica” w ujście rzeki, a wioślarze mocniej napaarli na wiosła, by sprostać krzepkiemu nurtowi.

Minęli pierwszy zakręt, kryjący tajemnice rzeki przed spojrzeniem z morza. Zachód słońca zastał ich pracujących w górę i omijających piaszczyste łachy, na których wiły się osobliwe gady. Zwykłego nawet krokodyla nie ujrzeli ani żadnego czworonogiego zwierzęcia czy ptaka, co by przybieżał na

brzeg wody pochłęptać. Potem pochłonięła ich głęboka ciemność, poprzedzająca wzejście księżyca, i płynęli między brzegami nieprzeniknionymi jak mroczne palisady, z których dobiegały szmery tajemnicze i głosy skradających się kroków, i lśnienie ponurych oczu. A raz dał się słyszeć okrzyk nieludzki - jakby kpina przeraźliwa - krzyk, uznała B?lit, małpi, i zaraz dodała, że dusze grzeszne są w tych człekopodobnych więzione stworzeniach jako kara za dawne zbrodnie. W to Conan wątpił, w hyrkańskim bowiem grodzie widział niegdy trzymaną w złoconej klatce jedną z owych prymitywnych, smutnookich bestii, i nic w niej nie było z demonicznej złośliwości, co pobrzmiewała teraz w skrzeczącym śmiechu dobiegającym z czarnej dżungli.

Potem wstał księżyc, jak plama krwi w hebanowej ramie, i powitała go dżungla potwornym zgiełkiem. Ryki, wycie i jęki przyprawiały czarnych wojów o drżenie; ale dostrzegł Conan, że cały ów hałas szedł z głębi dżungli, jakby zwierzęta, na równi z ludźmi, unikały mrocznych wód Zarkheby.

Wzniósłszy się ponad czarną gęstwę drzew i rozkołysane listowie, osrebrzył księżyc rzekę, i fala, którą pozostawiała za sobą „Tygryska”, stała się smugą roziskrzonych, fosforyzujących bąbelków, a później coraz szerszym traktem z pękających klejnotów. Wiosła, pogrążane w świecące wody, wyłaniały się spowite w mroźne srebro. Chwiały się r pióra na głowach wojowników i chłodnym blaskiem lśniły kamienie na rękojeściach mieczy.

Owo zimne światło wznieciło lodowy płomień z klejnotów zdobiących czarne pukle B?lit, gdy ta złożyła gibką swą postać na skórze lamparta, rzuconej na pokład. Wsparta na łokciu, z głową w smukłych dłoniach, wpatrywała się w twarz Conana, który spoczywał u jej boku, a lekki wiatr mierzwił jego czarną grzywę. I oczy B?lit, jak ciemne klejnoty, płonęły w świetle księżyca.

- Tajemnicą jesteśmy otoczeni i grozą - rzekła. - I podążamy w dziedzinę koszmarów i śmierci. Czy lękasz się, Conanie?

Wzruszenie opancerzonych ramion starczyło za odpowiedź.

- I ja się nie boję - ciągnęła w zadumie. - Nigdy się nie bała. Zbyt często patrzyłam w rozwartą paszczkę Śmierci. Conanie, czy lękasz się bogów?

- Zbyt wiele do czynienia z nimi mieć nie pragnę - odparł barbarzyńca powściągliwie. - Jedni bogowie tędzy są w czynieniu krzywdy, inni - w pomocy udzielaniu; tak przynajmniej prawią kapłani. Mitra Hyboryjczyków mocnym musi być bogiem, skoro jego lud grody na całym wzniósł świecie. A przecież nawet Hyboryjczycy drżą przed Setem. A Bel, patron złodziei, dobrym jest bogiem. Dowiedziałem się o nim, gdym był złodziejem w Zamorze.

- Zali masz własnych bogów? Nigdy nie słyszała, byś ich wzywał.

- Crom z nich najpotężniejszy. Na wielkiej mieszka górze. Nie ma po co go wzywać, bo niewiele się troszczy, czy żyje człek, czy ginie. Lepiej gębę trzymać zawartą, by uwagi jego na się nie zwrócić, bo łacniej zagładę sprowadzi niż szczęście! Ponury jest i nieczuły, ale w chwili narodzin tchnie w duszę człeka siłę do walki i ubijania. Czegóż więcej od bogów można żądać?

- A światy za rzeką śmierci? - nalegała.



- Ani tu, ani tam nie masz w wierze mego ludu nadziei - odparł Conan. - W tym świecie daremnie walczy człek i cierpi, rozkosz znajdując jeno w najczystszej bitewnej szale; gdy umiera, dusza jego wstępuje w szarą, mglistą krainę pełną chmur i mroźnych wiatrów, by tam bez pociechy po wieczność wędrować.

B?lit zadygotała.

- Życie, choćby najgorsze, lepsze od takiego losu. W co tedy wierzysz, Conanie?

Wzruszył ramionami.

- Poznałem wielu bogów. Kto ich istnieniu przeczy, równie jest ślepy jak ten, co zbyt głęboko w nich wierzy. Nie wnika, co śmierć mi przyniesie. Może ciemność tylko, jak głoszą nemedycy mędracy, albo ową dziedzinę lodu i chmur, albo śnieżne równiny i sklepione izby Valhalli ludów Nordheimu. Póki żyję, żyć pragnę mocno: czuć na podniebieniu gęsty sok czerwonego mięsa i smak tęgiego wina, znać objęcia białych ramion, doświadczać szału bitwy, tańca błękitnych ostrzy, płomienia i purpury. Szczęśliw jestem, gdy to mam. Niechaj mędracy, kapłani i filozofowie rozważają, co życiem jest, a co ułudą. Ja wiem jedno: jeśli życie jest złudzeniem, tedy i ja złudzeniem jestem nie mniejszym i złudzenie jako rzeczywistość pojmuję. Żyję, płonę życiem, kocham, zabijam i jestem zadowolony.

- Ale bogowie są rzeczywistością - rzekła, podążając za własną jakąś myślą. - A nad wszystkimi są bogowie Shemitów: Isztar i Asztoreth, i Derketo, i Uurvanegg. Brodaty Bel o kpiących mądrych oczach także bóstwem jest shemickim, zrodził się był bowiem w pradawnym Shumirze przed wieloma setkami lat i chichocząc poszedł w świat, by kraść klejnoty władcom starożytnym... I jest życie po śmierci, wiem, wiem to na pewno, Conanie z Cimmerii. - Sprężystym ruchem uniosła się na kolana i otoczyła go ramionami. - Ma miłość silniejsza jest od śmierci. Leżałam zdyszana w twych objęciach, gwałtowne bowiem są nasze pieszczoty; dzierżyłeś, kruszyłeś i zdobywałeś mnie, wysysając mą duszę swymi bolesnymi pocałunkami. Me serce złączone jest z twoim, ma dusza jest częścią twojej duszy! Gdybym legła martwa, a tobie przyszło walczyć o życie, z otchłani pospieszyłabym ci na pomoc - tak! czy duch mój wzlecieć by musiał spod purpurowych żagli na krystalicznych morzach raj, czy wypełznąć z potwornych płomieni Piekieł! Do ciebie należą i żadni bogowie ze wszystkimi swoimi wiecznościami mocy nie mają, by nas rozdzielić!

Jęk rozległ się na dziobie. Odpychając B?lit, zerwał się Conan ze srebrzyście lśniącem w świetle księżyca mieczem w dłoni i włos mu się zjeżył. Czarny wojownik wisiał nad pokładem, trzymany przez coś, co wyglądało jak giętki pień drzewa, wyrastający zza burty. I pojał Cymmeryjczyk, że to wąż gigantyczny, który połyskliwe swe sploty wydzwignął ponad dziób galery i porwał nieszczęsnego woja w straszliwą paszczę. Oślizgłe łuski błyszczały jadownicę w świetle księżyca, gdy cielsko prężyło się wysoko nad pokładem, a schwyty człek jęczał i wił się jak mysz w kłach pytona. Popędził Conan na dziób i straszliwym zamachem ogromnego miecza przerąbał niemal cielsko, grubsze niż ludzki korpus. Krew splamiła nadburcia, gdy zdychający potwór cofał się znad pokładu, by - wciąż dzierżąc w paszczy ofiarę - zwój za zwojem pogrążyć się w rzece; wzburzyła się woda, aż wystąpiła na powierzchni czerwona piana, w której ostatecznie i gad zniknął, i człowiek.

Od tej chwili sam Conan trzymał wachnię dziobową, ale żaden już koszmar nie wypełził z mrocznych odmętów; gdy zaś ranek rozbielił szczyty drzew, dostrzegł między nimi Cymmeryjczyk czarne kły wieżyc. Przywołał B?lit, która spała na pokładzie owinięta jego purpurowym płaszczem, a ta z płonącym wzrokiem przybiegła na wezwanie. Otworzyła usta, gotując się do wydania rozkazu, aby zaś wojownicy łuki chwycili i włócznie, lecz nagle rozszerzyły się jej źrenice.

Nie miasto, ale widmo miasta mieli przed sobą, o czym się upewnili, gdy minawszy zarosły dzunglą cypel, jęli się zbliżać do przeciwległego brzegu. Zielsko i wybijające trawy rosły między gładzami spękanych murów i strzaskanych płyt, co ulicami niegdyś były, wielkimi placami i obszernymi podwórcami. Ze wszystkich stron - z wyjątkiem tej, w której płynęła rzeka - do miasta wdzierała się dzungla, kryjąc powalone kolumny i gruzowiska swą jadowitą zielenią. Tu i ówdzie skrzywione wieże chwiały się pijacko pod błękitnym niebem poranka, a spękane słupy sterczały spomiędzy rozsypujących się ścian.

Na głównym placu wznosiła się marmurowa piramida, zwieńczona smukłą kolumną, na której szczycie przycupnęło coś, co zrazu wziął Conan za rzeźbę, nim jego bystre oczy nie wypatrzyły oznak życia.

- To wielki ptak - rzekł jeden ze stojących na dziobie wojowników.

- Potworny nietoperz - utrzymywał drugi.

- To małpa - orzekła B?lit.

I w tej chwili stworzenie rozpostarło ogromne skrzydła i uleciało w kierunku dzungli.

- Skrzydlata małpa - ozwał się zaniepokojony N'Yaga. - Lepiej byśmy uczynili gardła sobie podrzynając, miast tu przybywać. Nawiedzone jest to miejsce.

B?lit wyśmiała jego uprzedzenia i rozkazała przybić do brzegu cumując galerę do skruszałych nabrzeży. Pierwsza wyskoczyła na ląd, tuż za nią podążył Conan, dalej zaś - hebanowi wojownicy w swych chwiejących się na wietrze pióropuszech, z nagotowanymi włóczniami, z oczyma niepewnie omiatającymi dookolną dzunglę. Cisza panowała wokół, złowróźbna jak milczenie uspiętego węża.

Malowniczo wyglądała B?lit na tle ruin, a życie bijące z jej gibkiej postaci osobliwie kontrastowało z otaczającą ją pustką i zniszczeniem.

Wolno, posępnie rozpalało się słońce nad dzunglą, zalewając wieże matowym złotem; pod rozchwianymi murami przyczały się cienie. B?lit ukazała smukłą, okrągłą wieżę, chybczącą się na swych murszejących fundamentach. Wiodła ku niej obramowana powalonymi kolumnami szeroka aleja ze spękanych, poprzerastanych trawą płyt, zakończona masywnym ołtarzem. Podbiegła doń B?lit...

- Świątynia to była dawnych bogów - rzekła. - Patrzaj, kanaliki na krew biegną z boków ołtarza i deszcze tysięcy lat nie zmyły z nich ciemnych plam. Rozsypały się mury, ale ten kamień trwa, kpiąc sobie z czasu i żywiołów.

- Kimże byli ci dawni bogowie? - chciał wiedzieć Conan.

Bezradnie rozłożyła smukłe ręce.

- Nawet legendy nie wspominają o tym mieście. Ale spójrz na uchwyty po obu stronach ołtarza! Kapłani skarby swe często pod ołtarzami kryją. Czterech z was niechaj spróbuje dźwignąć tę płytę!

Cofnęła się, czyniąc wojownikom miejsce, zapatrzona w pochyloną niepewnie wieżycę. Trzech najtęższych piratów ujęło wykute w kamieniu uchwyty - osobliwie nieprzystosowane do kształtu ludzkiej dłoni - gdy B?lit podskoczyła z przeraźliwym okrzykiem. Zamarli w miejscach, a Conan, pochylony już nad ołtarzem, odwrócił się z przekleństwem na ustach.

- Żmija w trawie - powiedziała, odsuwając się. - Ubij ją; wy bierzcie się do płyty.

Zastąpiony przez czarnego wojownika, szybko podszedł do niej Conan, a gdy niecierpliwe przetrząsał murawę w poszukiwaniu gada, hebanowi olbrzymi, krzepko stanąwszy na nogach, stęknęli i poczęli dźwigać, aż ogromne mięśnie zawęzły się i naprężyły pod skórą.

Nie oderwali od ziemi ołtarza, który nagle jął się obracać wokół jednej z krawędzi. I w tej samej chwili rozległ się w górze trzask i huk, i wieża runęła w dół, grzebiąc pod gruzem czterech czarnych wojowników.

Kompani wydali okrzyk zgrozy, a wąskie palce B?lit zacisnęły się na muskularnym ramieniu Conana.

- Nie było żmii - wyszeptała. - Podstępem musiałam cię odwołać, lękałam się bowiem... Dobrze strzegą dawni bogowie swych skarbów. Odrzućmy kamienie!

Uczynili to z wielkim wysiłkiem i wydobyli zmasakrowane ciała czterech mężów. A pod nimi znaleźli czerwoną od krwi nieszczęśników wykutą w skale kryptę. Ołtarz, kunsztownie umocowany na kamiennych zawiasach, służył jej za wrota. I na pierwszy rzut oka zdało się, że wypełniona jest owa krypta płynnym ogniem, odbijającym światło poranka milionem lśniących luster. Skarby niewyobrażalne leżały przed oczyma oszołomionych piratów: diamenty, rubiny, szafiry, turkusy, opale, szmaragdy, ametysty, krwawniki, kamienie księżycowe i wiele innych, nieznanych, co błyszczały jak oczy demonicznych kobiet. Po brzegi wypełniona była krypta promiennymi klejnotami, które słońce poranka rozjarzyło migotliwym płomieniem.

Z okrzykiem opadła B?lit na kolana wśród zakrwawionych odłamków na krawędzi krypty i swe białe ręce aż po ramiona pogrzyła w owym bezmiarze wspaniałości. I wyciągnęła je, dzierżąc w dłoni coś, co następny okrzyk wydarło jej z ust - długi sznur purpurowych kamieni, co były jak grudy skrzepniętej krwi nawleczone na grubą złotą strunę. Poświata, jaką roztaczały, zmieniała złoty blask słońca w krwawą mgłę.

Oczy B?lit były oczyma kobiety w transie. Shemicka dusza w bogactwach i wspaniałościach radosne znajduje upojenie; a widok tych skarbów wstrząsnąłby nawet duszą tonącego w dostatkach cesarza Shushanu.

- Brać klejnoty, wy psy! - Głos jej ochrypl z podniecenia.

- Patrz! - Muskularne czarne ramię ukazywało w kierunku „Tygrysy”, a Bilit odwróciła się z warknięciem na purpurowych wargach, jakby spodziewając się ujrzeć następny okręt korsarski, co przybija do brzegu, by ją łupu pozbawić.

Ale z okrężnicy galery uniósł się czarny kształt i poszybował nad dżunglą.

- Diabelska małpa buszowała po okręcie - wymamrotał zaniepokojony wojownik.

- No i co z tego?! - wrzasnęła Bilit z gniewem, niecierpliwą dłonią odrzucając z czoła niesforny lok. - Zróbcie nosze z włóczni i płaszczów do przeniesienia tych klejnotów... a ty, do stu piorunów, gdzie idziesz?

- Przyjrzeć się galerze - mruknął Conan. - Ten nietoperz z powodzeniem dziurę w dnie mógł wybić.

Szybko przebiegł po splekającym nabrzeżu i skoczył na okręt. Przez chwilę rozglądał się pod pokładem, a potem zaklął z pasją, rzucając chmurne spojrzenie w stronę, gdzie zniknął błoniastoskrzydły stwór. Pospiesznie wrócił do Bilit nadzorującej łupienie krypty. Założyła naszyjnik i czerwone kamienie lśniły mrocznie na jej nagiej białej piersi. Ogromny czarny wojownik stał po uda w wypełnionej klejnotami jamie i czerpiąc bogactwa pełnymi garściami, podawał je do wyciągniętych z góry łakomych rąk kompanów. Migotliwe lodowate tęcze zwieszały się między jego ciemnymi palcami, krople czerwonego ognia kapały z dłoni... I zdało się, że to czarny tytan stanął na rozkraczonych nogach w ognistej otchłani Piekieł, w wyciągniętych dłoniach dzierżąc gwiazdy.

- Ten latający diabeł podziurawił beczki z wodą - rzekł Conan. - Usłyszeliśmybyśmy hałas, gdyby nie omamiły nas tak klejnoty. Głupcy jesteśmy, że człeka nie zostawiliśmy na warcie. Nie lżą pić wody z rzeki, tedy wezmę dwudziestu ludzi i w dżungli poszukamy świeżej wody.

Ledwie nań spojrziała oczyma, które tylko osobliwe zamroczenie zdawały się odbijać, a jej palce nie przestały igrać zawieszonymi na piersi kamieniami.

- Bardzo dobrze - powiedziała z roztargnieniem. - Ja łupy na pokład przeniosę.

Natychmiast zamknęła się wokół nich dżungla, światło ze złocistego zmieniając na szare. Z łukowatych zielonych gałęzi liany zwieszały się na kształt pytonów. Wojownicy rozciągnęli się w rząd, brnąc przez wieczny półmrok jak czarne zjawy podążające za białym duchem.

Poszycie nie było tak gęste, jak się Conan spodziewał, ziemia zaś, choć gąbczasta, nie była grząska. Im dalej od rzeki, tym wznosiła się wyżej. Coraz głębiej pogrążali się w rozkołysane zielone odmęty i wciąż nie znajdowali śladu wody - ani płynących strumyków, ani spokojnych stawów. Nagle zatrzymał się Conan, a jego wojownicy zastygli jak bazaltowe posągi. Zapanowała pełna napięcia cisza, Cymmeryjczyk zaś niespokojnie potrząsnął głową.

- Idźcie dalej - mruknął do swego zastępcy, N'Gory. - Maszerujcie prosto, aż zniknę wam z oczu;

wtedy zatrzymajcie się i czekajcie na mnie. Zda się, ktoś nas śledzi. Szmer słyssałem...

Czarni niespokojnie przestępowali z nogi na nogę, ale uczynili, co im kazano. Gdy ruszyli przed siebie, Conan szybko skrył się za ogromnym drzewem i począł wpatrywać się w stronę, z której przybyli. Wszystko mogła kryć ta zielona gęstwina...

Nic nie nastąpiło; zginęły w oddaleniu wątle głosy maszerujących łuczników. Nagle uświadomił sobie Conan, że powietrze przesycone jest osobliwym jakimś, egzotycznym aromatem. Błyskawicznie się odwrócił, gdy coś delikatnie musnęło jego skroń. Z kępy zielonych, przedziwnie ulistnionych łodyg kłoniły się ku niemu olbrzymie czarne kwiaty, a jeden z nich już go był dotknął. Zdawały się nań kiwać, zapraszać, gnąc w jego stronę sprężyste szyje. Rozwijały płatki i szeleściły, choć nie było wiatru. Odkoczył, rozpoznając czarny lotos, którego nektar niósł śmierć, a zapach - pełen majaków sen. Lecz już czuł, że omracza go letarg. Próbował unieść miecz, by ściąć węzowe łodygi, ale ramię zwiśło bezsilnie. Rozwarł usta, by wezwać swych wojowników, lecz wydał tylko ciche rżenie. I zaraz potem, z zatrważającą nagłością, zakolysała się i zamglila dżungla przed jego oczyma; nie usłyszał już straszliwych krzyków i jęków, co w niewielkiej wybuchły odległości, gdy zmiękły pod nim kolana i bezwładnie osunął się na ziemię. Nad jego rozciągniętym ciałem w nieruchomym powietrzu kołysały się czarne kwiaty.

### 3. KOSZMAR W DŻUNGLI

Czy zesłał tylko sen mrocznego kwiat lotosu?

Przeklęty tedy sen, co gnuśny żywot kupił

I każda chwila owej niemocy, rzekłbyś, trupiej,

Gdy nóż mój krwi nie rozlał i miecz nie zadał ciosu.

- PIEŚŃ O B?LIT

Zrazu była czerń zupełnej pustki, przesywanej chłodnymi podmuchami kosmicznego wiatru. Potem kształty - niewyraźne, potworne i ulotne - jęły się w mglistym szeregu toczyć przez bezmiar nicości, jakby ciemność przybierała postać cielesną. Wicher powiał i zrodził się wir, rozszalała piramida ryczącej czerni.

Z niej Kształt się wyłonił i Wymiar; potem, nagle, jak rozegnane chmury rozstąpiły się ciemności i wielkie miasto z zielonego kamienia wystrzeliło na brzegu szerokiej rzeki, przecinającej bezgraniczną równinę. Istoty o nieziemskiej postaci krążyły po owym mieście.

Podobne ludziom, ludźmi najoczywiściej nie były. Skrzydlate i ogromne, nie stanowiły odrośli owego tajemniczego drzewa ewolucji, którego szczytem jest ludzkość - były dojrzałym owocem innego, w oddaleniu rosnącego drzewa. Przypominały człowieka swym cielesnym wyglądem tak jak

ten, w swym najdoskonalszym kształcie, przypomina wielkie małpy. Duchowym, umysłowym i estetycznym rozwojem na tyle były odeń wyższe, na ile on wyższy jest od goryla. Gdy wznosiły swój olbrzymi gród, pierwotni przodkowie człowieka nie wyłonili się jeszcze na dobre ze śluzu pradawnych oceanów.

Śmiertelne były owe istoty, jak wszystko, co z krwi jest uczynione i kości. Żyły, kochały i umierały, choć niewyobrażalnie długi był czas ich życia. A potem, po niezliczonych milionoleciach, rozpoczęła się Przemiana. Wizja drżała i falowała jak obraz rzucony na unoszoną wiatrem kurtynę. Nad miastem i ziemią przetaczały się epoki jak fale przez plażę, a każda z owych fal niosła zmiany. Gdzieś na planecie przemieszczały się centra magnetyczne; olbrzymie lodowce ku nowym się cofały biegunom.

I zmieniało się oblicze rzeki. Równiny przekształciły się w mokradła cuchnące gadzim życiem. Gdzie niegdyś pola były żyzne, wyrastały lasy, co później w wilgotne zmieniały się dżungle. Kolejne epoki znaki swe zostawiały również na mieszkańcach grodu, ci bowiem nie przenieśli się w nowe regiony. Powody niepojęte dla ludzkości kazały im pozostać w pradawnym mieście, oczekując zagłady. A gdy bogata ongiś i potężna kraina coraz głębiej pogrążała się w czarne bagno dżungli, w chaosie jej wrzaskliwego życia utonęli mieszkańcy miasta. Straszliwe konwulsje wstrząsnęły ziemią; noce rozjarzone były wybuchami bluzgających lawą wulkanów, które na mrocznych horyzontach rozstawiały rzędy czerwonych kolumn.

Po kataklizmie, co powalił zewnętrzne mury i najwyższe wieżycy miasta, i sprawił, że przez wiele dni wody rzeki czarne były od jadowitej jakiejś substancji wyplutej z głębin ziemi, w wodach owych - z których czerpano przez niezliczone millennia - dokonana się złowroga zmiana.

Z tych, którzy ją pili, wielu zmarło; na innych piętno jęło się oznaczać - zrazu mało widoczne, z czasem coraz bardziej przerażające. Przystosowując się do nowych warunków, cofnęli się w rozwoju daleko od swego pierwotnego stanu. Lecz śmiertcionośne wody odmieniały ich coraz okropniej z pokolenia na potworniejsze pokolenie. Oni, którzy skrzydlatymi byli bogami, stali się demonami, a wszystko, co pozostało z niezmierzonej mądrości ich przodków, spaczone, przekręcone i chore, wiodło ich coraz upiorniejszą ścieżką. Wyżyn, na które niegdyś się wspięli, nie zdołałaby ludzkość sięgnąć nawet marzeniem; teraz wszelako stoczyli się tak nisko, że w najobłędniejszym koszmarze nie mógłby tego wyśnić człowiek.

Ginęli szybko - przez kanibalizm i straszliwe boje toczone w mrokach nocnej dżungli. I w końcu wśród porośniętych mchami ruin miasta czaiła się tylko jedna postać - skarłowaciały, odrażający wybryk natury.

Wtedy po raz pierwszy pojawili się ludzie: ciemnoskórzy mężowie o orlich rysach, w zbrojach ze skóry i miedzi, dzierżący w dłoniach łuki - wojownicy prehistorycznej Stygii. Tylko pięćdziesięciu ich było, wycieńczonych i zmizerowanych z głodu i długiego wysiłku, brudnych i pokaleczonych w marszu przez dżunglę, pokrytych zakrwawionymi bandażami, co o srogiej mówiły walce. W duszach ich była pamięć wojny i klęski, i ucieczki przed silniejszym plemieniem, co gnało ich coraz dalej ku południowi, aż zatracili się w zielonym labiryncie dżungli i rzeki.

Wycieńczeni legli wśród ruin, gdzie czerwone kwiaty, kwitnące raz tylko na stulecie, kołysały się

w świetle pełnego księżyca, i spadł na nich sen. A gdy spali, odrażający czerwonoooki kształt wypełził z cienia i nad każdą z rozciągniętych postaci rytuały odprawiał osobliwe i straszne. Księżyc wiszący na zamglonym niebie barwił dżunglę czernią i czerwienią; nad głowami śpiących purpurowe kwiaty lśniły jak plamy krwi. Potem skrył się księżyc i tylko oczy nekromanty błyskały jak czerwone klejnoty w hebanowym mroku nocy.

Gdy świt rozpostarł nad rzeką biały swój welon, ani jednego nie było widać człowieka: tylko kudłate, skrzydlate monstrowe, siedzące w środku kręgu uczynionego przez pięćdziesiąt wielkich cętkowanych hien, które uniosły ku niebu drżące pyski, wyjąc jak dusze potępione.

Potem scena następowała po scenie z oszalamiającą szybkością. Był ruch bezładny, taniec światła i cienia na tle czarnej dżungli, ruin z zielonego kamienia i mrocznej rzeki. Czarni ludzie płynęli w górę nurtu długimi łodziami o dziobach zdobnych szczykami albo z włócznią w dłoni skradali się pochyleni wśród drzew. I umykali z wrzaskiem przed czerwonymi oczami i zaślinionymi kłami. Jęki umierających rozdzierały mrok, tajemnicze stopy skradały się w ciemnościach, czerwienią płonęły oczy wampira. I były przerażające uczyty pod księżycem, a przez jego purpurowe oblicze ustawicznie przelatował kształt ogromnego, rzekłbyś, nietoperza.

Potem, niespodziewanie, rysując się wyraziście - w przeciwieństwie do poprzednich, zamglonych obrazów - wokół zalesionego przylądka przemknęła długa galera, pełna hebanoskórych postaci, na dziobie zaś stał biały gigant w błękitnej stali.

W tym dopiero momencie pojawił Conan, że śni. Nie miał dotąd świadomości własnego istnienia. Gdy wszelako ujrzał się na pokładzie „Tygrysicy”, zdołał odróżnić życie od snu, choć się nie zbudził.

Wtedy zmienił się obraz, ukazując polanę w dżungli, gdzie, jakby na kogoś czekając, stał N’Gora i dziewiętnastu czarnych włóczników. I gdy zdążył pojąć Conan, że to na niego czekają, koszmar runął z nieba i kamienny spokój wojowników ustąpił miejsca rozpaczliwym okrzykom przerażenia.

Jak ludzie, co zmysły postradali z przestachu, odrzucili swój oręż i umykali na oślep przez dżunglę, naciskani przez zaślinionego potwora, który tuż nad ich głowami rozpostarł wielkie, błoniaste skrzydła.

Po owej wizji - w czasie której czynił Conan słabe próby, by się obudzić - nastąpił chaos. Cymmeryjczykowi zdało się mgliście, że dostrzega swe ciało rozciągnięte pod rozkołysaną kiścią czarnych kwiatów, gdy z krzaków pełźnie ku niemu odrażający kształt.

Okrutnym wysiłkiem zerwał niewidoczne więzy, co dzierżyły go we śnie, i stanął na nogi. Oszołomiony rozejrzał się dokoła. Obok niego chwiał się mroczny lotos, pospiesznie tedy odsunął się odeń.

Nie opodal w miękkiej ziemi ślad ujrzał, jakby zwierzę, gotujące się do wyjścia z zarośli, jedną wystawiło łapę, a potem ją cofnęło. Mógł to być ślad niewiarygodnie dużej hieny.

Okrzyknął N’Gorę. Pierwotna cisza wisiała nad dżunglą i krzyki Conana śmiesznie wątle były i głuche. Nie widział słońca, ale jego wykształcony w głuszy instynkt podpowiedział mu, iż dzień

zbliża się do kresu. Ogarnęła go panika, gdy pojął, że wiele godzin leżał bez zmysłów. Pośpiesznie podążył śladem włóczników, wyraźnym w wilgotnej, gliniastej glebie. Biegły pojedynczym szlakiem; rychło dotarł do polany - i zamarł bez ruchu, a dreszcze przebiegły mu po plecach, gdy rozpoznał ją jako polanę ze swego narkotycznego snu. Tarcze i włócznie poniewierały się po ziemi, jakby porzucone w gwałtownej ucieczce.

A ze śladów wiodących z polany w coraz głębsze gęstwiny pojął, że w istocie ślepy to był bieg. Krzyżowały się tropy, wiły bezcelowo wśród drzew. I nagle wychynał pośpiesznie kroczący Cymmeryjczyk z dżungli na podobną do wzgórza skałę, co pięła się stromo, by urwać się gwałtownie nad przepaścią, głęboką na jakie czterdzieści stóp.

Coś kuliło się na krawędzi.

Zrazu myślał Conan, że to wielki goryl, lecz wnet zrozumiał, iż ma przed sobą olbrzymiego czarnoskórego męża, który na podobieństwo małpy siedzi w kucki ze zwieszonymi długimi rękoma, tocząc pianę z rozwartych ust.

Dopiero gdy człek ów, uniósłszy wielkie dłonie, rzucił się na Conana z łkającym wyciem, ten poznał w nim N'Gorę. Uderzając, nie zwracał uwagi na krzyk Cymmeryjczyka - z wywróconymi oczyma, co ukazywały całe białka, z błyszczącymi zębami, twarz jego nadludzką zdawała się być maską. Z dreszczem zgrozy, który na skórze człeka zdrowego zawsze wywołuje widok szaleństwa, Conan wraził miecz w ciało czarnego olbrzyma, a potem, unikając wymierzonych w swą stronę szponiastych palców padającego N'Gory, podszedł do skraju przepaści.

Przez chwilę patrzył w dół, na postrzępione skały, gdzie bezwładni i poskręcani, co o członkach zmiażdżonych świadczyło i potrzaskanych kościach, spoczywali włócznicy N'Gory. Żaden się nie ruszał. Chmara wielkich czarnych much głośno bzyczała nad spryskanymi krwią głazami, a mrówki poczęły już wgryzać się w ciała. Na okolicznych drzewach siedziały ptaki drapieżne, zaś szakał, ujrawszy żywego człowieka nad przepaścią, umknął chyłkiem.

Niedługo stał Conan bez ruchu. Wnet odwrócił się i pobiegł tą samą drogą, którą przyszedł. Parł, na nic nie zważając, przez wysokie trawy i zarośla, przesadzał pnącza, na kształt węży przegradzające mu drogę. W prawej dłoń: dzierżył miecz, a niezwykajna bladość kryła jego ciemne oblicze.

Nic nie zakłócało ciszy panującej w dżungli. Skryło się słońce i wielkie cienie powstały z lepkiej, czarnej ziemi. W mroku, gdzie czaiła się śmierć i ponura samotność, był Conan błyskiem pędzącym szkarłatu i błękitnej stali. Żaden dźwięk nie dobiegał z całego pustkowia, tylko jego szybki oddech, gdy wypadł wreszcie z cienia na okryty mglistym półmrokiem brzeg rzeki.

Ujrzał galerę przytuloną do splekanych nabrzeży i rozchybotane ruiny, rysujące się w szarej poświacie. Tu i ówdzie zaś lśniły między kamieniami plamy świeżego jasnego koloru, jakby beztroska dłoń otrząsnęła nad nimi zanurzony w purpurowej farbie pędzel.

Znów śmierć ujrzał Conan i zniszczenie. Leżeli przed nim wojownicy i nie powstałi, by go pozdrowić. Leżeli od skraju dżungli po brzeg rzeki, między poszczerbionymi kolumnami i na



pokruszonych płytach - podarte na strzępy, zmasakrowane, na poły zeżarte ludzkie szczątki.

Idąc z wolna po nabrzeżu, dotarł Conan do galery. Nad jej pokładem wisiało coś, co w wątlej poświacie lśniło jak kość słoniowa. Oniemiały spojrzał Cymmeryjczyk na Królową Czarnego Wybrzeża, powieszoną na reji własnego jej okrętu.

Między reją a smukłą szyją Bilit rozciągał się sznur purpurowych klejnotów, co jak krew błyszczały w szarym zmierzchu.

# 4. UDERZENIE

Czarne cienie wokół niego krążyły,

Czarne paszcze kły okrutne szczyrzyły

I jak deszcz ciekła krew...

Lecz silniejsza ma miłość niżli śmierci zły czar,

Sto otchłani przebyłam i podniosłam się z mar,

By na jego pospieszyć zew...

- PIEŚŃ O B?LIT

Dżungla była czarnym kolosem ściskającym hebanowymi ramionami pokrytą ruinami przestrzeń. Nie wzeszedł jeszcze księżyc; gwiazdy jak drobiny rozpalonego bursztynu lśniły na nieruchomym niebie, które tężeć się zdawało od wszechobecnej śmierci. Na stopniach piramidy, wśród powalonych kolumn jak żelazny posąg siedział Conan Cymmeryjczyk, wsparłszy brodę na potężnych pięściach. Wokół, w atramentowych ciemnościach, sunęły ciche stopy i błyskały czerwone oczy. I leżeli martwi...

Ale na pokładzie „Tygryscy”, na stosie uczynionym z potrzaskanych ław, drzewc włóczni i skór lamparcich, spowita w szkarłatny płaszcz Conana, spała swym ostatnim snem Królowa Czarnego Wybrzeża. Jak prawdziwa spała królowa, wśród spiętrzonych wokół bogactw: jedwabi, złotych szat, srebrzystych przepasek, beczulek pełnych klejnotów, złotych monet, kosztownych sztyletów i sztabek srebra.

Ale o łupach z przeklętego miasta mogłyby rzec tylko posępne wody Zarkheby, do których cisnął je Conan z bluźnierstwem na ustach.

A teraz siedział ponuro na stopniach piramidy, oczekując swych niewidzialnych wrogów. Najczarniejsza furia przegnała z jego duszy cały lęk. Jakie to postaci wyłonią się z ciemności - ani wiedział, ani się przejmował.

Nie wątpił dłużej w prawdziwość wizji zesłanej przez czarny lotos. Pojął, że czekających nań na polanie wojowników N'Gory grozą przejął widok spadającego z niebios skrzydlatego potwora i uciekając w popłochu, runęli w przepaść; wszyscy z wyjątkiem dowódcy, który choć unikną podobnego losu, to przecie przed szaleństwem nie umknął. W tym samym czasie - lubo też potem albo może przedtem - dokonało się unicestwienie ludzi pozostałych na brzegu rzeki. Conan nie wątpił, iż rzeź to raczej była niż bitwa. Już wcześniej pozbawieni męstwa przez obawy swe i przesady, mogli czarnoskórzy piraci ulec swym nieludzkim wrogom, ani jednego ciosu w obronie życia nie zadawszy.

Dlaczego zaś on sam oszczędzany był tak długo, pojąć nie potrafił - możliwe, iż władająca rzeką

istota szalona zamierzyła trzymać go przy życiu, rozpaczą torturując i strachem. Bieg wydarzeń na ludzki albo nieludzki wskazywać zdawał się rozum - przebicie beczulek z wodą, by podzielić siły nieprzyjaciół, zagnanie czarnych wojowników w przepaść, i wreszcie - co dowodem było najmocniejszym - potworna kpina ze sznurem purpurowych klejnotów, zadzierzgniętych na kształt stryczka wokół białej szyi B?lit.

Uznawszy najoczywiściej Cymmeryjczyka za wybraną ofiarę i wydusiwszy zeń duchową mękę do ostatniego łuta, wielce było prawdopodobne, że nieznanego wróg zamknie tragedię, posyłając go śladem innych nieszczęśników. Myśl o tym nie wykrzywiła uśmiechem ponurych ust Cymmeryjczyka, lecz oczy jego zapłonęły osobliwym blaskiem.

Wszedł księżyc, krzesząc ogniste iskry z rogatego hełmu Conana. Żadne wołanie nie budziło śpiącego echa, a przecie powietrze zgęstniało od napięcia i dżungla, rzekłbyś, wstrzymała oddech. Instynktownie poluzował wojownik w pochwie swój wielki miecz. Piramida, o którą się wspierał, cztery miała boki, w jednym - zwróconym ku dżungli - wykute były szerokie stopnie. Tu przyklęknął Cymmeryjczyk; w dłoni dźwiżył shemicki łuk, jeden z tych, którymi nauczyła B?lit posługiwać się swych piratów, przed sobą zaś ułożył naręcz strzał.

Coś poruszyło się w ciemności panującej pod drzewami i ujrzał nagle Conan podświetloną wstającym księżycem czarną plamę głowy i barków o zwierzęcych zarysach. I nadbiegły z cienia, cicho, zwinnie, przytulone do ziemi mroczne kształty - dwadzieścia ogromnych cętkowanych hien. Ich wilgotne kły błyskały w księżycu, a ślepie gorzały tak, jak nie mogłyby płonąć oczy prawdziwego zwierzęcia.

Dwadzieścia, pomyślał Conan, tedy włócznie piratów zebrały wśród zgrai krwawe żniwo. I naciągnął cięciwę do ucha, a gdy jęknęła, płomienistooki kształt skoczył wysoko i wijąc się opadł na ziemię. Reszta, nie zawahawszy się, podążała dalej, choć jak deszcz śmierci padały na nią strzały Cymmeryjczyka, słane z całą siłą i dokładnością stalowych muskułów, krzepionych jeszcze nienawiścią równie gorącą jak rozżarzone węgle Piekieł.

Nie chybiał w swym bojowym szale; powietrze pełne było świszczącej śmierci, a spustoszenie, jakie czynił w atakującym stadzie, zapierało dech w piersiach. Mniej niż połowa bestii dotarła do stóp piramidy...

Patrząc w dół na płonące oczy, pojął Conan, że nie ze zwierzętami przyszło mu mieć do czynienia; nie tylko w ich nadzwyczajnej wielkości wyczuwał demoniczną inność. Roztaczały aurę równie namacalną jak czarne opary unoszące się z zasłanego martwymi ciałami mokradła. Jaka grzeszna alchemia powołała owe istoty do życia, nie próbował nawet przypuszczać; ale wiedział, że zetknął się oto z magią mroczniejszą niż magia Studni Skelos.

Zerwał się na nogi i potężnie naciągnąwszy łuk, posłał ostatnią strzałę wprost w wielkie kudłate cielsko, co szybowało już ku jego gardłu. Strzała, jak mknący promień księżycowego blasku, mgniem tylko zdawała się być ulotnym, ale demoniczna bestia zwinęła się w locie i runęła na łeb, przestrelona na wylot.

A potem dopadła go reszta zgrai, w okropnym wirze płonących ślepi i wilgotnych kłów.

Błyskawiczny cios miecza pierwszą z hien rozplątał na dwoje, ale desperacka szarża pozostałych obaliła go z nóg. Rozbił wąską czaszkę gałką rękojeści, czując jak kość się poddaje, a krew i mózg tryskają na dłoń, a potem, rzucając miecz, bezużyteczny w takim ścisku, chwycił za gardła dwie bestie, co szarpały go i kąsały z milczącą furją. Drażniący plugawy odór niemal go zdławił, a oczy zalewał własny pot. Tylko zbroja uchroniła go przed rozdarciem w jednej chwili na strzępy. W następnej zaś jego prawa dłoń zawarła się na kudłatym gardle i rozszarpała je. Lewa dłoń, chybiąc gardła drugiej hieny, chwyciła i zmiażdżyła jedną z jej przednich łap. Krótki jęk, pierwszy okrzyk owej ponurej bitwy, odrażająco ludzki, wyrwał się z pyska okaleczonej bestii.

Porażony nim Conan nieświadomie zwolnił uścisk.

I wtedy pierwsza hiena, bluzgając krwią z rozerwanej tętnicy, rzuciła się nań w ostatnim dzikim spazmie i zawarła kły na jego krtani - i nim na dobre poczuł wojownik rwący ból owego uścisku, opadła martwa. Druga zaś, doskoczywszy na trzech łapach, w brzuch jęła się wgrzyzać, jak wilki to czynią, aż porwała ogniwa kolczugi. Ułapił tedy Conan okaleczonego potwora i olbrzymim wysiłkiem, co jęk wyrwał z okrwawionych warg, uniósł do góry drapiące i wyrywające się cielsko. Zataczał się przez chwilę, w której cuchnący oddech bestii parzył mu nozdrza, a szczęki mierzyły w szyję, a potem, z siłą zdolną kości potrzaskać, cisnął hienę na marmurowe stopnie.

Gdy chwiał się na szeroko rozstawionych nogach, próbując złapać oddech, a dżungla i księżyc we krwi zdawały się unosić przed jego oczyma, posłyszał głośnie uderzenia błoniastych skrzydeł. Pochylił się, by podjąć miecz, a uczyniwszy to, wyprostował się niepewnie, oburącz uniósł nad głową ogromne ostrze i strząsając krew z oczu, jał w górze wypatrywać nieprzyjaciela.

Nie nastąpiło wszelako uderzenie z powietrza - miast tego niespodziewanie i przerażająco zachwiała się piramida pod jego stopami. Łomot w górze usłyszał i spostrzegł, że wyniosła kolumna chwieje się jak gałązka aa wietrze. Pobudzony do czynu, skoczył z całych sił - w pół odległości od podstawy opadł na stopień, który rozkołysał się pod nim; następny rozpaczliwy sus sięgnął ziemi. Gdy dotykały jej stopy Conana, z grzmotem rozpadła się piramida, a kolumna runęła w dół tysiącem potrzaskanych fragmentów. Przez oślepiającą okropną chwilę z nieba zdawał się padać marmurowy deszcz. A potem potrzaskany kamienny gruz leżał w świetle Księżyca białym płaszczem.

Poruszył się Conan, odrzucając odłamki, którymi na poły był okryty. Jakieś uderzenie strąciło mu hełm i na moment oszołomiło. W poprzek kolan, przygniatając go do ziemi, spoczywał wielki marmurowy złom; nie był Cymmeryjczyk pewien, czy nogi są całe. Włosy na potylicy lepiły się od potu, krew sączyła się z ran na szyi i dłoniach. Wsparty na jednym ramieniu jał się zmagać z więzącym go gruzem.

A potem coś przemknęło na tle gwiazd i w pobliżu opadło na murawę. Odwróciwszy głowę, ujrzał skrzydlatego demona, który ruszył nań z przerażającą szybkością.

Przez mgnienie widział Conan niewyraźnie człekopodobną postać, pędzącą na krzywych, skarłowaciałych nogach, wyciągnięte włochate ramiona zakończone koślawymi łapami o czarnych szponach, niekształtną głowę i szeroką twarz, której jedyną dostrzegalną cechą była para krwistoczerwonych oczu. Istota owa, ani człkiem nie będąca, ani zwierzem, ani diabłem, po równi nadludzkim i prymitywnym przesycona była pierwiastkiem.

Ale nie miał Conan czasu na dłuższy namysł. Rzucił się w kierunku leżącego nie opodal miecza, lecz rozcapierzone palce chybiły o włos. Z rozpaczą chwycił tedy bryłę przygniatającą nogi i żyły spęczniały mu na skroniach, gdy napiął mięśnie, by ją odwalić. Jęła się z wolna poddawać, ale pojął Cymmeryjczyk, że nim zdoła się uwolnić, potwór go dopadnie, i wiedział, że śmierć przyniosą jego czarne szpony.

Skrzydłata bestia nie zwolniła biegu. Lecz gdy jak czarny cień pochyliła się, rozwierając ramiona, nad rozciągniętym wojem, biała błyskawica przemknęła między nim a ofiarą.

Była tu - przez jedną oszałamiającą chwilę - sprężysta, alabastrowa postać, rozedrgana z miłości, niebezpieczna jak pantera. Ujrzał porażony Conan między sobą a nadciągającą śmiercią jej gibką sylwetkę, lśniąca w blasku księżyca jak kość słoniowa, płomień jej ciemnych oczu, gęstwę połyskliwych włosów. Z falującą piersią, rozchylonymi wargami, wydawszy okrzyk ostry i dźwięczny jak uderzenie stali o stal, całą mocą ramion pchnęła skrzydłatego potwora.

- B?lit! - jęknął Conan. Rzuciła nań szybkie spojrzenie i w jej ciemnych oczach miłość dostrzegł płonąca, naga, pierwotną miłość, gorącą jak ogień i rozżarzona lava. A potem znikła i widział Cymmeryjczyk tylko skrzydłatego wroga, który uniósłszy ramiona jakby dla odparcia ataku, cofnął się, strachem opanowany niezwykłym.

I pojmując, że w istocie spoczywa B?lit na stosie swym, wzniesionym na pokładzie „Tygryscy”, wspomniał jej namiętny okrzyk: „Gdybym legła martwa, a tobie przyszło walczyć o życie, z otchłani pospieszyłabym ci na pomoc...”

Uniósł się z rykiem okropnym, odrzucając kamienny złom. Skrzydłaty znów uderzył, a Conan, czując w żyłach ogień szaleństwa, porwał oręż i skoczył mu na spotkanie.

Mięśnie naprężyły się na jego ramionach jak postronki, gdy ciął olbrzymim swym mieczem tak potężnie, że pociągnięty impetem uderzenia obrót uczynił na piętach.

Tuż nad udami pograżyło się ostrze w ciele rozpedzonego stwora i rozplątało je na dwoje: odcięte nogi w jedną poleciały stronę, korpus zaś w drugą.

Conan stał w zalanej światłem księżyca pustyni, z opuszczonym, zakrwawionym mieczem w dłoni, i patrzył na szczątki wroga. Czerwone oczy, płonące odrażającym życiem, pokryła po chwili szklista powłoka. A potem się zamknęły...

Olbrzymie dłonie zacisnęły się spazmatycznie i zamarły. I szczyła najstarsza rasa świata.

Conan uniósł głowę, odruchowo rozglądając się za bestiami, co rabami były czerwonoookiego demona i siepaczami na jego usługach. Żadnej nie ujrzał. Ciała, które zaścielały dookolną murawę, należały do ludzi, nie zwierząt: nadzy to byli, ciemnoskórzy mężowie o orlich rysach, podziurawieni strzałami albo zmasakrowani ciosami miecza. I przed jego oczami rozsypywali się w proch.

Czemu skrzydłaty władca nie przybył swym niewolnikom na pomoc, gdy walczyli z Cymmeryjczykiem? Czy bał się zbliżyć do klów okrutnych, co i jego mogły sięgnąć? - Spryt i

ostrożność kryły się w niekształtnym czerepie, ale nie przyniosły ostatecznego triumfu.

Zawróciwszy na pięcie, Conan przeszedł po zmurszałych nabrzeżach i wstąpił na pokład galery. Kilkoma uderzeniami miecza przerąbał cumy i zbliżył się do steru. Dryfująca „Tygryska” zakołysała się łagodnie na posepnych wodach, spływając leniwie ku środkowi rzeki, gdzie chwycił ją szeroki, mocny nurt.

Conan napał na rumpel, nie spuszczać ponurego wzroku ze spowitej w szkarłatny płaszcz postaci spoczywającej na stosie, którego bogactwo godne było posagu cesarzówny.

# 5. STOS

Nadbiegał oto kres pospólnej naszej drogi;

Zmilkł równy wioseł skrzyp i wietrznej harfy pieśń;

Proporzec krwawy nasz nie będzie wzbudzać trwogi...

Błękitna świata szarfo, po wieczność teraz nieś

Tę, którą dałaś mi...

- PIEŚŃ O B?LIT

I znów świt zabarwił ocean. Ujście rzeki rozjarzyło się czerwonym blaskiem. Conan z Cimmerii, stojąc na białej plaży, wsparł się na swym ogromnym mieczu i patrzył na „Tygrysicę” wyruszającą w ostatni rejs. Nie było blasku w oczach, którymi omiatał kryształowe fale. Błękitny rozkołysany bezmiar całe piękno dlań utracił i cudowność. Sroga w jego sercu dokonała się zmiana, gdy patrzył, jak zielen wód okrywa się purpurową tajemniczą mgiełką.

B?lit z mórz była: ona czyniła je wspaniałymi i nęcącymi. Bez niej stawały się naga, posępna, bezludną pustynią, od bieguna rozciągniętą po biegun. Do mórz należała i wiecznej ich tajemnicy teraz ją zwrócił. Więcej nie mógł uczynić.

Dla niego połyskująca, błękitna wspaniałość oceanu wstrętniejsza się zdawała niż owe niezmiernie dzikie otchłanie, o których skrzypiały i szeptały wyniosłe korony drzew za jego plecami i w które wnet miał się pogrążyć.

Żadna dłoń nie dźrzyła steru „Tygryscy”, żadne wiosła nie unosiły jej po zielonych falach. Ale czysty szumiący wiatr wypełnił jej jedwabny żagiel i jak biały łabędź lecący po niebie ku odległemu gniazdu pomknęła na otwarte morze, a płomienie coraz wyżej strzelały z pokładu, liżąc maszt i pochłaniając spowitą w szkarłat, spoczywającą na gorejącym stosie postać niewieścią.

Tak odeszła Królowa Czarnego Wybrzeża. Wsparty na krwawym mieczu Conan stał w milczeniu, aż w błękitnej mgie rozviała się czerwona poświata i poranek okraszył ocean różowym złotem.

NARODZI SIĘ WIEDZMA

(Przełożył: Stanisław Plebański)

Po śmierci B?lit podążył Conan na północ, szlakiem wiodącym przez niebezpieczne dla obcych dominia ludów czarnych, pustynie Stygii, ku królestwu Shem. Tam, wśród niewielkich pogranicznych

miast-państw znalazł niemałe zapotrzebowanie na oręż swój i doświadczenie bojowe, a nawet bliski był korony, którą rada przyozdobiłaby jego głowę wdzięczna za ratunek księżniczka Yasmela z Khoraja. Wolał jednak Cymmeryjczyk wolność i runął w wir przygód, co go czekały w królestwach hyboryjskich. Współ z bandą bezrobotnych najemników stworzył banicką Wolną Kompanię, niepokojącą granice Koth, Zamory i Turanu, by dotrzeć wreszcie w stepy na zachód od Morza Vilayet i przyłączyć się do munganów, konnych rabusiów, wiodących żywot zgoła kozacki. Przyciskany przez wojska dawnego chlebowodawcy, króla Yildiza z Turanu, zemknął Conan na morze i wpisał kolejny piracki epizod w dzieje swej niepraworządnej kariery. Znów na lądzie, prześladowany przez zaciętych Turańczyków, został Cymmeryjczyk w końcu dowódcą gwardii pałacowej u królowej Taramis z Khauranu...



# 1.

Taramis, królowa Khauranu, przebudziła się z głębokiego, pełnego majaków snu. Otaczała ją grobowa, dzwoniąca w uszach cisza przypominająca raczej spokój spowitych mrokiem katakumb niżli zwyczajną ciszę pogrążonego we śnie królewskiego pałacu.

Leżała, starając się przeniknąć wzrokiem ciemności, zdziwiona, czemu świece w złotych kandelabrach pogasły. Przez oprawne w srebro szybki wielkiego okna prześwitywały blade cętki gwiazd, zbyt słabe jednak, by rozproszyć gęsty mrok panujący w komnacie.

Leżąc tak, Taramis ujrzała w ciemnościach opodal łoża punkt świetlisty, ów zaś z siłą dziwnie magnetyczną przykuł zdumione spojrzenie królowej. Bijąca zeń jasność przybierała na sile w miarę tego, jak rósł - coraz szerszy, coraz większy krąg trupiobladej poświaty, polatujący na tle zdobnej aksamitną draperią ściany. Taramis usiadła... i trwoga zaparła jej dech w piersiach: w świetlistym kręgu jał się zarysowywać ciemny kształt - ludzka głowa. Przerazona królowa już otworzyła usta, by przywołać swe dworki, lecz żaden dźwięk nie dobył się z dławionej trwogą krtani; poświata bladła i bardziej zwiewną się stała, głowa zaś, coraz żywiej skreślona, poczęła nabierać wyrazistości. A była to dumnie uniesiona głowa kobieca, mała i pięknie rzeźbiona, o wysoko upiętych, lśniących czarnych włosach; im dłużej Taramis patrzyła, tym wyraźniejsze stawały się rysy widniejącej w mroku twarzy - i ten właśnie widok zdusił krzyk w gardle królowej: to było jej własne lico! I zdało się jej, że spogląda w zwierciadło, subtelnie zmieniające rysy - przydające oczom drapieżnego blasku, mściwego zaś uśmiechu, ustom.

- O Iszar! - złapawszy tchu wyszeptała Taramis. - Jam w mocy czarów.

Ku jej przerażeniu zjawa przemówiła, a głos jej sączył się jak słodki jad:

- Czarów? O nie, słodka siostrzyczko, to nie czary.

- Siostrzyczko? - zachnęła się królowa. - Wszak ja nie mam siostry!

- Zali nigdy nie miałaś siostry? - Głos przesycony był jadowitym szyderstwem. - Czyż nigdy nie miałaś bliźniaczej siostry o ciele równie delikatnym i wrażliwym jak twoje - wrażliwym i na pieszczoty, i na ból?

- Tak, miałam niegdyś siostrę - odparła Taramis, wciąż jeszcze mniemająca, iż to koszmarny sen dzierży ją w objęciach - ale ona umarła.

Piękne oblicze w świetlistym kręgu wykrzywił grymas wściekłości tak diabolicznej, że królowa aż się cofnęła, przekonana, iż węzowe loki uniosą się z sykiem ponad alabastrowym czołem zjawy.

- Łzesz! - spoza purpurowych, wykrzywionych złością warg zionęło oskarżenie. - Ona nie umarła! Ty głupia! Och, dość już tej maskarady - patrz i oby ci wzrok odjęło!

Światło pomknęło dookoła komnaty niczym płomienisty wąż i świece w złotych kandelabrach zapaliły się; Taramis zadrżała, skulona w głowach aksamitnego łoża, a oczy jej rozszerzyły się z

przerażenia; mierzyła wzrokiem szyderczo upozowaną postać, która wyłoniła się przed nią z mroku rozproszonego płomieniami świec. A zdało się jej, iż patrzy na drugą Taramis, w każdym calu jej samej podobną, atoli ożywioną obcym i złym duchem. Twarz tamtej wyrażała dokładne przeciwieństwo przymiotów wypisanych na obliczu królowej - wyuzdanie i mściwość wyzierały z lśniących niczym u drapieżnego kota oczu, okrucieństwo tało się w grymasie pełnych, czerwonych warg; każdy ruch smukłego ciała był subtelnie frywolny. Włosy miała upięte tak, by naśladowały ułożenie włosów królowej, a na stopach złote sandały - takie, jakie Taramis zwykła nosić w swej alkowie; pozbawiona rękawów, biała jedwabna tunika o głębokim dekolcie, ściągnięta w talii złotą przewiązką, do złudzenia przypominała gieźło królowej.

- Kim jesteś? - wyrwało się ze ściśniętej trwogą krtani Taramis. - Wytlumacz swą obecność, nim rozkażę dworcom, by wezwały straż!

- Krzycz, krzycz, niechaj się dach zawali - opryskliwie odparła obca - twe sługi nie zbudzą się do świtu, choćby pałac wokół nich stanął w płomieniach. Gwardziści nie dosłyszą twego skowytu - zostali odprawieni z tego skrzydła pałacu.

- Cóżżeś rzekła? - wykrzyknęła Taramis, urażona w swym majestacie. - Któż odważył się rozkazywać mym gwardzistom?

- Ja, słodka siostrzyczko - szydziła tamta. - Na chwilę przed wejściem do tej komnaty; myśleli, że jest ich ukochaną królową. Ha! Jakże udatnie odegrałam tę rolę! Z jaką cesarską godnością, z jaką kobieco miękką słodyczą przemawiałam do tych rośłych prostaków, klęczących w zbrojach i zdobnych w pióropusze szyszakach.

Taramis doznała wrażenia, iż zaciska się wkoło niej dusząca sieć zdumiewających, niewytłumaczalnych zdarzeń.

- Kim jesteś? - zakrzyknęła z desperacją. - Czemuś tu przyszła? Cóż to za szaleństwo?

- Kim jestem? - W miękkiej na pozór odpowiedzi tała się złośliwość podobna sykowi kobry; obca przystąpiła do łoża uchwyciła silnymi dłońmi śnieżnobiałe ramiona królowej i nachyliła się, by wejrzeć głęboko w przerażone oczy Taramis, a taka była hipnotyczna moc owego spojrzenia, że królowa nie sprzeciwiła się nawet tak bezprzykładnej obrazie majestatu, jaką stanowiło brutalne dotknięcie jej boskiego ciała.

- Głupia! - wycedziła nieznajoma. - Jakże możesz pytać? Jak możesz się zastanawiać? Jestem Salome!

- Salome! - wykrzyknęła Taramis, a włosy stanęły jej dęba, gdy uświadomiła sobie zdumiewający sens odpowiedzi obcej. - Myślałam, żeś umarła w godzinę po urodzeniu - dodała słabym głosem.

- Wielu w to uwierzyło - odparła niewiasta zważa siebie Salome. - Wynieśli mnie na pustynię, bym umarła - niechaj będą przekłeci! Mnie - gaworzące i bezradne dziecko, którego życie tliło się ledwie, jak nikły płomyk świecy. A wiesz, czemu śmierć mi zadać chciano?

- Słyszałam... słyszałam opowieść... - Głos Taramis cichy był i słaby.

Salome zaniósła się śmiechem, a ręką sięgnęła do gorsu; głęboko wcięta tunika obnażyła górną część jej jędrnych piersi; pomiędzy nimi widniało przedziwne znamię - czerwony jak krew półksiężyc.

- Piętno czarownicy! - zakrzyknęła Taramis odskakując.

- Nie inaczej! - Przesycony nienawiścią chichot Salome ciał jak klinga sztyletu. - Kłątwa królewskiego rodu Khauranu! Wszak na bazarach snują ową legendę bez końca, przewracając oczyma i dziwując się - naiwni głupcy! Opowiadają, jak pierwsza z naszego rodu królowa miała schadzkę z księciem ciemności, po czym powiła mu dziecko - córkę, której imię żyje po dziś dzień w podaniach i bajędach ludu. Od tamtej pory co stulecie rodzi się w askauryjskiej dynastii dziewczę ze szkarłatnym półksiężycem pomiędzy piersiami - znamieniem o mocy przeznaczenia! „Każdego stulecia narodzi się wiedźma” - tak mówi starożytna kłątwa; i tak też się działo: niektóre z nich każną spotykała wnet po narodzeniu - tak, jak to chciano ze mną uczynić. Inne stąpały po ziemi jako wiedźmy, dumne córy Khauranu z piekielnym półksiężycem płonącym na alabastrowym cieple, a każda nosiła imię Salome - moje imię. To zawsze była i zawsze będzie Salome - wiedźma; jeśli nawet lodowce znijdą z biegunów, by na proch zetrzeć cywilizację, jeśli nowy świat wzrośnie z popiołów i ruin - nawet wtedy będą Salome, by stąpać po ziemi z królewską godnością, by dzięki swym czarom serca mężów usidlać, by widzieć toczące się dla ich kaprysu głowy mędrców.

- Ale... ale ty... - zająknęła się Taramis.

- Ja? - Fosforyzujące oczy wiedźmy płonęły tajemniczym ogniem. - Mnie wynieśli daleko poza miasto, na pustynię, i cisnęli nagą na gorący piach, pod prażące słońce i odjechali, pozostawiając kwilące dziecko na pastwę sępów, szakali i pustynnych wilków. Ale życie tliło się we mnie mocniej niż w zwyczajnych ludziach, jako że wiedzie się ono ze źródeł, co czerpią siłę z mrocznych otchłani, w których wrą potęgi leżące poza granicami pojmowania śmiertelnych.

- Mijały godziny, a słońce prażyło niczym płynnym ogniem piekielnym - a ja żyłam; coś z owych katuszy pamiętam - mgliście i nieostro, tak jak pamięta się blady i ulotny sen.

- Później były wielbłądy i ludzie żółtoskórzy, dziwnym mówiący językiem. Zbłądziwszy z karawanowego szlaku, przejeżdżali mimo, a ich wódz dojrzał mnie i rozpoznał znamię na mym gorsie.

- Podniósł mnie i ocalił mi życie.

- Był magiem z dalekiego Khitaju, powracającym z wyprawy do Stygii; wziął mnie ze sobą do Paikanu, gdzie purpurowe kopuły świątyń wznoszą się wśród przeplatanej winoroślą bambusowej dżungli; tam dorastałam, pobierając odeń nauki, pierwiej dziewczęciem, a w końcu kobietą się stając. Upływ lat nie osłabił czarnoksięskich mocy mego mistrza, a jedynie pozwolił mu pogłębiać wiedzę tajemną.

- A wielu nauczył mnie rzeczy...

Przerwała uśmiechając się zagadkowo, a jej ciemne oczy zalśniły tajemniczo. Po chwili podjęła swą opowieść.

- W końcu wygnał mnie powiadając, iżem jest pomimo jego nauk zwykłą jeno czarownicą, niegodną posiadać władzę nad potężnymi czarami, których mógłby mnie nauczyć. I mówił, że uczyniłby mnie władczynią świata, by za mym pośrednictwem rządzić narodami, gdybym nie była tylko piekielną - jak twierdził - wszeteczną. Ale cóż z tego? Nigdy nie mogła ścierpieć odosobnienia w Złotej Wieży, spędzania długich godzin na wpatrywaniu się w kryształową kulę, mamrotania w kółko zaklęć spisanych krwią dziewic na węzowej skórze; wstrętne mi też było ślęczenie nad omszałymi woluminami spisanyymi w zapomnianych językach. Mistrz mój orzekł, iżem jest ziemskim elfem, niezdolnym zgłębić otchłań kosmicznej magii. Nic to - wszystko, czego pożądam, i ten świat zawiera: władzę, blichtr i przepych, mężów urodziwych i dziewczki łagodne - na mych oblubieńców i na me niewolnice.

- On to mi wyjawiał, kim jestem, on to o mym dziedzictwie i o klątwie nade mną ciężącej opowiedział. Tedy powróciłam, by wziąć to, ku czemu praw tyleż co i ty posiadam.

- Cóż to ma znaczyć? - poderwała się Taramis, ugodzona do żywego, rozwścieczona i przerażona. - Zali sądzisz, że zadawszy blekotu mym służkom i zwiódłszy kilku gwardzistów dowiodłaś swych praw do korony Khauranu? Pomnij, iżem to ja jest królową! Otrzymasz jako ma siostra stosowne do twego urodzenia honory, ale...

Salome zaśmiała się nienawistnie.

- Jakże to hojnie z twej strony, słodka siostrzyczko. Ale nim oddasz należne mi splendory, zechciej łaskawie wyjawić, czyi to wojownicy obozują na równinie za murami miasta?

- Shemiccy to najemnicy pod rozkazami Konstancjusza, kothyjskiego nobila, wodza Legii Zaciężnej.

- A cóż ich sprowadza w granice królestwa? - drążyła Salome.

Taramis odczuła w słowach siostry nutę drwiny, ale odpowiedziała z godnością właściwą królewskiemu majestatowi:

- Konstancjusz poprosił nas o zgodę na przejście przez granice Khauranu w drodze do Turanu. Osobą swą ręczy za wojsk godne zachowanie, na czas ich pobytu w granicach królestwa zakładnikiem w mych rękach pozostając.

- Zali dziś rano nie prosił cię ów rycerz o rękę? - dręczyła Salome.

Taramis cisnęła siostrze pochmurne spojrzenie.

- Skąd ci o tym wiadomo?

Miał odpowiedzieć, wiedźma wzruszyła nagimi, gładkimi ramionami i pytała dalej:

- Miałabym uwierzyć, że nie przyjęłaś oświadczyć tak urodziwego rycerza?

- Nie inaczej! - odparła Taramis ze złością. - Czyżbyś ty, sama księżniczką krwi będąc, sądziła, iżby królowa Khauranu mogła postąpić inaczej, niż propozycję tę z niesmakiem odrzucić? Miałabym ci poślubić awanturnika o rękach krwią splamionych, z jego własnego królestwa za zbrodnie wygnanego, przywódcę bandy rabusiów i najemnych morderców? Nigdy nie powinna się była zgodzić na wejście jego czarnobrodych oprawców w granice Khauranu. Ale jest on przecie więźniem w południowej wieży, przez mych gwardzistów dobrze pilnowanym. Jutro przekażę mu rozkaz, by jego watahy opuściły królestwo, on zaś więźniem mym pozostanie, dopokąd ostatni z jego hordy granic nie opuści. Teraz oddziały me strzegą murów miasta, Konstancjusza natomiast uprzedziłam, że na gardle odpowie za każdy gwałt na wieśniakach lubo pasterzach uczyniony.

- Zali po prawdzie siedzi Konstancjusz w południowej wieży? - dopytywała się Salome.

- Tak rzekłam. Czemu pytasz?

Miast odpowiedzi klasnęła Salome w dłonie i wyrzekła głosem, w którym pobrzmiwała nuta okrutnej radości:

- Królowa udziela ci audiencji, Sokole!

Rozwarły się zdobne złotymi arabeskami drzwi i do komnaty wkroczył mąż rosły, o postawie wojownika, na jego zaś widok Taramis wydała okrzyk zdumienia i złości:

- Konstancjusz! Jak śmiesz wchodzić do mej alkowy!

- Jam to, w rzeczy samej, Wasza Wysokość. - Przybysz schylił w szyderyczym pokłonie głowę o rysach drapieżnego ptaka.

Konstancjusz, zwany przez ludzi Sokołem, był wysokim człkiem o szerokich barach a wąskim w talii, silnym i gibkim jak kuta stal. I był urodziwy - na orli, okrutny sposób. Twarz miał spaloną słońcem, a włosy, które odgarniał z wysokiego czoła aż na tył głowy, czarne niczym skrzydło kruka. Oczy jego były ruchliwe i czujne, a okrutnego wyrazu wąskich ust nie łagodził cieniutki wąsik. Miał na sobie ciemny jedwabny kubrak, nogawice i buty z kurdybanu; jego odzienie nosiło ślady obozowego życia, a w wielu miejscach pozostawił na nim rdzawe plamy pancerz.

Podkrecając węża wojownik omiółt spojrzeniem wtuloną w kąć łoża niewiastę, a uczynił to z taką bezczelnością, że królowa aż drgnęła. - Na Isztar, Taramis! - powiedział miękko. - Znajduję cię bardziej ponętną w nocnej tunice niż w królewskich szatach. Do licha! Ta noc zapowiada się nader interesująco!

Przerażenie pojawiło się w ciemnych oczach Taramis; w lot pojęła, że Konstancjusz nie odważyłby się na taką obelgę nie będąc pewnym siebie.

- Szaleńcze! - rzekła. - Jeśli nawet jestem w twej mocy tu, w tej komnacie, to nie ujdiesz pomsty mych sług; rozedrą cię na strzępy, jeśli mnie dotkniesz. Spróbuj, jeśli sądzisz, że ujdiesz z życiem!

Konstancjusz zaśmiał się szyderczo, a Salome zawtórowała mu i niecierpliwie skinęła dłonią.

- Dość tej dziecinady, przejdźmy do sedna sprawy. Słuchaj, droga siostrzo! Jam to przysłała Konstancjusza do twego królestwa; gdy postanowiłam zasiąść na tronie Khauranu, poczęłam szukać kogoś, kto by mi w tym dopomógł, i wybrałam Sokoła, albowiem całkowicie pozbawiony jest cech zwanych przez ludzi zacnymi.

- Pełen jestem podziwu dla twojej dobroci, pani - mruknął Konstancjusz ironicznie, pochylając nisko głowę w przesadnie uprzejmym ukłonie.

- Posłałam go do Khauranu i gdy jego wojownicy już obozowali na równinie poza murami, a on sam był w pałacu, weszłam do miasta przez bramę w zachodnim murze - pilnujący jej głupcy myśleli, że to ty wracasz z jakiejś nocnej schadzki.

Rumieniec zapłonął lico Taramis, a oburzenie wzięło górę nad monarszym opanowaniem.

- Ty zmij! - zakrzyknęła.

Salome uśmiechnęła się okrutnie i ciągnęła swą opowieść:

- Byli, oczywiście zaskoczeni, ale wpuścili mnie, nie ważąc się zadawać pytań; w ten sam sposób weszłam do pałacu, a oniemiałym strażnikom kazałam odmaszerować - podobnie jak i ludziom pilnującym Konstancjusza w południowej wieży. Później przyszedłam tu, a po drodze zatroszczyłam się o twoje podręczne.

Taramis zbladła i drżącym głosem zapytała:

- Cóż było dalej?

- Słuchaj! - Salome hardo odrzuciła głowę wskazując na okno - poprzez grube szyby dochodził ledwie słyszalny odgłos maszerujących zastępów, pobrzęk panczerzy i oręża; stłumione głosy wykrzykiwały rozkazy w obcym języku, a alarmujące nawoływania mieszały się z wrzaskami przepojonymi trwogą.

- Ludzie pobudzili się i poczynają się dziwić - rzucił sardonicznie Konstancjusz. - Będzie lepiej, Salome, jeśli pójdziesz, by ich uspokoić.

- Zwij mnie od teraz „Taramis” - odparła wiedźma. - Trza nam do tego przywyknąć.

- Cóżście uczynili? - zakrzyknęła królowa. - Ach, cóżeście uczynili?!

- Czyżbym zapomniała ci powiedzieć, że byłam też u bram i rozkazałam żołnierzom, by je otworzyli? - rzekła Salome uśmiechając się złośliwie. - Byli zaskoczeni, ale usłuchali - słyszysz właśnie armię Sokoła wkraczającą do miasta.

- Diablico! - zakrzyknęła Taramis. - Korzystając z podobieństwa do mnie oszukałaś mój lud! O Isztar! Cały naród zrozumie, iż jestem zdrajczynią! Ach, pójdę zaraz do nich...

Z okrutnym chichotem Salome schwyciła ją za rękę i szarpnęła w tył; choć młode i prężne, ciało królowej było bezradne wobec mściwej siły powodującej szczupłymi członkami Salome.

- Czy wiesz, Konstancjuszu, jak dostać się z pałacu do lochów? - spytała wiedźma, a widząc potakujące skinienie głowy Sokoła, mówiła dalej:

- To dobrze; weź tę dzierlatkę i zawrzyj ją w najgłębszej celi. Strażnicy są pogrążeni w narkotycznym śnie - zadbałam i o to. Poślij człowieka, aby poderznął im gardła, nim się ockną. Nikt nie może wiedzieć, co zdarzyło się dzisiejszej nocy: od tej chwili ja jestem Taramis, a ona stanie się bezimiennym, zapomnianym przez bogów i ludzi więźniem w mrocznym lochu.

Konstancjusz uśmiechnął się, a pod wąsem błysnął mu rząd białych, mocnych zębów. - Poszło nam wybornie, przeto nie odmówisz mi chyba odrobiny, hm... uciechy, nim cisnę do ciemnicy tę trzpiotkę?

- Jać tego nie bronię! Poskrom ową sekutnicę, jeśli taka twa wola. - Salome popchnęła siostrę w ramiona Koństancjusza i z triumfalnym uśmiechem na ustach wyszła z komnaty.

Smukłe ciało Taramis stężało, opierając się Konstancjuszowym karesom, a przerażenie wyokrągliło jej piękne oczy.

Zapomniała o zastępach maszerujących ulicami, zapomniała o obrazie królewskiego majestatu, zapomniała d całym świecie w obliczu zagrożenia dla jej czci niewieściej. Czowała tylko wstyd i przerażenie, gdy mocarne ramiona poczęły miażdżyć jej opierające się ciało.

Pośpieszająca odległym korytarzem Salome uśmiechnęła się jadowicie, kiedy do jej uszu dobiegł przeciągły krzyk desperacji, wprawiający w drżenie pałacowe mury.

## 2.

Nogawice i koszula młodego wojownika splamione były zaschniętą krwią, mokre od potu i pokryte kurzem. Krew sączyła się z głębokiej rany na udzie, z cięć na piersiach i ramionach. Pot kroplił się na jego wykrzywionej wściekłością twarzy, palce zwierały kurczowo na kapie przykrywającej łożo.

Słowa młodzieńca wyrażały cierpienie większe nawet niż ból cielesny:

- Ona musiała oszaleć! - powtarzał wciąż i wciąż, jak ktoś ogłuszony okropnym i nieprawdopodobnym wydarzeniem. - To musi być zły sen! Taramis, uwielbiana przez naród, sprzedaje lud swój temu diabłu z Koth! O Isztar, czemu nie poległem! Lepiej paść w boju niż żyć i widzieć, jak nasza królowa zdrajczynią się stała i wszeteczną.

- Leż spokojnie, Waleriuszu - błagała dziewczyna obmywająca i bandażująca drżącymi dłońmi jego rany. - Och, błagam, leż spokojnie, najdroższy! Rozjątrzysz swe rany, a nie poważylam się wezwać cyrulika.

- Nie czyn tego! - jęknął ranny młodzian. - Czarnobrode diabły Konstancjusza będą przeszukiwać domy, polując na rannych Khauran; na gardle pokażą każdego, kto ranami swymi da świadectwo, iż przeciw nim stawał. Och, Taramis, jak mogłaś zdradzić lud, który cię ubóstwiał! - Waleriusz rzucał się na łożo, szlochając z wściekłości, a przerażona dziewczyna uchwyciła go w ramiona i przycisnęła rozpaloną głowę młodzieńca do piersi błagając, by się uspokoił.

- Lepsza śmierć niż poniżenie, jakie stało się dziś udziałem Khauran - jęknął Waleriusz. - Zali ty też to widziałaś, Igvo?

- Nie, kochany. - Jej miękkie, czułe dłonie pracowały znowu, czyszcząc i opatrując driakwią zionące rany. - Zbudził mnie gwar bitewny dobiegający z ulicy; wyrzalam przez okno i zobaczyłam Shemitów wycinających naszych rodaków; w chwilę potem dosłyszałam od strony bocznych drzwi twe słabe wołanie.

- Dotarłem do kresu wytrzymałości - wymamrotał ranny. - Padłem w zaułku obok domu i nie miałem siły wstać. Wiedziałem, że znajdą mnie szybko, jeśli tam pozostanę. Zabiłem trzy czarnobrode bestie - na Isztar! Nigdy nie splugawią swymi stopami ulic Khauranu: piekielne strzygi pożerają teraz ich serca!

W obawie, że uniesienie może zaszkodzić rannemu, Igva nachyliła się nad nim i zamknęła swymi jego usta. Ale żar gorejący w jego duszy nie pozwolił mu spocząć.

- Nie byłem na murach, gdy Shemici wtargnęli do miasta - wybuchnął znowu. - Spałem w koszarach z innymi wolnymi od służby, gdy tuż przed świtem wpadł kapitan z pobladłą twarzą, przy mieczu i w zbroi. „Shemici w mieście!” obwieścił; „Królowa przyszła pod południową bramę i rozkazała, by ich wpuścić. Ludziom, którzy byli na murach, od kiedy Konstancjusz wszedł w granice, nakazała opuścić posterunki. Nie pojmuję tego, tak jak i nikt inny tego nie rozumie, ale słyszałem, jak wydawała rozkazy, tedy usłuchaliśmy, jak to zawsze czynimy. Mamy rozkaz, by zgromadzić się na placu przed pałacem; przykazano nam sformować kolumny przed koszarami i pozostawiwszy tu



rynsztunek maszerować do pałacu. Tylko Isztar wie, co to znaczy, ale taki jest rozkaz królowej”.

- Gdy stanęliśmy na placu, Shemici już czekali, uszykowani w czworoboki - dziesięć tysięcy ciężkozbrojnych, czarnobrodych diabłów - a ludzkie głowy wyzierały ze wszystkich drzwi i okien. Ulice wiodące na plac wypełniały tłumy otumanionego pospólstwa. Taramis stała na pałacowych schodach, a towarzyszył jej jeno Konstancjusz, kręcący węża jak wielki tłusty kot, który właśnie pożarł wróbla. Lecz pięćdziesięciu shemickich łuczników z napiętymi cięciwami stało szeregiem u stóp schodów; powinni tam stać królewscy gwardziści, ci wszelako byli stłoczeni na placu wraz z nami i równie jak my zdumieni; przyszli jednak uzbrojeni - wbrew rozkazowi królowej.

- Taramis przemówiła do nas; rzekła, iż powtórnie rozważyła oświadczenia Konstancjusza - choć jeszcze wczoraj w przytomności całego dworu rzuciła mu w twarz jego propozycję - i że postanowiła uczynić go królewskim małżonkiem. Nie wyjawiała powodów zdradzieckiego wpuszczenia Shemitów do miasta; powiedziała atoli, iż skoro Konstancjusz ma pod swymi rozkazami zaciężnych wojowników, armia Khauranu przestaje być potrzebna, i dlatego rozpuszczoną będzie.

- Rozkazała, byśmy spokojnie rozeszli się do domów.

- Posłuszeństwo królowej jest naszą drugą naturą, lecz jej słowa przytłoczyły nas tak, iż odebrało nam mowę. Złamaliśmy szeregi nie wiedząc, co czynimy, jakby ogłuszeni; kiedy jednak gwardii rozkazano, by także broń złożyła i się rozeszła, kapitan gwardzistów, Conan, przed front swego oddziału niespodzianie wystąpił. Ludzie powiadali, iż poprzedniej nocy, wolnym będąc od służby, opił się tego. Teraz jednak był w pełni świadom, co czyni: krzyknął na gwardzistów, iżby ani drgnęli, póki od niego komendy nie usłyszą, a taki ma wśród ludzi posłuch, że jego, a nie królowej rozkazu usłuchali.

- Wdarł się na pałacowe schody, spojrzął na Taramis i zakrzyknął: „To nie królowa! Nie Taramis stoi przed wami - demon to jakowyś w przebraniu!”

- I rozpętało się piekło. Sam nie wiem, jak się zaczęło - chyba to jeden z Shemitów uderzył na Conana, a ten martwego na schody odrzucił. W mgnieniu oka plac stał się polem bitwy - Shemici natarli na gwardię, a ich włócznie i strzały poraziły też wielu bezbronych Khauran.

- Niektórzy z nas, chwyciwszy, co popadło, dali odpór, nie wiedząc dobrze, czemu walczymy - ale nie przeciw Taramis stawaliśmy, ale przeciw Konstancjuszowi i jego szatanom, przysięgam! Nie byliśmy zdrajcami! - Waleriusz rzucił się niespokojnie na łożo, a głos drżał mu od desperacji. Dziewczyna szepnęła coś współczująco, nie wszystko do końca rozumiejąc, lecz cierpiąc na widok męki ukochanego.

- Lud nie wiedział, po czyjej stronie stanąć - zaskoczony motłoch ciskał się w zamieszaniu niczym tabun szaleńców. My, walczący, nie mogliśmy nawet marzyć o zwycięstwie - wszak bez pancerzy byliśmy i na poły jedynie uzbrojeni. Gwardziści mieli cały swój rynsztunek i sformowali czworobok - ale było ich ledwie pięć setek. Krwawe zebrali żniwo, zanim ich wycięto, ale jeden mógł być koniec tak nierównej walki.

- Spytasz, cóż na to Taramis? Gdy jej wojów szlachtowano na placu, stała na schodach; ramię

Konstancjusza otaczała jej kibić, a zanosiła się śmiechem niczym piękna, lecz serca pozbawiona strzyga. Bogowie! Wszak wszystko to szaleństwo, szaleństwo...

- Nigdy me oczy nie widziały człeka tak walczącego jak Conan - wsparł się plecami o mur pałacowy i nim go siłą przemożną nie opadli, szaniec z ciał martwych a porąbanych okrutnie go otaczał, na pół chłopa wysoki. Powalili go w końcu - stu przeciw jednemu; gdy ujrzał, jak pada, odczołgałem się, a zdawało mi się, iż świat pieką na kawałki pod moimi dłońmi. Posłyszałem, jak Konstancjusz rzucił rozkaz swym psom, by żywili Conana, a mówiąc to, kręcił węża, zaś podły uśmiech pełgał na jego ustach.

I znów uśmiech taki wykrzywił usta Konstancjusza...

Wódz Shemitów siedział na koniu, otoczony mrowiem swych ludzi - krępych, zakutych w stal wojowników o niebieskoczarnych brodach i haczykowatych nosach; zachodzące słońce krzesło iskry ze spiczastych hełmów i srebrzystych łusek karacen. W odległości mili, spośród dywanu bujnych łąk, wyrastały mury i wieże Khauranu.

Opodal karawanowej drogi osadzony był masywny krzyż, na nim zaś, przybity poprzez dłonie i stopy żelaznymi ćwiekami, wisiał człowiek.

Odziany był jeno w przepaskę na biodrach, a posturę miał nieomal giganta, zaś mięśnie jego członków i ciała pęczniały niczym twarde węzły pod spaloną słońcem skórą. Śmiertelny pot kroplił się na twarzy i potężnym torsie ukrzyżowanego, krew sączyła się leniwie z przebitych stóp i dłoni, ale spod czarnej, zwichrzonej grzywy pałały dzikim blaskiem niebieskie oczy.

Konstancjusz skłonił się szyderczo i przemówił:

- Żałuję, kapitanie, że nie zostanę przy tobie w godzinie konania, ale czekają na mnie obowiązki w mieście - nie śmiem kazać naszej ponętnej królowej czekać na siebie zbyt długo. - Zaśmiał się krótko: - Pozostawiam cię tedy o twych własnych siłach - i z tamtymi piękniśkami. - Ukazał na niebo, gdzie czarne cienie niestrudzenie zataczały szerokie kręgi.

- Gdyby nie one, byłbym skłonny mniemać, że tak potężny dzikus przeżyje wiele dni na krzyżu. I niechaj ci nadzieja na ocalenie nawet nie postanie w głowie, choć straży przy tobie nie stawiam: kazałem bowiem ogłosić heroldom, iż kto twe żywe czy martwe ciało z krzyża zdjęć zechce, wraz z całą rodziną żywcem spalony będzie. Takem już swą władzę w Khauranie utwierdził, iż mój rozkaz większą ma siłę niż regiment strażników. A i dlatego warty nie stawiam, gdyż nie chcę w żaden sposób niepokoić sępów; krzyż tak daleko od murów ustawić kazałem, bo bliżej pustynne ścierwojady nie przylatują.

Konstancjusz podkręcił węża i patrząc Conanowi prosto w oczy uśmiechnął się szyderczo.

- A więc, kapitanie - szczęścia życzę: wspomnę o tobie, gdy za godzinę Taramis spocznie w mych ramionach.

Krew trysnęła na nowo z przebitych dłoni ofiary; pięści, wielkie jak bochny chleba, zacisnęły się na łbach ćwieków, węzły mięśni jęły pracować na potężnych ramionach, a Conan wysunawszy do przodu głowę splunął w twarz Konstancjusza. Ten zaśmiał się chłodno, otarł plwocinę z oblicza i zawrócił konia.

- Myśl o mnie, gdy sępy będą szarpać twe żywe ciało - rzucił szyderczo przez ramię. - Wielce żarłoczne są pustynne ścierwojady; widziałem niegdyś, jak człowiek godzinami wisiał na krzyżu - z wyzartymi oczyma, bez uszu i z nagą czaszką - nim ostre dzioby przecięły w końcu nitkę żywota.

Nie oglądając się więcej za siebie, Konstancjusz zaciął konia i pocwałował w stronę miasta - szczupły, sztywno osadzony w siodle, w połyskującej, wypolerowanej zbroi; jego krępi, brodaci wojownicy podążali obok; niewielki tuman wzbil się z wydeptanego szlaku, znacząc drogę ich przejazdu.

Zmierzchało. Okolica sprawiała wrażenie wymarłej - jak okiem sięgnąć nie było widać żadnej żywej istoty - prócz wiszącego na krzyżu człowieka. Dla ukrzyżowanego kapitana Khauran, oddalony o milę niespełna mógł równie dobrze leżeć gdzieś w dalekim Khitaju lub istnieć w innym stuleciu.

Szarpnięciem głowy strząsnął Conan pot z oczu i o-miótł przytępieniem wzrokiem dobrze sobie znaną okolicę. Po obu stronach miasta i poza nim rozciągały się żyzne łąki; w oddali, tam, gdzie rozścielała się szachownica poletek i winnic, pasło się spokojnie bydło. Na widnokręgu widać było wioski - z tej odległości podobne skupiskom krzewów; bliżej, na południowym wschodzie, srebrzysty poblask znaczył koryto rzeki, za którą nagle zaczynała się pustynia, ciągnąca się daleko, daleko - aż poza horyzont.

Conan spoglądał na otaczające go przestrzenie, jak schwyty w potrzask jastrzęb spogląda na niebo. Ogorzałe ciało Cymmeryjczyka lśniło w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Wstrząsnął nim dreszcz, gdy wzrok jego spoczął na połyskujących wieżach Khauranu - to miasto zdradziło go, uwikłało w terminy, przez które wisiał teraz na drewnianym krzyżu jak zając przybity włócznią do drzewa.

Krwawa żądza zemsty odpędziła inne myśli. Przekleństwa jęły płynąć potokiem z ust Conana. Cały jego wszechświat skurczył się, zogniskował i zawarł w czterech żelaznych bretnalch powstrzymujących go od życia i wolności. Prężąc się jak stalowe liny, poczęły znów pracować potężne mięśnie; pot wystąpił kroplami na poszarzałą skórę Cymmeryjczyka, gdy używając ramion jak dźwigni, próbował wyciągnąć z drewna długie ćwieki. Na próżno - wbite były głęboko. Spróbował tedy zedrzeć z nich dłonie; i nie przeszywająca, bezdenne męczarnia skłoniła go ostatecznie do zaniechania wysiłków - lecz ich bezskuteczność; łby bretnali grube były i szerokie - nie mógł ich przeciągnąć przez rany.

Poczucie bezradności opanowało olbrzyma po raz pierwszy w życiu; zwiśł nieruchomo, z głową spuszczoną na piersi.

Trzepot skrzydeł zaskoczył go: ledwie zdążył poderwać głowę, by dojrzeć pierzasty cień spadający z nieba; mimowolnie opuszczając powieki rzucił głowę w bok, a ostry dziób mierzący w oczy chybił i rozdarł mu policzek. Z jego ust wydarł się chrapliwy, desperacki krzyk, a sępy

rozpierzchły się i umknęły, przerażone groźnym dźwiękiem. Nie odleciały daleko - znów zataczały szerokie kręgi wysoko nad głową ukrzyżowanego.

Krew pociekła na usta Conana; odruchowo oblizął wargi i poczuwszy słony smak, splunął. Męczyło go dzikie pragnienie; minionej nocy opił się wina, a usta jego nie zaznały wody od świtu poprzedzającego bitwę na placu przed pałacem. A walka na śmierć i życie jest potęgującą pragnienie, wyciskającą słony pot harówką. Spoglądał na połyskującą w oddali rzekę wzrokiem, jakim człek strącony do piekieł wyziera poprzez ruszta diabelskiego pieca. Myślał o wartkich strumieniach, z których prądem walczył, pogrążony po ramiona w płynnym lazurze; przypominał sobie rogi pełne pieniącego się piwa, puchary musującego wina, beztrosko wychyłane lub niedbale wylewane na podłogę karczmy. Zagryzł wargi, by nie zaskowyczeć z nieznośnej udręki jak torturowane zwierzę.

Słońce tonęło - posępna, blednąca kula pogrążała się w ognistym morzu krwi. Na tle szkarłatnego obramowania horyzontu wieże miasta odcinały się ciemnymi sylwetami - nierealne jak piękny sen. Spojrzał w niebo - i ono barwiło się czerwienią; pojął, iż wycieńczenie omracza mu wzrok purpurowym welonem. Oblizął poczerwiałe wargi i popatrzył przekrwionymi oczyma na odległą rzekę: i ona zdała się szkarłatna jak krew, zaś padające ze wschodu cienie czerniały jak heban.

Słuch, choć przytępiony, uchwycił wzmagający się łopot skrzydeł; uniósłszy głowę, popatrzył płonącym, wilczym spojrzeniem na cienie krążące nad głową. Wiedział, że krzyk ich teraz nie odstraszy. Jeden z wielkich ptaków zawęził kręgi - niżej, jeszcze niżej... Conan odgiął głowę do tyłu, tak daleko, jak tylko mógł i czekał z przerażającym spokojem.

Sęp spadł nań z ogłuszającym łopotem skrzydeł; dziób uderzył, rozdierając skórę na policzku Conana, który szarpnął głowę w bok. Nagle, nim ptak zdążył odskoczyć, głowa Cymmeryjczyka wystrzeliła do przodu, wyrzucona potężnymi mięśniami karku, a jego zęby z trzaskiem wilczych kłów zawarły się na łysej szyi. Sęp przeistoczył się w kwilący, pierzasty cyklon. Bijące skrzydła oślepiły człowieka, a długie szpony jęły ryć jego pierś. Ale Conan trzymał, aż mięśnie jego szczęk poczęły drżeć z wysiłku - i kark sępa trzasnął, zmiażdżony potężnymi zębami. Ptaszysko zafalowało raz jeszcze i zwisło bezwładnie; Conan pozwolił mu opaść do stóp krzyża, po czym wypluł z ust krew. Inne ścierwojady, przerażone losem swego krewniaka, umknęły pospiesznie ku odległemu drzewu i przysiadły tam niczym czarne demony na szatańskim zlocie.

Okrutny triumf ożywił otępiały już z umęczenia umysł Conana, a krew jęła szybciej krążyć w żyłach. Mógł wciąż zadawać śmierć - więc żył. Każde odczuwane wrażenie - nawet agonia - przeczyło śmierci.

- Na Mitrę!

Albo to głos przemówił, albo ulegał halucynacjom.

- Nigdy w życiu czegoś takiego nie widział!

Otrząsnawszy z oczu krew i pot, Conan dojrzał w półmroku czterech konnych spoglądających ku górze - na niego.

Trzech z nich, szczupłych, biało odzianych, było bez ochyby Zuagirami - nomadami zza rzeki. Czwarty, odziany jak i oni, w biały, ściągnięty w pasie zawój i spadającą na plecy chustę, okoloną po trzykroć na skroniach sznurem splecionym z wielbłądziej wełny, nie był Shemitą. W gęstniejącym mroku Conan zdołał jednak rozpoznać owego męża z postury i rysów twarzy.

Rosły prawie jak Conan, członki wszelako nie tak miał masywne, atoli bary też szerokie, cała zaś jego postać przywodziła na myśl twardość stali i prężność fiszbinu. Krótka czarna broda nie całkiem skrywała twarde zarysy szczęki, a szare oczy, zimne i przeszywające na kształt miecza, lśniły w półmroku.

Jeździec ów poskromił niespokojnego rumaka szybką i pewną ręką, po czym przemówił:

- Na Mitrę! Wszak ja znam tego człowieka!

- Tak, panie - głos mówił z gardłowym akcentem Zuagirów. - To Cymmeryjczyk, który był kapitanem gwardii królowej!

- Musi się widocznie pozbywać swych faworytów - mruknął jeździec. - Któż by to pomyślał o królowej Taramis! Już bym wolał długą, krwawą wojnę, dałaby nam, ludziom pustyni, sposobność do zyskownego rabunku. A teraz, choć zbliżyliśmy się aż pod mury miasta, znaleźliśmy tylko tę szkapę - tu rzucił okiem na bachmata wiedzonego przez jednego z Zuagirów. - I tego zdychającego psa.

Conan uniósł zakrwawioną głowę.

- Gdybym mógł zejść z tej żerdzi, ciebie uczyniłbym psem zdychającym, ty mungański złodzieju - wymamrotał poczerniałymi wargami.

- O Mitro! Ta kanalia mnie zna! - zdumiał się jeździec. - Czy tak, łajdaku, znasz mnie?

- Jeden jest tylko z twego rodzaju w tych okolicach - mruknął Conan. - Tyś jest Garet, herszt zbójców wyjętych spod prawa.

- Nie inaczej! A wywodzę się z munganów, jakeś odgadł. Chciałbyś żyć, barbarzyńco?

- Tylko głupiec może o to pytać - odpalił Conan.

- Człek ze mnie twardy - rzekł Garet. - A w ludziach jeno męstwo cenię. Osądzę, czyś jest mężem, czy psem tylko, godnym jeno wisieć tu i zdychać.

- Jeśli go zdejmujemy, dostrzegą nas z murów - zaniepokoił się jeden z nomadów.

Garet władczo pokręcił głową.

- Mrok zbyt już gęsty. Imaj się topora, Djebalu, i rąb krzyż tuż przy ziemi.

- Jeśli w przód się obali, zmiażdży go niechybnie - sprzeciwił się Djebal. - Zaś gdy do tyłu padnie,

impet uderzenia czerep mu zgruchocze i trzewia oberwie.

- Zdierzy, jeśli godzin jest, by ze mną odjechać - odparł niecierpliwie Garet. – W innym razie życia niewart. Tnij!

Pierwsze uderzenie bojowego topora w podstawę krzyża przeszło spuchnięte dłonie i stopy Conana rozdzierającym bólem. Raz za razem toporzysko spadało, a każdy cios rozchodził się echem w jego udręczonym mózgu, wprawiając w drżenie torturowane nerwy. Ale zagryzł zęby i nie wydał głosu. W końcu topór wgryzł się głęboko w drewno i krzyż zadrżał na swej podciętej podstawie, by paść w tył. Conan zwarł całe swe ciało w sztywny węzeł twardych jak stal mięśni; głowę docisnął mocno do drewna. Długi bal huknął o ziemię i odbił się na stopę. Impet szarpnął ranami Conana, a piekielny ból oszołomił go na chwilę. Walczył z ogarniającą go ciemnością, osłabły i ogłuszony. Wnet zdał sobie sprawę, iż mięśnie żelazne uchroniły jego ciało przed srogim uszczerbkiem. Nie wydał nawet jęku, choć krew ciekła mu z nosa, a mięśnie brzucha drżały, targane nudnościami.

Mruknąwszy z uznaniem, Djebal pochylił się nad nim z parą cęgów używanych do wyciągania hufnali z końskich kopyt i uchwycił łeb ćwieka tkwiącego w prawicy Conana, drąc skórę, by dobrze objąć żelastwo głęboko pograżone w ciele. Cęgi były za małe; Djebal wiercił się i sapał, klnąc i mocując się z upartym bretnalem; kręcąc nim w różne strony starał się go zruszyć; żelazo rozpychało się zarówno w drewnie, jak i w ranie zionącej na opuchniętej dłoni Conana. Krew jęła się sączyć, spływając pomiędzy palcami Cymmeryjczyka, który leżał tak spokojnie, iż za martwego mógł uchodzić, gdyby nie spazmatycznie unoszący się i opadający w rytm oddechu tors.

W końcu ćwiek uległ, a Djebal triumfalnie podniósł do góry ociekające krwią żelastwo i cisnąwszy je w piach pochylił się nad następnym. Operacja przy lewej dłoni powtórzyła się, po czym Djebal przystąpił do przygwożdżonych stóp Conana. Ale Cymmeryjczyk dzwignął się i siedząc wyrwał cęgi z dłoni nomada, a jego samego potężnym pchnięciem precz odrzucił.

Dłonie Conana spuchły, osiągając wymiary dwukrotnie większe niż normalnie; palce przypominały wykoślawione kciuki, a ich zginanie było torturą, od której krew jęła się sączyć z zaciśniętych warg olbrzyma. Acz niezgrabnie, jednak chwytając oburącz cęgi, Cymmeryjczyk zdołał kolejno usunąć bretnale ze swych stóp, nie były bowiem tak głęboko wbite jak poprzednie.

Podniósł się sztywno i stał na spuchniętych, zmasakrowanych stopach, zataczając się niczym pijany, a lodowaty pot spływał z jego twarzy i ciała. Zacisnął zęby, by przemóc nudności; napadły go skurcze. Patrzący nań obojętnie Garet gestem wskazał skradzionego bachmata; utykając, Conan ruszył w stronę konia, a każdy krok był dlań piekielnym, przeszywającym bólem, od którego na usta wystąpiła mu krwawa piana.

Skatowana, błędząca po omacku dłoń opadła niezdarnie na łęk siodła; skrwawiona stopa jakimś cudem odnalazła strzemień. Zaciskając zęby, odbił się Cymmeryjczyk z ziemi niemal przy tym omdlewając - ale opadł w siodło; Garet zaciął konia biczem: spłoszone zwierzę stanęło dęba, a człowiek w siodle zachwiał się jak wór piachu i bliski był upadku; chcąc zapanować nad wierzchowcem, Conan owinał wodze dookoła dłoni, przytrzymując rzemienie kciukami, i osadził konia, odruchowo używając siły potężnych bicepsów, na co rumak zarżał dziko, gdyż wędzidło nieomal wyłamało mu szczękę.

Jeden z Shemitów pytająco uniósł bukłak z wodą. Garet pokręcił głową:

- Niech czeka, aż zajedziemy do obozu; to dziesięć mil tylko. Jeśli zdolen jest, by żyć na pustyni, tyle jeszcze bez wody wytrzyma.

Grupa ruszyła z kopyta i jeźdźcy pomknęli ku rzece jak śmigłe zjawy; cwałujący pomiędzy nomadami Conan zataczał się niczym zamroczony winem, połyskując przekrwionymi oczyma, a piana zasychała na jego poczerniałych ustach.

### 3.

Z podróży na Wschód, w którą wybrał się w nieustającej pogoni za wiedzą, napisał mędrzec Astreas list do przebywającego w swej ojczystej Nemedii przyjaciela, filozofa Alcemidesa. Cała wiedza narodów Zachodu o wydarzeniach owego okresu na Wschodzie - na poły mitycznym w umysłach ludzi Zachodu - na tym właśnie opiera się liście.

Pisał tedy Astreas:

„Nie wyobrażasz sobie nawet, mój stary, dobry przyjacielu, jakie warunki panują w tym maleńkim królestwie od czasu, gdy królowa Taramis wpuściła w granice Konstancjusza i jego najmitów - o czym wspominałem ci w poprzednim, pośpiesznie skreślonym liście. Od dnia tego siedem minęło miesięcy, podczas których, zda się, Szejtan we własnej osobie roztoczył swe władztwo nad owym nieszczęsnym państwem. Taramis, rzekłbyś, bez reszty postradała zmysły: sławiona niegdyś za cnotę, łagodność i sprawiedliwość, teraz zwraca powszechną uwagę cechami doskonale przeciwnymi. Jej intymne życie jest wielkim skandalem, a „intymne” nie jest tu najlepszym określeniem, jako że królowa nie próbuje nawet skrywać rozpusty panującej na dworze - folguje swym żądzom, wydając złą sławą okryte biesiady, orgiami w istocie będące, a do udziału w nich zmusza nieszczęsne damy dworu, zarówno młode mężatki jak i dziewice. Sama nie zadbała nawet o to, by poślubić swego konkubina Konstancjusza, który zasiada obok niej na tronie i włada państwem jako królewski małżonek. Jego oficerowie, zachęceni przykładem wodza, nie wahają się napastować każdej niewiasty, która miała nieszczęście rozbudzić ich chucie, i to bez względu na jej pozycję czy urodzenie.

Nieszczęsne królestwo jęczy, smagane niewiarygodnie okrutnymi podatkami i wyniszczającymi tenutami; włościanie, odarci ze szczętem z plonów i dóbr wszelakich, trawę żrą i jarmuż; kupcy chadzają w szmaty przyodziani, gdyż poborcy podatkowi tylko tyle pozostawili im z wielkich ongiś fortun; i tak szczęśliwymi mogą się mienić, jeśli całą skórę z owych terminów wynieśli.

Przeczuwam twe niedowierzanie, cny Alcemidesie, odgadując, iż mniemać będziesz, jakobym panujące tu stosunki w przesadzie opisywał; nie byłyby one do pomyślenia w żadnym z krajów Zachodu, przyznaję to. Ale musisz pamiętać o wielkich różnicach pomiędzy Zachodem i Wschodem - szczególnie tą częścią Wschodu. Wiedz tedy, że Khauran jest niewielkim królestwem, ongiś leżącym na wschodniej rubieży cesarstwa Koth; niedawno dopiero odzyskało ono posiadaną w czasach jeszcze bardziej zamierzchłych niezależność. Pobliska część świata złożona jest z podobnych Khauranowi maleńkich dominiów; nieporównywalne wielkością z potężnymi mocarstwami Zachodu czy rozległymi sułtanatami Dalekiego Wschodu, są jednak ważne przez zgromadzone w nich bogactwa i przez kontrolę, jaką sprawują nad karawanowymi szlakami. Spośród owych państweczek Khauran jest najdalej na południowy wschód wysuniętym, a graniczy z pustynnymi obszarami wschodniej części cesarstwa Shem; miano państwa od stolicy się bierze, takż Khauranem zwanej; jedyny to zresztą gród znaczniejszy, a leży w zasięgu wzroku od rzeki, która rozgranicza pastwiska od piaszczystej pustyni. Owo warowne miasto strzeże wsi i łąk przed napaścią, górując nad nimi niczym wieża strażnicza.

Ziemia jest tu tak żyzną, iż rodzi po trzykroć w roku, zaś równiny na północ i na zachód od miasta



usiane są wioskami. Dla kogoś nawykłego jak ty do latyfundiów Zachodu, dziwnymi zdać się mogą owe maleńkie poletka i winnice; a jednak bogactwo zbóż i owoców płynie z nich jakby z rogu obfitości. Wieśniacy są tu jeno rolnikami - wywodzą się z miejscowych, lubo już skażonych obcą krwią plemion; są pokojowi, wręcz bezbronni - tym bardziej, że pod gardłem zakazano im posiadania oręża. Od niepamiętnych już czasów zdający się w obronnej potrzebie na garnizon miasta, zbyli się ducha walki ze szczeniem, i dziś, choć srodze ciemieni, są bezradni. Gwałtowny wybuch ludności wiejskiej, nieunikniony w podobnych warunkach w krajach Zachodu, jest tu niemożliwy. Chłopstwo haruje tedy ospale, gniecione żelazną ręką Konstancjusza, a czarnobrodzi Shemici kłusują nieustannie po polach z batogami w dłoniach, niczym poganiacze czarnoskórych niewolników wypruwających swe żyły na plantacjach południowej Zingary. Nie lepiej dzieje się obywatelom miasta - odarto ich z bogactw, a najpiękniejsze córki znakomitych rodów uprowadzono, by zaspokajały nienasyconą chęć Konstancjusza i jego najmitów. Ludzie ci są bezlitośni, a wyróżniają się cechami, które napawały obrzydzeniem nasze armie walczące z shemickimi sprzymierzeńcami Argos - nieludzkim okrucieństwem, zwierzęcą chutliwością i dzikim bestialstwem.

Ludność miasta należy do khaurańskiej; kasty rządzącej, a ród swój wywodzi od Hyboryjczyków, stąd pełna jest zacnych przymiotów i wojownicza. Atoli zdrada królowej oddała mieszczan w ręce ich ciemieżców; Shemici są jedyną uzbrojoną siłą w mieście, a na każdego obywatela, u którego znaleziono oręż, spadają najbardziej okrutne i wyrafinowane kary. Z dzikim zapalem podjęto też wygubianie młodych, zdolnych do boju mężczyzn, wielu śmiercią okrutną zgładzono, innych sprzedano w niewolę turańską. Tysiące młodzieży zbiegły z miasta, bądź to zaciągając się do armii innych władców, bądź to zasilając szeregi wyjętych spod prawa pogranicznych grasantów.

Obecnie istnieje możliwość napaści od strony pustyni, zaludnionej przez plemiona shemickich nomadów. Najemnicy Konstancjusza pochodzą z zachodnich grodów cesarstwa Shem - Pelishtim, Anakim, Akkharim - i są dogłębnie znienawidzeni przez Zuagirów i inne koczownicze plemiona. Jak wiesz, dobry Alcemidesie, kraj owych barbarzyńców dzieli się na żyzne ziemie zachodnie, ciągnące się aż po ocean, gdzie wznoszą się wymienione miasta, i wschodnią pustynię, przemierzaną przez koczownicze plemiona nomadów; płomień wojny pomiędzy mieszkańcami miast a mieszkańcami pustyni nie gaśnie od stuleci. Od niepamiętnych czasów Zuagirowie najeżdżali Khauran, ale nie odnieśli zwycięstwa, toteż kiedy ich zachodni i tradycyjnie znienawidzony odłam zajął miasto, czują się urażeni w swej dumie. Krążą pogłoski, iż ich naturalna wrogość podsycana jest przez człeka będącego niegdyś kapitanem gwardii królewskiej, a który przedziwnym sposobem umknął przed nienawiścią Konstancjuszu, będąc już nawet ukrzyżowanym. Człek ów zwie się Conan i sam jest barbarzyńcą - jednym z owych potężnych Cymmeryjczyków, których dzikość nasi woje nie raz i nie dwa odczuli na własnej skórze. Wieść gminna głosi, jakoby ów Cymmeryjczyk stał się prawą ręką Gareta, mungańskiego awanturnika przybyłego z północnych stepów, samozwańczego wodza zuagirskiej bandy. Plotki mówią też, że wataha owa ostatnimi czasy ogromnie w siłę urosła, Garet zaś, bez wątplenia przez Cymmeryjczyka judzony, do najazdu na Khauran się sposobi. Skończyć się to może na potyczce jeno, jako że Zuagirowie, machin oblężniczych nie mając i w sztuce zdobywania miast nie wprawieni, kupą jeno luźną atakują, nie dotrzymując tedy pola karnym i w stal zakutym regimentom shemickich wojów. Obywatele miasta zdobycie Khauranu z radością by powitali, gdyż nomadowie bardziej niżli obecny garnizon uciemieżyć ich nie mogą; śmierć by nawet chętniej przyjęli niż dalsze cierpienia pod rządami Shemitów. Ale tak są bezradni i zastraszeni, że pomocy żadnej nomadom udzielić nie mogą. Dola ich nieszczęsną jest, zaiste.

Taramis, niechybnie przez złego demona opętana, nie waha się przed niczym. Wydała zakaz czczenia Iszta, a świątynię obróciła w chram bałwochwalczy, schronienie bałwanom i demonom dający. Posąg z kości słoniowej wyobrażający boginię pijani najemnicy toporami na schodach świątyni strzaskali; choć Iszta mniej znacznym jest bóstwem niż uznawany przez nas Mitra, zaś wyżej ją trzeba cenić niżli uprawiany przez Shemitów kult szatana.

Świątynię zapełniła Taramis nieprzystojnymi wyobrażeniami bożków i boginek, przedstawionych w pozach sprośnych i lubieżnych, ze wszystkimi odpychającymi atrybutami, jakie zrodzić się mogły tylko w zdegenerowanym mózgu. Wiele z owych bałwanów można rozpoznać jako nieczyste bóstwa Shemitów, Turańczyków, Wendhian i Khitajczyków, inne atoli przywodzą na myśl demony jakby żywcem przywołane z zapomnianej i tajemniczej przeszłości, bowiem ich wstrętne kształty przetrwały jeszcze tylko w najbardziej niejasnych legendach, znanych wyłącznie uczonym lub adeptom nauk tajemnych. Gdzie królowa posiadała wiedzę o nich - nie odważam się nawet zgadywać.

Taramis wprowadziła składanie ofiar z ludzi i od czasu wstąpienia przez nią w związek z Konstancjuszem nie mniej niż pięciokroć po stu młodych mężów, niewiast i dzieci poświęcono na krwawą dań. Wielu spośród nich złożyło życie na ołtarzu wzniesionym przez Taramis w świątyni, a królowa sama zadawała im śmierć ofiarnym sztyletem; większości pisana jednak była kaźń po stokroć okropniejsza. Oto w krypcie pod świątynią posadowiła Taramis jakowegoś potwora; czym jest i skąd się wziął - nikt tego nie wie. Atoli królowa na krótko po tym, jak krwawo zdławiła rewoltę swych wojsk przeciw Konstancjuszowi, spędziła samotnie noc w sprofanowanej świątyni; samotnie, lecz z tuzinem spętanych jeńców. Wstrząśnięci ludzie widzieli ciężki, smrodliwy dym, unoszący się ponad dachem świątyni, a z wnętrza przez całą noc dobiegały recytowane przez królową zaklęcia i śmiertelne jęki torturowanych jeńców; przed świtem do owych dźwięków inny głos dołączył - przeraźliwy, nieludzki rechot, który zmroził krew w żyłach tym, co go słyszeli. O świcie Taramis wychynęła ze świątyni, slaniając się na nogach, a oczy płonęły jej szatańskim, triumfalnym blaskiem. Jeńców nikt już nigdy nie zobaczył; nikt też nie słyszał więcej owego rechotu.

Owóz jest w świątyni komnata, do której nie wchodzi nikt oprócz królowej, a ta zawsze pędzi przed sobą ludzką ofiarę. A nikt nigdy nie widział żadnego z owych nieszczęśników powtórnie; wszyscy sądzą, iż w komnacie owej potwór się jakiś gnieździ, czarami z pomroczonej otchłani dziejów przywołany, i ludzi przez Taramis przywodzonych pożerający.

Nie mogę dłużej myśleć o niej jako o kobiecie śmiertelnej, jeno jako o wściekłej strzydze, czającej się pomiędzy kośćmi swych ofiar w cuchnącej krwią norze, a jawi mi się z długimi, skrwawionymi szponami. To, iż bogowie pozwalają jej uprawiać owe przeokropne praktyki bezkarnie, zachwiało niemal mą wiarą w boską sprawiedliwość.

Kiedy porównam jej obecne zachowanie z tym, jakie pamiętam z czasów, gdy siedem miesięcy temu zjechał do Khauranu, opanowuje mnie zdumienie i prawie skłaniam się ku wyznawanej przez wielu wierze, iż to demon jakowyś ciałem Taramis zawładnął.

Inne podejrzenie powziął pewien młody wojownik imieniem Waleriusz; twierdzi on, iż to czarownica przybrała kształt ubóstwianej przez lud królowej, zaś Taramis samą w jakimś lochu osadzono. Młodzian ów poprzysiągł, że odnajdzie prawdziwą królową, jeśli ta jeszcze żyje, lecz obawiam się srodze, iż sam padł ofiarą okrucieństwa Konstancjusza. Będąc zamieszany w rewoltę

gwardii pałacowej, zmylił pogonie i pozostawał w ukryciu, uparcie odmawiając szukania azylu poza granicami; ukrywającego się nawiedziłem i wtedy to zwierzył mi się ze swych podejrzeń. Ale dnia pewnego zniknął - tak, jak zniknęło już wielu, a nikt nie śmie nawet zgadywać ich losu. Obawiam się, iż pojмали go szpiedzy Konstancjusza.

Muszę już kończyć me pismo, by tej jeszcze nocy wymyć je z miasta, co mogę uczynić dzięki gołębiowi śmigłemu; zanieś on mój list w miejsce swego urodzenia, skąd go przywiozłem, a to na granicę Koth. Stamtąd pierwaj jeździec, a potem sztafeta wielbłądzia przesyłkę do ciebie powiozą. Muszę zdążyć przed świtem, a jest już późno i gwiazdy bledną nad wiszącymi ogrodami Khauranu. Przerażliwa cisza spowija miasto i słyszę tylko stłumiony dźwięk ofiarnege bębna, dobiegający do mnie z odległej świątyni; nie wątpię, iż jest tam Taramis, knująca wespół z mocami piekielnymi nowe okrucieństwa.”

Ale mędrzec mylił się, odgadując miejsce pobytu kobiety zwanej przez niego Taramis; niewiasta znana Światu jako królowa Khauranu stała w lochu, oświetlona migotliwym płomieniem pochodni; ruchliwe światło pełgało po jej twarzy, podkreślając diaboliczne okrucieństwo wypisane na pięknym obliczu.

Przed nią, na gołej, kamiennej posadzce, kulila się postać, której nagość ledwie skrywały wystrzępione łachmany. Postać tę Salome trąciła pogardliwie zadartym noskiem złotego sandałka, uśmiechając się mściwie, gdy ofiara skuliła się w obronnym geście.

- Czyżbyś nie przepadała za moimi pieszczotami, słodka siostrzyczko?

Pomimo siedmiomiesięcznego uwięzienia, pomimo okrywających jej ciało plugawych łachmanów Taramis ciągle była piękna. Nie odpowiedziała na zaczepkę siostry, a tylko pochyliła głowę jak ktoś nawykły, już do poniżeń.

Taka rezygnacja nie ucieszyła Salome; zagryzła pąsowe wargi, nasrożyła się i stała tak, odziana z barbarzyńskim przepychem kobiet z Shushan, przytupując obcasikiem o kamienną płytę podłogi. W świetle pochodni klejnoty lśniły na jej sandałach, na szczerozłotyeh napierśnikach i podtrzymujących je łańcuchach; krocząc, pobrzękiwała złotymi obręczami na kostkach, a wysadzone drogimi kamieniami naramiennice i bransolety ciążyły na jej nagich ramionach. Włosy miała upięte wysoko, na modłę kobiet shemiekich, a złote nausznicze z jadesitowymi wisiorami rzucały błyski przy każdym niecierpliwym ruchu hardo uniesionej głowy. Wysadzana gemmami przewiązka podtrzymywała jedwabną suknię, tak cieką, iż stanowiła jawne szyderstwo z dobrych obyczajów. Niedbale przerzucona przez ramię ciemnoszkarłatna peleryna skrywała jakiś tobolek trzymany przez wiedźmę w lewej dłoni.

Nagle Salome postąpiła o krok i wolną ręką schwyciła rozpuszczone włosy siostry, siłą odchylając jej głowę tak, by musiała spojrzeć jej prosto w oczy.

Taramis przyjęła drapieżne spojrzenie bez drgnienia powieki.

- Nie jesteś już tak skora do ronienia się jak przedtem, słodka siostrzyczko - wycedziła przez zęby

wiedźma.

- Nie wyciśniesz już ze mnie więcej łez - odparła Taramis. - Zbyt często rozkoszowałaś się widokiem królowej Khauranu błagającej na kolanach o litość. Wiem, że żywisz mnie jeno po to, by mnie poniżyć, dlatego też w zadawanych mi torturach zachowywałaś umiar, tak, by mnie nie zabić ani nie okaleczyć. Ale już się ciebie nie boję - wycisnęłaś ze mnie resztki strachu, wstydu i nadziei; zgładź mnie i skończmy już z tym, gdyż dla twej uciechy wypłakałam już ostatnie łzy, ty diablico z piekła rodem!

- Pochlebiasz sobie, droga siostrze - warknęła Salome. - Jak dotąd dbałam o to, by cierpiało twoje piękne ciało, miażdżyłam twą dumę i pychę; zapominasz, że w odróżnieniu ode mnie podlegasz cierpieniom ducha - dostrzegłam to, zabawiając cię opowiastkami o igrzyskach, jakie wymyślałam, by się zabawić kosztem twych durnych sług. Ale tym razem przyniosłam bardziej namacalny dowód owych facecji. Zali wiedziałaś, że Krallides, twój wierny doradca, powrócił z Turami i choć się ukrywał, został pojmany?

Taramis zbladła.

- Cóż... cóżeś z nim uczyniła?

W odpowiedzi Salome wyszarpnęła tajemniczy tłumok spod peleryny i otrząsnąwszy zeń jedwabny zawój, uniosła to - głowę młodego męża o rysach twarzy zastygłych w tak okropnym grymasie, jakby śmierć spadła nań pośród nieludzkich męczarni.

Taramis jęknęła niby ktoś, koniu sztylet rozdarł serce:

- O Isztar! Krallides!

- On ci! Dążył do podburzenia ludu przeciwko mnie, biedny głupiec, rozpowiadając, jakoby prawdę mówił Conan, twierdząc, iżem nie jest Taramis. Głupiec - czyż myślał, że czerń zbrojna w kije i kopyści powstanie przeciw Shemitom Sokoła? Otrzymał godziwą zapłatę za swą głupotę - psy szarpia jego bezgłowe ciało na dziedzińcu, a tę durną czaszkę, by zgniła, cisnę do kloacznego dołu robactwu na żer. I co, siostrzyczko - przerwała na chwilę, uśmiechając się do swej ofiary - czy już odkryłaś, że masz jeszcze nie wypłakane łzy? Pięknie! Zachowałam dla cię duchowe katusze na koniec - od dziś będziesz miewała więcej takich widoków. - Salome triumfalnie potrząsnęła trzymaną za włosy głową Krallidesa.

Stojąc tak w świetle pochodni, pomimo wielkiej urody nie wyglądała jak istota zrodzona z łona kobiety.

Taramis nie podnosiła wzroku; leżała twarzą w dół, na oślizłej, brudnej posadzce, a jej szczupłym ciałem wstrząsał szloch. Zaciśniętymi pięściami waliła w kamienne płyty.

Salome nie śpiesząc się ruszyła ku drzwiom, podzwaniając bransoletami, a jadeitowe kolczyki rzucały odblaski w żółtawym świetle pochodni.

W kilka chwil później wiedźma wychynęła z odrzwi wiodących do ponurej, wysklepionej sieni,

otwierającej się na pałacowe ogrody. Czekaający tam człowiek zwrócił się ku niej, a był to olbrzymi Shemita o ponurych oczach i szerokich barach; długa, czarna broda spływała mu na potężny, okryty srebrną kolczugą tors.

- Czy wyła? - Jego głos przywodził na myśl ryk bawołu: głęboki, basowy jak odległy grzmot. Człek ów był generałem najemników, jednym z kilku buskich popleczników Konstancjusza, którzy znali tajemnicę losu królowej Khauranu.

- Oczywiście, Khumbanigashu. Są w jej duszy czułe struny, których do tej pory nie tknęłam. Gdy jeden ze zmysłów staje się otępiały przez ciągłe maltretowanie, wciąż znajduję nowe, jeszcze dotkliwsze tortury.

Zgarbiona postać odziana w łachmany, brudna, o skołtunionych włosach, zbliżyła się, kuśtykając pokracznie - jeden z żebraków sypiających w otwartych ogrodach i alejach pałacowych.

- Łap, psie! - Salome cisnęła mu głowę Krallidesa. - Łap, niemowo; wrzuc to do najbliższej kloaki... Khumbanigashu - on nie słyszy - pokaż mu na migi, co ma zrobić.

Generał spełnił polecenie, a rozczochrany żebrak skinął głową na znak, że zrozumiał i powoli jął się odwracać w stronę, w którą zamierzał się oddalić.

- Czemu jeszcze przedłużasz tę farsę - grzmiał Khumbanigash. - Tak pewnie osiadłaś już na tronie, że nic cię już zeń nie zdoła wysadzić. Cóż się stanie, jeśli khaurańscy głupcy poznają prawdę? Wszak nic nie mogą zrobić - proklamuj się władczynią pod swym własnym imieniem! Pokaż im ich byłą królową i każ jej odrąbać głowę na placu!

- Jeszcze nie teraz, cny Khumbanigashu...

Ciężkie drzwi zatrzasnęły się, przecinając ostry głos Salome i dudniącą echem mowę Khumbanigasha.

Żebrak przycupnął bez ruchu w zakamarku ogrodu i nie było tam nikogo, kto mógłby zauważyć, że ręce kurczowo obejmujące obcięta głowę drżą silnie - śniade, muskularne ręce, dziwnie nie pasujące do zgarbionej postury i brudnych łachmanów.

- Wiedziałem! - Szept był ognisty, drżący, ledwo słyszalny. - Ona żyje! Och, Krallidesie, twe męczeństwo nie było daremne! Zamknęli ją w tych lochach! O Isztar, jeśli miłujesz ludzi prawych, dopomóż mi teraz!

## 4.

Garet napełnił szkarłatnym winem wysadzany drogimi kamieniami puchar, po czym cisnął złotą flaszkę z trunkiem po hebanowym stole - w ręce Conana Cymmeryjczyka. Strój Gareta mógłby nasycić próżność zarówno każdego z lubiących się w przepychu wodzów armii barbarzyńskich, jak i niejednego z obdarzonych dobrym gustem książąt Zachodu.

Wódz pustynnych zbójców odziany był w białą, jedwabną tunikę wyszywaną na gorsie perłami i ściągniętą w talii szerokim pasem haftowanym srebrnymi i złotymi nićmi w arabeskowe wzory. Na głowie miał turban z zielonego jedwabiu, owinięty na spiczastym, stalowym szyszaku inkrustowanym złotem i czarną emalią. Bufiaste, jedwabne nogawice spotykały się poniżej kolan z cholewami dopasowanych do nogi butów z zielonej, wytłaczanej skóry. Jediną broń Gareta stanowił szeroki, zakrzywiony kindżał w pochwie z kości słoniowej, zatknięty na nomadyjską modłę za pas, wysoko nad lewym biodrem.

Usadowiony wygodnie w wielkim, rzeźbionym w orły hebanowym fotelu Gareth, wyciągnąwszy przed siebie skrzyżowane nogi, głośno pociągał szlachetny trunek z kosztownego pucharu.

W przeciwieństwie do wymuskaney postaci mungana Cymmeryjczyk wyglądał nader zgrzebnie; czarna, równo przycięta grzywa, oblicze ogorzałe i naznaczone bliznami, a oczy niebieskie i lśniące. Miał na sobie czarną kolczugę, a jedyną błyszczącą w całym stroju ozdobą była szeroka, złota klamra pasa dźwigającego miecz w wyświechtanej skórzanej pochwie.

Siedzieli sami w namiocie o ścianach z cienkiego jedwabiu, obwieszonych arrasami i wschodnimi kobiercami; podłogę zaścielały złupione na karawanowych szlakach kosztowne dywany, pięknie wyprawione skóry i aksamitne poduszki.

Do wnętrza namiotu dochodził ciągły, niski pomruk - dźwięk znamionujący wielkie wojskowe obozowiska; porywy pustynnego wiatru co jakiś czas wprawiały w trzepot liście rosnących nieopodal palm.

- Dziś w cieniu, jutro w pełnym słońcu! - ozwał się Gareth i popuściwszy nieco szkarłatnego pasa sięgnął po flakon ze szlachetnym trunkiem. - Kiedyś byłem mungańskim wielmożą, teraz jestem wodzem ludów pustyni. Siedem miesięcy temu zwisałeś na krzyżu o dwa strzelenia z łuku od murów Khauranu; teraz jesteś namiestnikiem najpotężniejszego łupieżcy pomiędzy warownym Turanem a pastwiskami na zachodzie. Wdzięczność mi winieneś!

- Za to, żeś mą użyteczność docenił? - zaśmiał się Conan i uniósł do ust puchar. - Kiedy pozwalasz człowiekowi piąć się w górę, można mieć pewność, że czerpiesz zyski z jego wyniesienia. Wszystko, com w życiu wygrał, osiągnąłem dzięki mej sile, potowi i krwi. - Tu spojrzął na swe pokryte szramami dłonie; jego ciało także znaczyły blizny, a wielu z nich jeszcze nie było przed siedmioma miesiącami.

- Walczysz jak regiment diabłów - przyznał Gareth, - Ale nie myślisz chyba, że to przez twą siłę napływają wciąż nowi ludzie do hordy - to bogate łupy zdobywane w zwycięskich dzięki memu

sprytowi potyczkach zwabiły ich ku nam. Nomadyjskie plemiona zawsze poszukiwały skutecznego wodza, by za nim podążyć; zawsze też nomadowie bardziej ufali wodzom cudzoziemskim niż wywodzącym się z ich własnej krwi. Nie ma teraz rzeczy dla nas niemożliwych: mając dziś jedenaście tysięcy zbrojnych, za rok możemy mieć po trzykroć tyle. Dotychczas szarpaliśmy turańskie miasta graniczne; w sile trzydziestu tysięcy wojowników zaniechamy podjazdów, a wydamy regularną wojnę, podbijemy całe królestwo i zasiądziemy na jego tronie. Ujrysz mnie jeszcze cesarzem całego Shem, a ty, dopóki będziesz mi posłuszny, pozostaniesz mą prawą ręką - ministrem, kanclerzem, wicekrólem. Uderzmy teraz na wschód, by wziąć wysuniętą twierdzę turańską Vezek - karawany płacą tam myto, więc dobrze się obłowimy.

Conan wolno pokręcił głową.

- Ja tak nie sędzę.

- Co masz na myśli, gadając, że ty sądzisz odmiennie? Ja dowodzę tą armią i ja za nią myślę!

- Jest już dość wojów w tej hordzie, by sprostać moim potrzebom - odpalił Cymmeryjczyk. - Znudziło mi się już czekanie, a mam dług do spłacenia.

- Ach, tak. - Garet spojrzał nań spode łba i pociągnął łyk wina. - Ciągłe myślisz o tamtym krzyżu, tak? Podoba mi się twa pamiętliwość, ale tamto może poczekać.

- Niegdyś przyobiecałeś mi pomoc w zdobyciu Khauranu - rzekł Conan.

- Prawda, ale było to, nimem począł dostrzegać pełnię możliwości naszej armii; poza tym, myślałem naonczas o pomocy w złupieniu miasta, a nie w jego zdobywaniu. Nie chcę osłabiać naszych sił w nie przynoszących zysku awanturach, a Khauran jest wciąż zbyt twardym orzechem do zgryzienia. Może za rok...

- Nie później niż za tydzień - przerwał mu Conan, a pewność w jego głosie osadziła mungana, który jął tłumaczyć:

- Posłuchaj mnie, przyjacielu - gdybym nawet zechciał wygubić naszych ludzi w takim opętańczym przedsięwzięciu, czegoż się spodziewasz - czy myślisz, że nasze wilki zdołają oblec i wziąć szturmem gród tak jak Khauran obwarowany?

- Nie będzie oblężenia ani szturm; wiem, jak wywabić Konstancjusza na równinę.

- I cóż wtedy? - zakrzyknął Garet z wściekłością. - Gdy się wzajem będziemy obsypywać strzałami, nie ich, a nasza konnica weźmie cięgi, jako że ciężkozbrojna jazda Konstancjusza wyśmiewa się z naszych grotów; gdy zaś przyjdzie do mieczy, ich zwarte czworoboki wyćwiczonych fechtowników przejdą przez nasze luźne szyki i rozproszą nomadów jak plewy na wietrze!

- Co stać się nie może, gdybyśmy mieli trzykroć po tysiąc zdesperowanych jeźdźców hyboryjskich, walczących zwartą ławą, tak, jak mogą ich tego nauczyć.

- A gdzież mógłbyś zdobyć trzy tysiące Hyboryjczyków? - zaśmiał się Garet, nie kryjąc ubawienia.

- Mniemam, iż wyczarujesz ich z powietrza!

- Ja ich już mam - odparł Conan bez wahania. - Trzy tysiące wojów z Khauranu koczuje w oazie Akhel, oczekując mych rozkazów.

- Co?! - Garet rzucił spojrzenie osaczonego wilka.

- Słyszałeś. Ludzie ci zbiegli spod jarzma Konstancjusza. Większość z nich wiodła na pustyni żywot banitów. Są przez to zahartowani i zdesperowani jak ludożercze tygrysy - każdy z nich za trzech stanie najemników. Prześladowania i niewola czynią ludzi twardymi i wlewają siłę ognia piekielnego w muskuły. Byli rozbici na małe watahy i wodza potrzebowali; uwierzyli posłaniu, jakie pchnąłem przez moich pachołków; zebrali się w oazie i czekają mych rozkazów.

- A wszystko to bez mej wiedzy? - Złowróżbne błyski pojawiły się w oczach Gareta, a jego ręka poczęła błędzić w pobliżu rękojeści kindżału.

- Pod moją zechcieli zdać się komendę, nie twoją.

- A cóżeś przyobiecał owym wyrzutkom za ich posłuszeństwo? - Groźna nuta zabrzmiała w głosie Gareta.

- Powiedziałem, że użyję tej hordy wilków pustynnych, by im dopomóc w zniesieniu Konstancjusza, a Khauran przyrzekłem oddać w ręce jego obywateli.

- Ty głupcze! Zali zamarzyło ci się, iż już jesteś wodzem?

Obaj poderwali się na nogi, mierząc się wzrokiem ponad hebanowym stołem; diabelskie ogniki tańczyły w szarych oczach Gareta, a na ustach Cymmeryjczyka pojawił się groźny uśmiech.

- Każę cię rozedrzeć pomiędzy czterema palmami! - wycodził mungan przez zęby.

- Przywołaj ludzi i namów ich do tego! - judził go Conan. - Zobaczymy, żalić usłuchają!

Odsłaniając zęby w drapieżnym grymasie, Garet uniósł dłoń - i powstrzymał się; pewność siebie widniejąca na twarzy Cymmeryjczyka nadwątlila zdecydowanie mungana.

- Ty kundlu z zachodnich wzgórz - wymamrotał. - Czyżbyś się poważył spiskować przeciw mej władzy?

- Nie było takiej potrzeby - odparł Conan. - Kłamałeś, twierdząc, iż nie mam nic wspólnego z zaciągiem nowego rekruta. Tylko dzięki mnie stają ludzie pod nasze buńczuki. Wykonywali twe rozkazy, lecz walczyli dla mnie. Nie ma tu miejsca dla dwóch wodzów, a wszyscy wiedzą, że jestem silniejszy od ciebie. Rozumiem ich lepiej niż ty, a oni rozumieją mnie, bo jest barbarzyńcą jak oni.

- A cóż powie armia, gdy każesz jej walczyć dla Khaurańczyków?

- Pójdzie za mną. Obiecuję im karawanę juczną złotem z pałacu. Za pozbycie się Konstancjusza



Khauran hojny zechce zapłacić okup. Później poprowadzę hordę na Turan - tak, jakieś zaplanował. Żądni są łupów i równie dobrze zewrą się dla nich z Konstancjuszem jak z kimkolwiek innym.

Świadomość porażki pojawiła się w oczach Gareta. Pograżony w krwawych marzeniach o cesarstwie, od dawna już nie dostrzegał tego, co się działo blisko, dookoła niego. Wydarzenia, które przedtem wydawały się bez znaczenia, stanęły mu teraz przed oczyma, objawiając swą prawdziwą wagę; pojął, iż słowa Conana nie były czczymi pogrozkami; zrozumiał, że to nie on, a stojący przed nim potężny Cyrameryjczyk w czarnej kolczudze jest prawdziwym wodzem Zuagirów.

- A więc giń, psie! - warknął mungan i schwycił rękojeść kindżału. Ale z szybkością łapy wielkiego kota ręka Conana śmignęła ponad stołem, a potężna dłoń zacisnęła się na ramieniu Gareta. Rozległ się trzask pękających kości i na pełną napięcia chwilę zamarł wszelki ruch w namiocie; mężczyźni stali twarzą w twarz, nieruchomi niczym postaci odlane z brązu. Krople potu wystąpiły na czoło Gareta.

Conan zaśmiał się, nie zwalnając uchwytu na strzaskanym ramieniu.

- Zali jesteś w stanie to przeżyć, Garecie?

Uśmiech wciąż błąkał się po twarzy Conana, gdy mięśnie jego ramienia zagrały, splatając się niczym rzemieńne węzły, a potężne palce włąbiły się w drżące ramię mungana; dał się słyszeć chrobot trących o siebie kości, a twarz Gareta przybrała barwę popiołu; krew puściła się z jego warg tam, gdzie przecięły je zaciśnięte zęby - ale głosu z siebie nie wydał.

Ze śmiechem zwolnił Conan swój uchwyt i odstąpił o krok; mungan zatoczył się i wsparł zdrową ręką o stół, by nie upaść.

- Daruję ci twe życie, Garecie, tak, jak ty dałeś mi moje - rzekł spokojnie Conan. - Choć to dla twych własnych celów zdjąłeś mnie wtedy z krzyża. Ciężką żeś mi naonczas zadał próbę; nie zdzierzyłbyś jej ty, ale też nikt oprócz barbarzyńcy z Zachodu nie wyszedłby z niej cało. Dosiądź twego rumaka i jedź - przywiązany jest za namiotem, a woda i żywność są w jukach przy siodle. Nikt nie ujrzy cię odjeżdżającego, ale oddał się szybko - na pustyni nie ma miejsca dla pokonanego wodza; jeśli wojownicy dojrzą cię, okaleczonego i odsuniętego od władzy, nie wypuszczą cię żywym z obozu.

Garet w milczeniu wysłuchał Conana; powoli, bez słowa odwrócił się i wyszedł z namiotu. Bez słowa wspiął się na siodło wielkiego, białego ogiera, który stał uwiązany w cieniu bujnie rozrośniętej palmy; bez słowa, wsunąwszy złamaną rękę w rozcięcie tuniki, zawrócił konia, i ruszył na wschód - na otwartą pustynię - by na zawsze zniknąć z życia plemienia Zuagirów.

Conan pozostał w namiocie; opróżnił puchar i oblizał wargi. Czuł ulgę. Cisnąwszy puste naczynie w kąt namiotu poprawił pas i wyszedł na zewnątrz; przystanął na chwilę, by omieść wzrokiem rozciągające się przed nim morze namiotów z wielbłądziej wełny; pomiędzy nimi poruszali się białe odziani ludzie, śpiewając, kłócąc się, reperując końskie rzędy, wecując zakrzywione szable.

Głos Conana rozległ się niczym grom i dotarł do najdalszych zakątków obozowiska:

- Hej, wy tam, psie syny, nadstawcie uszu i słuchajcie! Pójdźcie tu wszyscy - chcę wam coś rzec!

## 5.

W komorze na wieży w pobliżu murów miejskich grupa mężów przysłuchiwała się uważnie słowom jednego z ich grona. Byli młodzi, lecz krzepcy i sprawni; znać było po nich hart, jakiego ludziom przydaje desperacja zrodzona przez odciskającą się ciężkim jarzmem przemoc. Odziani byli w kolczugi i podniszczone skórzane kubraki, a miecze zwisały z ich pasów.

- Wiedziałem, że Conan mówił prawdę, gdy rzekł, iż to nie jest Taramis - wyjaśniał mówca. - Miesiące całe nawiedzałem okolice pałacu, przybrawszy postać głuchego nędzarza, zebrzącego o wsparcie. Aż w końcu usłyszałem to, w co od dawna wierzyłem - nasza królowa jest uwięziona w lochu przyległym do pałacu. Dalej czekałem okazji - i pojmałem strażnika Shemitę: ogłuszyłem go, gdy pewnej nocy wychodził z pałacowych ogrodów i zaciągnąwszy do pobliskiej piwnicy, wziąłem na spytki. Nim wyzionął ducha, powiedział mi coś, co wam teraz przekażę: rządząca Khauranem kobieta to wiedźma imieniem Salome, zaś Taramis w najgłębszym jest uwięziona lochu. Ów zuagirski najazd da nam sposobność, jakiej czekamy. Co zamierza Conan, nie mogę przewidzieć. Zapewne szuka pomsty na Konstancjuszu, ale może też być, że zamierza zdobyć i splądrować miasto; jest barbarzyńcą i myśli jego nikt z nas nie zrozumie. Jeden tedy cel mamy przed sobą - uwolnić Taramis, gdy rozgorzeje bitwa. Konstancjusz wy-maszeruje na równinę, by stanąć do walnej potyczki - już teraz Shemici dosiadają koni. Muszą wyjść za mury, gdyż w mieście nie dość jest spyży, by przetrzymać oblężenie, tak szybko bowiem wychynął Conan z piasków pustyni, że nie stało czasu nawet na zgromadzenie furazu. A Cymmeryjczyk jest do oblężenia gotowy: zwiadowcy donieśli, że Zuagirowie ciągną ze sobą maszyny oblężnicze - tarany, arkbalisty i wieże olbrzymie; zbudowali je bez ochyby podług instrukcji Conana, ten bowiem wszelkie arkana sztuki wojennej wśród ludów Zachodu zgłębił. Zatem Konstancjusz, oblężenia długiego nie chcący, wojska swe zza murów wyprowadzi, siły Conana pragnąc jednym uderzeniem rozbić; w mieście tedy ledwie kilka setek Shemitów pozostanie, a i ci murów strzec będą i obsadzą wieże flankujące bramy. Więzienie pozostawią nieomal bez straży; kiedy już uwolnimy Taramis, dalsze kroki podejmiemy stosownie do przebiegu bitwy. Gdyby zwyciężył Conan, Taramis winna się ukazać ludowi i wezwać do powstania - a lud za nią podąży! Bez wątpienia podąży! Dość nas będzie, by nawet gołorącz wydusić Shemitów pozostawionych w mieście i zawrzeć bramy tak przed naj mitami jak i dla nomadów. Ni jedni, ni drudzy w obręb murów dostać się nie mogą! Miasto uchwyciwszy, będziemy mogli układać się z Conanem; był on zawsze wierny Taramis, toteż gdy prawdę pozna, a i królowa nakłaniać go pocnie, tuszę, iż od miasta odstąpi, rabunku poniechawszy. Gdyby zaś, co łącniej zdarzyć się może, zwyciężył Konstancjusz, Conana gromiąc, trzeba nam będzie z miasta się wymykać, ocalenia dla królowej w ucieczce szukając. Czy pojęliście wszystko?

Zebrani przytaknęli jak jeden mąż.

- Poluźnijmy tedy miecze w pochwach i dusze bogini Isztar poleciwszy ruszajmy ku więzieniu, jako że najemnicy już opuszczają miasto przez bramę południową.

Tak było w istocie; wstający brzask wydobywał błyski ze spiczastych szyszaków nieprzerwanym strumieniem wylewających się przez szeroką, wysklepioną bramę; w pierwszych promieniach słońca białały czapraki ciężkich, bojowych rumaków.

Bitwę miała rozstrzygnąć szarża pancерnej jazdy - taka, jakie zdarzały się tylko w krajach Wschodu. Jeźdźcy wypływali z bram miasta niczym rzeka stali - posępni mężowie w czarnych i srebrnych kolczugach, karacenach i pełnych pancierzach; brodaci, z zakrzywionymi jak dzioby drapieżnych ptaków nosami. Z okrutnych oczu wyzierało zdecydowanie i brak litości - nieodłączne cechy ich rasy.

Ludzie wylegli na ulice; wyglądali też z okien, milcząco śledząc wojów o cudzoziemskich obliczach, wyruszających, by bronić nie swojego miasta. Panowała cisza; wynędzniali i odziani w łańchmany Khaurańczycy stali z czapkami w dłoniach, a na ich twarzach malowały się rezygnacja i zubożenie.

Na wieży, górującej nad szeroką ulicą wiodącą do południowej bramy, rozciągnięta na aksamitnym łożu Salome mierzyła cynicznym wzrokiem Konstancjusza, który przypasywał szeroki miecz i naciągał rękawice ze stalowej łuski. W komnacie byli tylko we dwoje; przez okno dochodziły z zewnątrz odgłosy przeciągającego wojska: rytmiczny chrzęst uprzęży i hurgot końskich kopyt na bruku.

- Nim noc zapadnie - ozwał się Konstancjusz, podkrecając węża - będziesz miała dość jeńców, by nasycić nimi twego świątynnego diabła. Czy nie znudziły mu się miękkie ciała mieszczan? Zapewne z uciechą zakosztuje bardziej żyłastych nomadów.

- Bacz, byś sam nie padł ofiarą bestii dzikszej niż Thaug - rzekła Salome. - Pomnij, kto przewodzi owym pustynnym dzikusom.

- Pamięć mam raczej dobrą i dlatego właśnie wychodzę mu naprzeciw - ów parszywy pies wojował w krajach Zachodu i zna sztukę dobywania miast. Moi zwiadowcy z trudem podkradli się w pobliże taborów, nomadyjscy bowiem harcownicy wzrok mają jak jastrzębie; dość jednak blisko byli, by ujrzeć maszyny ciągnięte przez wielbłądy - katapulty, tarany i wieże oblężnicze. Na Isztar! Musiał mieć dziesięć tysięcy ludzi harujących przez miesiąc za dnia i po nocy, skąd zaś wziął materiał na owe konstrukcje - nie pojmuję. Czyżby wszedł w układy z Turańczykami i od nich uzyskał dostawy? Nic to - i tak pożytku z nich mieć nie będzie. Walczyłem już ongiś z tymi pustynnymi wilkami: pierwaj wymiana strzał - tu moich wojowników dobrze chronią zbroje; później szarża, w której me pułki przeorzą luźne watahy nomadów, zawrócą i przebiją się wspan, rozpędzając ich na cztery wiatry. Przed wieczorem wjadę południową bramą, a setki nagich jeńców ciągnąć będą za ogonem mego konia. Nocą urządzimy triumf na wielkim placu - moi wojownicy lubują się w paleniu wrogów żywcem; urządzimy także obdzieranie ze skóry, a owym mieszczuchom o miękkich kolanach każemy na to patrzeć. Co do Conana zaś, to największą mi sprawi radość, jeśli da się wziąć żywcem - po to, bym mógł u stóp pałacowych schodów na pal go nawlec.

- Drzyj pasy z ilu tylko zechcesz - odezwała się obojętnie Salome - chciałabym mieć suknię z ludzkiej skóry. Ale najmniej setkę jeńców musisz dać mi żywych - na ołtarze i dla Thauga.

- Będzie, jak sobie życzysz - odparł Konstancjusz i opancerzoną dłonią odgarnął w tył włosy z wysokiego, ogorzałego od słońca czoła. - Ruszam tedy w bój, po zwycięstwo w obronie niepokalanego honoru Taramis! - dodał sardonicznie, ujawszy zdobny piórami szyszak pod lewe ramię, zakutą w stal prawicą oddając szydery salut. Wymaszerował z komnaty pobrękując zbroją,

a po chwili dobiegł z zewnątrz jego szorstki, podniesiony głos - wydawał oficerom komendy.

Salome leniwie opadła na łożo, przeciągnęła się niczym wielka zwinna kocica i zawołała:

- Zang!

Cichonogi kapłan o rysach przywodzących na myśl pożółkły pergamin naciągnięty na czaszkę bezszelestnie wśliznął się do komnaty.

Salome sięgnęła ku postumentowi z kości słoniowej, na którym spoczywały dwie opalizujące kryształowe kule i wzięła mniejszą z nich, by wręczyć ją kapłanowi.

- Jedź za Konstancjuszem. Przekazuj mi nowiny o bitwie. Idź!

Człek o twarzy przypominającej wysuszoną czaszkę skłonił się nisko, skrył kryształową kulę pod ciemnym płaszczem i pośpiesznie wyszedł z komnaty. W mieście panowała już cisza; przez chwilę dał się słyszeć stukot podków samotnego wierzchowca, a po nim łoskot zamykającej się bramy.

Salome weszła po szerokich marmurowych schodach na płaski, przykryty baldachimem dach o posadzce z kamiennych płyt. Był powyżej wszystkich budynków w mieście. Rozpościerał się stąd widok na wyludnione ulice; wielki plac przed pałacem także świecił pustką. Lud Khauranu wystrzegał się przebywania w pobliżu posępnej świątyni wznoszącej się po przeciwnej stronie placu. Miasto wyglądało jak wymarłe.

Ślady życia dało się dostrzec tylko na południowym murze i górujących nad nim dachach - stłoczyli się tam gromadnie mieszczanie, biernie obserwujący rozwój wydarzeń; na zwykłe w takich okolicznościach wiwaty na cześć oddziałów broniących miasta nie mogli się zdecydować, nie wiedząc, czy mają Konstancjuszowi życzyć zwycięstwa, czy porażki. Zwycięstwo pociągnęłoby za sobą dalsze cierpienia pod znenawidzonymi rządami Shemitów, porażka mogła oznaczać zdobycie miasta i zapewne krwawą rzeź jego mieszkańców. Żadne wieści od Conana nie dotarły, toteż ludzie nie wiedzieli, czego mogą oczekiwać z jego rąk. A pamiętali, że był barbarzyńcą.

Pułki najemników wytaczały się na równinę. Daleko, tyle tylko, że po tej stronie rzeki, przelewała się ciemna fala, ledwie rozpoznawalna jako konnica. Przeciwny brzeg rzeki usiany był ciemnymi punktami - Conan nie przeprowadził machin oblężniczych, najwyraźniej obawiając się ataku w trakcie pokonywania rzeki.

Słońce wychynęło zza horyzontu, dobywając ogniste błyski z rozlanej po równinie ciemnej masy wojsk.

Oddziały Konstancjusza ruszyły - najpierw stępa, później kłusem; głęboki ryk dobiegł uszu ludzi zgromadzonych na murach.

Toczące się ku sobie fale starły się i przemieszały, tworząc od razu kłębowisko pozornie jednorodne; z tej odległości nie dało się odróżnić takich szczegółów jak ataki czy kontrataki.

Chmury pyłu wzbite końskimi kopytami uniosły się z równiny, spowijając pole walki

nieprzeniknionym dla ludzkiego oka tumanem. Tylko z rzadka wyłaniali się z niego jeźdźcy, po to, by za chwilę zniknąć znowu; czasem błysnęła broń.

Salome wzruszyła ramionami i zeszła po schodach. Pałac pogrążony był w ciszy - wszyscy niewolnicy wylegli wraz z mieszczanami na mury, by gapić się na bitwę. Wiedźma weszła do komnaty, w której rozmawiała z Konstancjuszem i zbliżyła się do postumentu; zauważyła, że kryształowa kula zmętniała i pokryła się szkarłatnymi plamami. Pochyliła się nad nią, mamrocząc magiczne zaklęcia.

- Zang! - zawołała. - Zang!

W kuli zafalowały jakby mgliste opary, przechodzące po chwili w wirujące drobinki pyłu, wśród których przemykały niewyraźne, ciemne sylwetki; czasem, niczym błyskawica w mroku, odbłask słońca na polerowanej stali rozdzierał wzburzony tuman kurzu.

Wtem pojawiła się twarz Zanga, a jej rysy zaskakiwały ostrością - wyglądał tak, jakby stojąc przed Salome patrzył na nią szeroko rozwartymi oczyma. Krew ściekała z rany na przypominającej wysuszoną czaszkę głowie, a żółtawą skórę przyprószył pozlepiany potem pył. Usta rozwarły się i poczęły drgać; do uszu przypadkowego świadka tej sceny nie dotarłby żaden dźwięk, ale Salome słyszała słowa wypowiedane przez zszarzałe wargi Zanga tak, jakby kapłan przemawiał w tej samej komnacie, a nie o kilka mil dalej, wykrzykując do mniejszego z owej pary kryształów. Tylko bóstwa ciemności wiedziały, jakie to niewidzialne, magiczne nici łączyły połyskujące kule.

- Salome! - dobiegł głos od skrwawionej głowy. - Salome!

- Słyszę! - krzyknęła wiedźma. - Mów! Jak przebiega bitwa?

- Jesteśmy zgubieni! - zakrzyknął kapłan. - Khauran stracony! Na Seta! Ubito pode mną konia i nie mogę stąd ujść! Ludzie padają wkoło mnie! Ci w srebrnych kolczugach mrą jak muchy!

- Przestań bełkotać i mów, co się stało! - fuknęła Salome.

- Uderzyliśmy na pustynnych psów, a oni wyszli nam na spotkanie! - zawodził kapłan. - Chmury strzał śmignęły pomiędzy wojskami i nomadowie zachwiali się; Konstancjusz rozkazał, by szarżować i zwartym szeregiem natarliśmy na nich. I wtedy ich horda rozwarła się na prawo i lewo, a przez lukę wypadło kilka tysięcy hyboryjskiej konnicy, której obecności nawet nie podejrzewaliśmy. Mężowie z Khauranu, opętani nienawiścią! Wielkie chłopy w pełnych zbrojach, na ciężkich rumakach! Zwartym, stalowym klinem przeszli przez nas jak piorun; nimeśmy się spostrzegli, rozcięli naszą formację na dwoje, a wtedy nomadowie spadli na nas z prawej i z lewej flanki. Poszarpali nasze szeregi na strzępy, złamali nas i rozprószyli! To sztuka tego diabła Conana! Machiny oblężnicze były fałszywe - zwykle szkielety z pni palmowych, obciążone malowanym jedwabiem; wprowadziły w błąd naszych zwiadowców, którzy widzieli je z daleka! Fortel to był jeno, by nas z miasta wywabić - na naszą zgubę! Shemici Sokoła umykają! Khumbanigash padł - Conan go zarąbał! Nie widzę Konstancjusza! Khaurańczycy szaleją wśród naszych beładnych formacji jak lwy żądne krwi, a ludzie z pustyni szyją do nas z łuków! Ja... aghhh...

W kuli dał się widzieć błysk - jakby ostrej stali - trysnęła jasna krew i wtem obraz znikł jak płynąca po wodzie bańka powietrza, która nagle pękła. Salome zastygła, wpatrując się w pustą kulę, odbijającą jedynie jej własne, wykrzywione wściekłością oblicze. Wtem klasnęła w dłonie; do komnaty wśliznął się kapłan bliźniaczo podobny do Zanga i zastygł w oczekiwaniu rozkazów.

- Konstancjusz pobity - mówiła szybko - jesteśmy zgubieni. Nim minie godzina, Conan zakołacze do bram miasta; nie mam złudzeń, jaki los mnie spotka, gdy wpadnę w jego ręce. Ale pierwszej muszę się upewnić, że ma przeklęta siostra nigdy już nie zasiądzie na tronie. Niech się dzieje, co chce, ale sprawimy Thaugowi ucztę! Choć ze mną!

Zeszli ze schodów i pospieszali kruzgankiem, gdy do ich uszu dobiegł narastający rejwach, niesiony wiatrem od strony murów; stłoczeni na nich ludzie pojęli, że szala zwycięstwa przechyla się na stronę Conana. Z wiszących nad równiną chmur pyłu wychynęły grupy jeźdźców opętańczym galopem zmierzające ku miastu.

Pałac połączony był z więzieniem długą, krytą galerią o ostrołukowym sklepieniu; przemierzywszy ją, Salome i kapłan wpadli w drzwi wiodące do lochu i znaleźli się w ciemnym zaułku, który po chwili doprowadził ich do szerszego, wysklepionego korytarza, w miejscu, gdzie wąskie kręte schody opadały w dół, ginąc w ciemności. Wtem Salome stanęła jak wryta, a przekleństwo zawisło jej na ustach - w półmroku, pod ścianą korytarza spoczywał bez ruchu shemicki strażnik, krótką czarną brodą mierzący w sklepienie; prawie oddzielona od ciała głowa trupa ledwo się trzymała na przerabanej szyi.

Od strony wiodących w dół schodów dobiegły stłumione głosy; dały się słyszeć kroki kilku osób, a nikły odblask na wilgotnej ścianie zdradził niesione czyjąś ręką światło.

Salome cofnęła się w cień i przypadła do muru za podtrzymującym sklepienie grubym pilastrem; kapłana pchnęła za siebie, a ręka jej skoczyła ku zawieszanej u złotego paska sakiewce.

## 6.

Światło dymiącego płomienia pochodni wyrwało Taramis królową Khauranu ze snu, w którym szukała zapomnienia. Usiadła, wspierając się na dłoni, i odgarnawszy rozczochrane włosy otworzyła oczy, spodziewając się ujrzeć szyderczy uśmiech Salome, zapowiadający nowe katusze. Miast tego uszu jej doszedł okrzyk przepojony współczuciem i grozą:

- Taramis! Och, królowo moja!

Zdumiała się sądząc, iż ciągle jeszcze tkwi w objęciach snu, ale wzrok jej stopniowo nawykł do światła i mogła już dojrzeć za płomieniem pochodni błysk stali i ciemne zarysy ludzkich postaci; pięć twarzy nachyliło się ku niej, a nie były to oblicza posępne, okolone czarnymi brodami, lecz jasne twarze o orlich rysach, ogorzałe od słońca.

Okryta łachmanami królowa skuliła się w kącie barłogu, niepewna jeszcze, co ją czeka.

Jedna z postaci rzuciwszy się w przód padła na kolana, wyciągając ku niej ramiona.

- Och, Taramis! Z pomocą Isztar odnaleźliśmy cię! Zali mnie pamiętasz? Jam Waleriusz - ongiś, po bitwie pod Korveka, zaszczycałaś mnie pocałunkiem.

- Waleriusz! - królowa zająknęła się, a łzy napłynęły jej nagle do oczu. - Och, ja snię chyba! Jakaś to nowa magia Salome, umyślona, by mnie udręczyć.

- Nie! - okrzyk drżał aż od uniesienia. - To twoi wierni wasale przybyli, by cię ocalić! Lecz trza nam pospieszać! Konstancjusz ściera się na równinie z Conanem, który przywiódł Zuagirów zza rzeki, ale trzy setki Shemitów wciąż jeszcze strzegą miasta. Zgładziliśmy strażnika i mamy jego klucze; więcej straży nie widzieliśmy. Ale trzeba nam stąd zniknąć! Spieszmy!

Nagły przyptyw ulgi odebrał siły królowej; bez chwili namysłu Waleriusz uniósł ją jak dziecko i poprowadzony przez człowieka z pochodnią wybiegł z celi, za nim zaś jego towarzysze. Poczęli wspinać się na oślizłe kamienne schody; zdawały się nie mieć końca, po chwili wszelako wynurzyli się u szczytu i ruszyli korytarzem. Mijali pogrążony w mroku portal, gdy nagle zgąsła pochodnia, wytracona z ręki niosącego ją człowieka, on sam zaś wydał krótki, przedśmiertny jęk. Snop błękitnego ognia buchnął z ciemności, na mgnienie wydobywając z mroku wykrzywione furją oblicze Salome i czającą się obok niej postać.

Oślepiająca jasność błękitnego płomienia poraziła oczy Khaurańczyków. Waleriusz z królową w ramionach usiłował chyłkiem podążyć korytarzem; dobiegały go odgłosy morderczych razów, którym towarzyszyły jęki umierających i bestialskie sapnięcia. Nagle wyrwano królową z jego ramion, a potężny cios powalił go na posadzkę. Chwiejnie dźwignął się na nogi, wstrząsając głową, by pozbyć się błękitnego płomienia, jaki wciąż zdawał się pulsować wokół niego. Odzyskawszy wzrok stwierdził, że jest w korytarzu sam, jeśli nie liczyć martwych Khaurańczyków. Jego czterej towarzysze spoczywali we krwi, a głębokie rany zionęły na ich głowach i torsach. Oślepieni szatańskim płomieniem, nie mieli nawet sposobności do obrony.



Królowa zniknęła.

Z gorzkim przekleństwem na ustach Waleriusz dobył miecza i zdarł z głowy zgnieciony szyszak, by cisnąć nim o kamienną posadzkę; z rany na głowie spłynęła mu na policzek strużka krwi. Obrócił się kilkakrotnie w koło, drżąc z niepewności, w którą stronę uniesiono Taramis, gdy wtem dobiegł go z oddali głos wykrzykujący jego imię:

- Waleriuszu! Waleriuszu!

Potykając się, skoczył w kierunku, skąd dobiegało wołanie i skręcił za róg, by poczuć, jak wpada mu w ramiona miękkie, szczupłe ciało.

- Igva! Zali oszalałaś?!

- Musiałam tu przyjść... musiałam! - łkała dziewczyna. - Podążałam za wami i skryłam się w cieniu arkad dziedzińca. Przed chwilą widziałam ją, jak wybiegła z pacholkiem unoszącym w ramionach niewiastę; poznając w niej Taramis pojęłam, że się wam nie powiodło... och, jesteś ranny!

- Draśnięcie jeno. - Odepchnął na bok krępujące go ramiona dziewczyny. - Pędźmy, Igvo! Wskaż mi, kędy uciekli!

- Plac przebiegli, bieżąc ku świątyni.

Młodzieniec pobladł.

- Na Iszta! Ach, ta wiedźma! Zamierza złożyć Taramis w ofierze demonowi, któremu cześć oddaje! Szybko, Igvo - mknij na mur południowy, skąd ludzie bitwę śledzą; mów im, że odnalazła się prawdziwa królowa, a oszukańcza wiedźma wlecze ją do świątyni! Pędź!

Stukając lekkimi sandałami, łkająca dziewczyna wybiegła na dziedziniec, przemierzyła pędem plac i znikła w wylocie ulicy wiodącej ku murom. Waleriusz rzucił się ku budowli ciemniejszej posępną bryłą naprzeciw pałacu; marmur umykał spod jego stóp, gdy wbiegał na szerokie schody i pod kolumnowy portyk. Salome i kapłan w pośpiechu nie zawarli za sobą potężnych odrzwi; młodzieniec wpadł do wnętrza i ujrzał tych, których ściagał; uprowadzona królowa sprawiła im nieco kłopotu - przeczuwając pisaną jej zgubę, walczyła ze wszech sił młodego i prężnego ciała, raz wyrywając się nawet z uścisku okrutnego kapłana - po to tylko, by zostać na powrót pojmaną.

Byli już w połowie szerokiej nawy, na której drugim końcu ciemniał posępny ołtarz, a poza nim olbrzymie, żelazne wrota; choć wielu przez nie przeszło, jedna tylko spoza nich powracała Salome.

Oddech Taramis rwał się; podczas szamotaniny odarto z niej łańchmany - wiała się w uścisku oprawcy o małej posturze niczym śnieżnobiała leśna boginka w objęciach demona. Salome zmierzała ku żelaznym drzwiom, rzucając za siebie niecierpliwie spojrzenia; z półmroku panującego pod strzelistymi ścianami wyzierały wykrzywione obleśnymi grymasami twarze bałwanów i boginek, jakby ożywione lubieżnym duchem.

Dławiony furją Waleriusz z mieczem w dłoni rzucił się przez wielką nawę. Na ostrzegawczy krzyk Salome kapłan o czaszce obciążonej pożąłkłym pergaminem skóry odwrócił się, odepchnął Taramis i dobywszy z pochwy ociekający już krwią wielki nóż, skoczył naprzeciw nadbiegającemu młodzieńcowi.

Ale szlachtowanie ludzi oślepionych szatańskim ogniem miotanym przez Salome czym innym było niż walka z krzepkim, młodym Hyboryjczykiem, pałającym nienawiścią i wściekłością.

Zbrukany nóż uniósł się do ciosu, ale nim zdążył opaść, ostra klinga miecza świsnęła i garść dzierżąca mordercze narzędzie potoczyła się po ziemi, a z okaleczonego ramienia trysnęła fontanna krwi. Opanowany gorączką walki Waleriusz ciał raz za razem; miecz płałał ciało i gruchotał kości, dopóki martwy zewłok nie osunął się na posadzkę; podobna zasuszonej czaszce głowa potoczyła się w jedną stronę, a na poły rozrąbany tors w drugą.

Waleriusz, szybki i zwinny niczym leśny drapieżnik, obrócił się na pięcie, wypatrując Salome. I dojrzał ją: pochylona nad Taramis, ścisnęła w jednej ręce czarne loki siostry, drugą, uzbrojoną w sztylet, uniosła do ciosu. Lecz zaśpiewał miecz Waleriusza i pogrążył się w piersi wiedźmy z taką siłą, że wychynał na stopę pomiędzy jej łopatkami.

Z okropnym krzykiem opadła Salome na kolana i uchwyciła wysuwające się z jej piersi nagie ostrze, po czym legła, wstrząsana konwulsjami. Oczy jej miały wyraz nieludzki; z szatańską witalnością trzymała się życia uchodzącego przez ranę, która rozcięła na dwoje szkarłatny półksiężyc na alabastrowym gorsie. Zwijała się w agonii, gryząc i drapiąc pazurami nagie, kamienne płyty posadzki.

Zdjęty obrzydzeniem Waleriusz odwrócił wzrok i doskoczył do na poły omdlałej królowej, by ją wesprzeć ramieniem, a widząc jak jest słaba, chwycił ją na ręce; pozostawiwszy za plecami dogorywającą wiedźmę ruszył ku wyjściu. Na zewnątrz już, wyszedł przed portyk i stanął u szczytu schodów.

Plac roił się od ludzi. Niektórzy przybyli posłuszni ledwo zrozumiałym nawoływaniom Igvy; inni umknęli z murów, przerażeni widokiem orężnej hordy nadciągającej od strony pustyni, wiedzeni owczym pędem bieżąc na plac w środku miasta. Otępienie i rezygnacja ustąpiły miejsca podnieceniu; tłum falował i szemrał, pokrzykując i wygrażając pięściami; od strony murów dochodziły odgłosy miażdżenia drewna i gruchotanego kamienia.

Oddział groźnych i posępnych Shemitów napierał na tłum; byli to strażnicy północnych bram, śpieszący ku bramie południowej, by wesprzeć swych kamratów. Na widok młodzieńca na schodach trzymającego w ramionach bezwładną, nagą postać, ściągnęli wodze.

Głowy gawiedzi zwracały się w stronę świątyni; czerń ślepiła z otwartymi gębami, dziwując się nieoczekiwanemu widokowi, który pojawił się jakby ku podsyceniu narastającego wrzenia.

- Oto wasza królowa! - obwieścił gromko Waleriusz, ile tchu w piersiach starając się przekrzyczeć rejwach.

Ludzie odpowiedzieli okrzykami zdumienia; nie zrozumieli jego słów, on zaś na próżno usiłował podnieść głos powyżej ich gwaru.

Shemici zacięli konie i jęli przedzierać się ku schodom świątyni, płazując tłum włóczniami.

Wtem...

Za plecami Waleriusza, z półmroku świątynnej nawy wychynęła szczupła postać, odziana w biel zbroczoną szkarłatem. Ludzie wydali okrzyk przerażenia; w ramionach Waleriusza spoczywała niewiasta, w której rozpoznali swoją królową, a tu, w drzwiach świątyni słaniała się inna, będąca lustrzanym odbiciem tej pierwszej.

Ujrawszy zataczającą się wiedźmę Waleriusz poczuł, jak krew lodowacieje mu w żyłach; wszak jego miecz przeszył ją, rozdzierając serce. Powinna być martwa - takie są prawa natury. A jednak stała tam o własnych siłach, chwiejna, lecz ciągle żywa.

- Thaug! - krzyknęła zwracając się ku wrotom świątyni. - Thaug!

W odpowiedzi na owo przerażające wezwanie z wnętrza dobył się grzmiący piorunową mocą rechot, trzask miażdżonego drewna i zgrzyt dartego metalu.

- To jest królowa! - ryknął setnik Shemitów pochylając łuk. - Szyjcie w męża i niewiastę na schodach!

Ale pomruk rozdrażnionej sfory narastał wśród tłumu; ludzie w końcu odgadli prawdę, zrozumieli żywiołowe nawoływania Waleriusza i poznali, że zwisająca w jego ramionach kobieta to ich prawdziwa królowa. Z mrozącym krew w żyłach rykiem uderzyli na Shemitów, kłując i drąc pazurami, mordując gołorącz z desperacją zdradzającą długo tłumioną furję, która w końcu znalazła ujście.

Ponad kłębiącym się wirami ludzi i koni Salome zachwiała się i padła na marmurowe schody, martwa ostatecznie.

Strzały świstały dookoła Waleriusza uchodzącego pod osłonę kolumn portyku; młodzieniec chronił królową swym własnym ciałem. Tnąc na prawo i lewo, bezlitośnie szyjąc z łuków, konni Shemici walczyli z tłumem o własne życie. Waleriusz skoczył do drzwi świątyni i gdy już unosił stopę nad progiem, nagle zawrócił z okropnym krzykiem.

Z mroku panującego w odległym końcu nawy wychynął olbrzymi, czarny kształt – i ruszył na Waleriusza, posuwając się długimi, żabimi skokami. Młodzieniec dostrzegł błysk wielkich, nieziemskich ślepi, olbrzymie kły i zarysy szablitych pazurów; odskoczył od drzwi, a świst strzały koło ucha przypomniał mu, że śmierć czyha i za plecami.

Czterech czy pięciu Shemitów, wyrąbawszy sobie drogę przez tłum, wjeżdżało końmi na schody, mierząc weń z łuków. Uskoczył za kolumnę, a groty strzaskały się o kamień. Taramis dawno już omdlała, zwisała w jego ramionach jak martwa.

Nim Shemici zdążyli wypuścić następne strzały, wrota świątyni zatarasowało gigantyczne cielsko; najemnicy wydawszy przeraźliwy krzyk trwogi zawrócili konie i ogarnięci przerażeniem wcieli się w tłum; ten cofnął się w popłochu, a ludzie potykali się i przewracali, depcząc po ciałach leżących.

Ale potwór zdawał się widzieć tylko Waleriusza i królową. Przecisnąwszy swe potężne, galaretowate cielsko przez ościeże, rzucił się za młodzieńcem umykającym w dół po schodach. Waleriusz poczuł, jak t o piętrzy mu się za plecami - olbrzymia bestia, szpetna niczym wybryk natury wycięty z serca nocy; czarna, galaretowata masa, w której tylko ślepiące krwiożerczo oczy i potężne kły dawały się wyróżnić.

Wtem dał się słyszeć gwałtowny tętent kopyt i oddział Shemitów zalanych krwią i okrutnie posieczonych, wychynawszy od południa na plac, jął na ślepo przerażony się przez gawiedź; tuż po nich wpadła na plac grupa jeźdźców nawołujących się w znajomym języku, wywijających okrwawionymi mieczami - to powracali zbiegli na pustynię Khaurańczycy! Wraz z nimi cwałowało pięćdziesięciu czarnobrodych nomadów z potężnym wojownikiem w czarnej kolczudze na czele.

- Conan! - zawrzasnął Waleriusz. - C o n a n!

Olbrzym dostrzegł go i rzucił rozkaz; nie zwalniając biegu koni, pustynni jeźdźcy unieśli łuki, napięli cięciwy i wypuścili strzały; śmiercionośna chmura zaśpiewała ponad falującym morzem ludzkich głów i pograżyła się w cielsku potwora znacząc pierzastymi lotkami czarną, kostropatą skórę. Potwór stanął, zachwiał się i ryknął okropnie, a wyglądał jak czarna plama na tle białych kolumn portyku. Powtórnie napięli jeźdźcy cięciwy i kąśliwy rój pomknął do celu, i raz jeszcze... Potwór zachwiał się mocniej, paskudny rechot wydarł się z przepastnej gardzieli i bestia padła, tocząc się po schodach świątyni - martwa, tak jak wiedźma, która ją wywołała z otchłani minionych epok.

Conan ściągnął wodze i zeskoczył z konia przed portykiem.

Waleriusz złożył królową na marmurowe płyty i padł przy niej, wyczerpany do utraty tchu. Tłum zbliżył się ku nim, napierając; Cymmeryjczk odpędził gawiedź przekleństwem, klęknął przy leżącej niewieście i uniósłszy spowitą czarnymi lokami głowę, złożył ją na swym odzianym w czarną kolczugę ramieniu.

- Na Croma! Wszak to Taramis! Kim jest tedy tamta druga?

- Diablicą, która przybrała jej kształt - odparł Waleriusz.

Conan zaklął szpetnie; zerwał płaszcz z ramion najbliższego wojownika i okrył nim nagość królowej. Długie, czarne loki spływały na policzki leżącej; wtem powieki jej zadrżały i otworzyła oczy, spoglądając niedowierzająco na pokryte bliznami oblicze Cymmeryjczyka.

- Conanie! - Jej miękkie dłonie kurczowo objęły mocarne ramię. - Czy ja śnię? Ona powiedziała mi, że umarłeś.

- Nie ze szczętem - uśmiechnął się szeroko Cymmeryjczyk. - I nie śnisz, Wasza Wysokość. Znowus

jest królową Khauranu. Rozniosłem w puch Konstancjusza, tam, nad rzeką. Pierzchali jak tchórzliwe psy, ale nie donieśli życia do murów, jako że dałem rozkaz, by nie żywić jeńców - poza Konstancjuszem. Oddział strzegący miasta zatrzasnął nam bramę przed nosem, aleśmy ją wyłamali taranem rozhuśtanym z siodeł. Moje wilki zostawiłem za miastem - okrom tej pięćdziesiątki; nie ręczyłbym za ich zachowanie w obrębie murów, a Hyboryjczyków starczyło na tych, co bram pilnowali.

- O Isztar! Cóż to był za zły sen! - westchnęła królowa. - Och, mój biedny narodzie! Ty, Conanie, musisz dopomóc mi w wynagrodzeniu cierpień, jakich doznali - od dziś bądź mi zarówno kapitanem gwardii, jak i najmiłszym doradcą!

Conan zaśmiał się i pokręcił głową. Powstał i dopomógł unieść się królowej, po czym skinął na kilku khaurańskich konnych, którzy nie podążyli za uchodzącymi Shemitami; wojownicy zeskoczyli z siodeł, gotowi na rozkazy odnalezioną królowej.

- Nic z tego, Wasza Wysokość - kapitanowanie mam już za sobą. Jestem wodzem Zuagirów i muszę teraz poprowadzić ich na Turańczyków, tak, jakem im to przyobiecał. Waleriusz lepszym ci będzie kapitanem niż ja - i tak nie jestem stworzony do życia pomiędzy marmurowymi ścianami. Ale teraz opuścić cię muszę, by dokończyć to, com zaczął - są jeszcze żywi Shernici w mieście!

To rzekłszy, skinął Conan na czekającego opodał nomada, a ten podał mu konia; już w siodle, uniósł Cymmeryjczyk prawicę w pożegnalnym salucie, po czym ruszył z kopyta, a pięćdziesięciu łuczników podążyło za nim.

Taramis, wsparta na ramieniu Waleriusza, zwróciła się w stronę pałacu, zaś wiwatujący tłum rozstąpił się, tworząc szpaler sięgający aż po pałacowe odrzwia; królowa, wstąpiwszy weń, kroczyła ku swej siedzibie, gdy wtem towarzyszący jej Waleriusz poczuł, jak miękka dłoń wślizguje się w jego stwardniałą od rękojeści miecza prawicę i nim zdążył wymówić słowo, miał już w ramionach szczupłe ciało Igvy. Zmiażdżył ją w uścisku, a pocałunki z jej ust spijał z łapczywością strudzonego wojownika, co po licznych utrapieniach i orężnych potrzebach może wreszcie spocząć i napawać się spokojem.

Ale nie wszystkim pisana jest gonitwa za spokojem i odpoczynek; niektórzy przychodzą na świat zarażeni gorączką walki, z bitewnym zapalem we krwi - niestrudzeni siewcy przemocy i gwałtu, nie znający innej drogi...

Wschodziło słońce. Starożytny szlak karawanowy roił się od odzianych w białe szaty jeźdźców, rozciągniętych falującą linią od murów Khauranu aż po odległy punkt na równinie. Kawalkadę ową otwierał dosiadający wielkiego białego ogiera Conan Cymmeryjczyk; stanął oto przy wystającym z ziemi kawałku wystrzępionego bala; nie opodał osadzony był ciężki, drewniany krzyż, a wisiał na nim człowiek, przybity poprzez dłonie i stopy żelaznymi ćwiekami.

- Siedem miesięcy temu tyś tu stał, Konstancjuszu, a ja wisiałem na krzyżu - ozwał się Conan.

Konstancjusz nie odpowiedział; oblizwał tylko poszarzałe wargi, a oczy miał nieprzytomne z bólu i przerażenia; jego ciało było wyprężone, a mięśnie napięte niczym powrozy dźwigające wielki głaz.

- Lepszyś w zadawaniu tortur niżli ich znoszeniu - podjął spokojnie Cymmeryjczyk. - Wisiałem na krzyżu tak jak ty, a przeżyłem dzięki szczęśliwemu trafowi i barbarzyńskiej krzepie. Gdzież wam, ludziom cywilizowanym, równać się z nami! Wasz hart zasadza się na zdolności do zadawania męczarni, gdy zaś przyjdzie je znosić, siły wam nie staje; słabiście i słabo się życia trzymacie. Będiesz martwy, nim zajdzie słońce. Ostawiam cię tedy, Sokole Pustyni, w kompanii innych pustynnych ptaków. - Tu wskazał na sępy, zataczające kręgi wysoko ponad głową ukrzyżowanego.

Z ust Konstancjusza wyrwał się nieludzki ryk trwogi.

Conan ujął wodze i wierzchowiec posłusznie skierował się ku rzece, połyskującej niczym srebro w porannych promieniach słońca. W ślad za swym wodzem ruszyli kłusem biało odziani jeźdźcy; bez cienia nie znanej ludom pustyni litości ich obojętne spojrzenia omiatały posępną, wiszącą postać, odcinającą się czarną plamą na tle wstającego słońca. Końskie podkowy wystukiwały w pyle pustyni żałobnego marsza ukrzyżowanemu, a skrzydła głodnych sępów przecinały powietrze coraz niżej i niżej...

## PEŁZAJĄCY CIENÍ

(Przełożył: Łukasz Piother)

Wędrując na wschód, dotarł Conan do podnóża Gór Himeliańskich, ziem groźnych Afghulów. Przewodząc wyprawom wojennym jednego ze szczepów, snuł barbarzyńca plany utworzenia z rozrzuconych plemion jednej, niebezpiecznej dla najpotężniejszych siły, gdy jednak zamiary owe spaliły na panewce, powrócił do krain hyboryjskich i przyłączył się do rebelii, jaką był Almuric, książę Koth, wzniecił przeciw królowi Strabonusowi. Rebelianci zostali rozbici i po ucieczce przez Snem, Stygię i Kush ostatecznie wytepieni na skraju pustyni południowej...

# 1.

Rozedrgane fale żaru unosiły się nad pustynią. Conan Cymmeryjczyk, grzbietem ogromnej dłoni przeciągając po spieczonych wargach, wpatrywał się w przeraźliwą pustkę. Za cały strój mając przepaskę jedwabną, a na niej szeroki pas, sadzony złotymi guzami, u którego wisiały szablę i sztylet - stał jak posąg ze spiżu, nieczuły na groty palącego słońca. Potężne węzły mięśni ramion i nóg nosiły ślady świeżych ran.

Objąwszy ramieniem jego kolana, zwiesiwszy jasną główkę, siedziała skulona dziewczyna, a jej biała płeć odcinała się wyraźnie od brunatnych, ogorzałych członków ogromnego barbarzyńcy. Króciutka, przewiązana w talii jedwabna tunika bez rękawów, głęboko wycięta na piersiach - raczej obnażała, niżli ukrywała jej pięknie ukształcone ciało.

Conan targnął głową, jakby zamierzał strącić z oczu oślepiający blask. Podniósł do ucha skórzany bukłak, zawsze do jego pasa przytroczony, potrząsnął nim i - usłyszawszy nikły plusk - zacisnął potężne szczęki.

Dziewczyna drgnęła i zapłakała żałośnie.

- Pić, pić! O, Conanie! Nie ma już dla nas ratunku!

Cymmeryjczyk nic nie odrzekł, coś tylko burknął, złowrogim spojrzeniem omiatając pustynię. Spode łba patrzył, spod czarnej, zmierzwionej grzywy, a taka zaciętość paliła się w jego niebieskich oczach, jak gdyby pustynia była wrogiem z krwi i kości.

Pochyliwszy się, przytknął bukłak do warg dziewczyny.

- Masz, pij - nakazał - póki nie powiem dość. Piła małymi, zachłannymi łykami, aż w końcu z szyjki bukłaka spłynęła ostatnia kropla. Wówczas zrozumiała.

- Ach, Conanie! - załamała ręce - dlaczegoś mi na to pozwolił? Wypiłam wszystko, wszystko! Już nic dla ciebie nie zostało!

- Nie becz! - burknął - siły tracisz!

Wyprostował się, cisnął precz próżny bukłak.

- Dlaczegoś mi nie przerwał, dlaczego? - szlochała.

Nawet na nią nie spojrział. Stał wyniosły, milczący i nienawiść płonęła w jego wzroku utkwionym w tajemniczych, purpurowych mgłach ścielących się na horyzoncie. Powolnym ruchem ujmował rękojeść szabli.

Cymmeryjczyk już wiedział, że oto zbliża się do kresu swej wędrówki, ale przeciwko tej pewności buntowało się w nim namiętne, dzikie, barbarzyńskie umiłowanie życia. Nie do cna wyczerpany, czuł przecie, że jeszcze dzień pod tym morderczym słońcem - a padnie. Dziewczyna

była już zupełnie wycieńczona. Czyż nagły jak piorun, miłosierny cios nie jest lepszy od długiego konania? Czy pozwolić, by cierpiała okrutne męki pragnienia - nie na długo je przecież ugasiła - pozwolić jej cierpieć straszliwe katusze, zanim nie przyjdą maligna i śmierć? O, nie! To byłaby litość fałszywa! Cał po calu wysuwał z pochwy szablę.

Wtem znieruchomiał. Hen, w oddali, w południowej stronie pustyni, coś lśniło w rozpalonym powietrzu.

Przywidzenie, pomyślał ze złością, jeden z tych przeklętych miraży, którymi mami człeka pustynia. Przytknął dłoń do oczu, na wpół oślepytych od słońca - i zdało mu się, że widzi wieże, minarety, błyszczące mury. Patrzył nieufnie, czekając, kiedy miraż zblednie i rozwieje się w nicość. Natała przestała szlochać. Z wysiłkiem dźwignęła się na kolana i także wpatrywała się w migotliwe zjawisko.

- Cóż to takiego, Conanie? - szepnęła cicho, aby nie zbudzić nadziei. - Miasto czy złuda?

Cymmeryjczyk nie odpowiadał. Kilkakrotnie zamknął i podniósł powieki, to w bok spoglądał, to wprost na miasto - a ono nie znikало, nie ulatniało się, trwało.

- Licho wie! - mruknął. - Tak czy owak, upewnić się nam trzeba.

Wsunął szablę z powrotem do pochwy. Pochylił się i wziął Natalę na rękę z taką lekkością, jakby była niemowlęciem.

- Nie trudź się, Conanie - broniła się - podołam, puść mnie!

- Nie widzisz, ile tu kamieni - burknął gniewnie - toż byś na strzepy zdarła te swoje pantofelki! - wskazał ruchem głowy jej delikatne, seledynowe sandały. - A nam trza się spieszyć, żeby tam dojść przed zachodem.

Nadzieja na uratowanie życia wlała nowe siły w stalowe mięśnie Cymmeryjczyka. Brnął przez piaszczyste wydmy z takim wigorem, jakby dopiero co wyruszył w drogę. Człowiek cywilizowany dawno by ducha wyzionął, gdy on - barbarzyńca z barbarzyńców - nadal, niczym dziki kot, walczył o przetrwanie.

Conan i Natała cudem wynieśli głowy z pogromu armii księcia Almurica, owej rozpasanej, pstrej hordy, która ciągnąc tropem pobitego rebelianta, księcia Koth, przewaliła się z furią burzy piaskowej przez ziemie Shem i we krwi utopiła rubieże Stygii. Po czym - jeno już z władką stygijskim na karku - przedarła się przez mroczne dziedziny królestwa Kush i wreszcie, osaczona, została na skraju południowej pustyni wyrznięta do ostatniego człowieka. Niczym wartki strumień, który płynąc na południe, tracił obfitość swych wód, aby w końcu całkiem wsiąknąć w piach - tak kurczyły się szeregi tej armii awanturników, żołdaków najemnych, włóczykijów, a ich bielejące kości znaczyły drogę od wyżyn kotyjskich po pustynię południa.

Właśnie tam dokonana się rzeź. Drużyny Stygijczyków i Kushytów zwarły się jak zęby potrzasku i nie wypuściły już łupu ze śmiertelnego uścisku. Conan Cymmeryjczyk w ostatniej chwili dopadł



jakiegoś wielbłąda, porwał nań dziewczynę - i tym sposobem uniknęli okrutnego losu. Ale otwierała się przed nimi jedna tylko droga ucieczki - na martwą, straszną pustynię.

Natala pochodziła z Brythunii. Conan dostrzegł ją pewnego razu na targu niewolników, w jednym ze zdobytych przez hordy Almurica miast shemickich, a jako że bardzo przypadła mu do serca - przywłaszczył ją sobie, nikogo nie pytając o zdanie. Ona sama z radością przyjęła nowy obrót losu, cóż bowiem lepszego mogło ją czekać? Jeno seraj shemicki, a dla kobiet owej hyboryjskiej ery nic gorszego nad seraj shemicki nie istniało.

Natala i Conan przez wiele dni musieli uciekać w głąb pustyni, ponieważ sfera stygijskich jeźdźców ścigała ich z istic wilczą zajadłością. Gdy wreszcie poniechała pogoni, uciekinierom nie pozostała żadna inna droga prócz drogi przed siebie. Jechali przeto przed siebie, wypatrując wody, dopóki nie padł wielbłąd, ich wybawca. Dalej musieli iść pieszo, brnąc po kolana w gorących piaskach, cierpiąc okropne katusze. Dziewczyna, choć silna, obozowym życiem zahartowana do trudów jak mało która z kobiet tej twardej przeciw epoki - w końcu opadła z sił, mimo że niezmordowany barbarzyńca chronił ją, jak mógł.

Piekielny żar lał się z nieba na czarne, zmierzwione włosy Conana. Fale mdlącej mgły i mrocznego otępienia mózg mu zalewały, lecz on się nie poddawał i szedł, zaciskając zęby, dalej i dalej, wiedział już bowiem na pewno, że miasto rzeczywiste mieli przed sobą, nie miraż. Cóż ich tam czeka? Jacy nowi wrogowie? Jacy by nie byli - z ciała uczynieni będą, a ciało można przecie ubić w walce. Niczego więcej barbarzyńca nie czekał.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy stanęli pod wielką bramą, zanurzeni nareszcie w kojącym cieniu. Conan z ulgą rozprostował zbolące od dźwigania dziewczyny ramiona. Na jakieś trzydzieści stóp w górę wznosiły się zielonkawe mury, tak przedziwnie lśniące, jakby ze szkła były. Conan przebiegł wzrokiem blanki, lecz nie dojrzał nikogo. Krzyknął więc z całej mocy potężnych płuc - odpowiedziała mu cisza. Jął łomotać w bramę ręką szablą - i wzbudził jedynie głuche echo. Natala, strwożona martwą ciszą, drżała skulona, a tymczasem Conan, zniecierpliwiony daremnymi wysiłkami, całym swym ciężarem naparł na wrota - a one niespodzianie ustąpiły i bez jednego skrzypnięcia poczęły się otwierać. Barbarzyńca odskoczył, sprężysty jak puma - i z dobytą szablą zamarł, gotów do obrony. Dziewczyna krzyknęła.

Tuż za bramą człek jakiś leżał. Conan badawczo przypatrywał się ciału przez dobrą chwilę, po czym podniósł wzrok - i ujrzał przestronny dziedziniec, otoczony łukami arkad i budowlami lśniącymi - podobnie jak mury - zielonkawym światłem, zaś ponad nimi wznosiły się smukłe wieże minaretów i przysadziste kopuły. A nigdzie ani śladu życia. Pośrodku pustej przestrzeni stała czworoboczna studnia. Jej widok uradował barbarzyńcę, który gardło miał już wyschłe na wiór i język oblepiony szorstkim pyłem. Porwał Natalę za rękę, wciągnął na dziedziniec i zawarł ciężkie wrota.

- Żyje? - wyszeptała z trwogą, wskazując bezwładne ciało męża rosłej budowy i w sile męskich lat, nie różniącego się niczym prawie od przeciętnego człeka rasy hyboryjskiej, oprócz może skóry nieco bardziej żółtej i oczu nieco bardziej skośnych. Ubrany był w purpurową tunikę z jedwabiu, u boku miał krótki miecz w pochwie wysadzanej złotem, na nogach wysoko plecione sandały. Conan ostrożnie dotknął ciała. Zimne było, bez śladu życia.

- Nawet nie raniony - zdziwił się Cymmeryjczyk - a martwy jak Almuric, kiedy go Stygijczycy naszpikowali strzałami. No, ale dość o tym. Trup - nie trup, trza się nam napić. Na Croma! Osuszę tę studnię!

Nie było mu to dane. Lustro wody migotało dobrych czterdzieści stóp w dół, a żadnego naczynia, sznura żadnego nie było w pobliżu. Rozsierdził się barbarzyńca, że mając już wodę w zasięgu wzroku, dosięgnąć jej nie może. Rozglądał się gorączkowo, nie wiedząc, co począć w takim położeniu, gdy wtem dziewczyna krzyknęła przeraźliwie.

Ze wzniesionym mieczem, z furią w błędnych oczach, porywał się nań ów mąż, którego uznał za trupa. Tym razem wszelako Cymmeryjczyk nie tracił czasu na próżne deliberacje. Ryknął wojowniczo i ze świstem ciął szablą. Głowa napastnika uderzyła o kamienne płyty, struga krwi trysnęła z szyi niczym z gładko przeciętego pnia, ciało zatoczyło się i - wciąż wznosząc miecz - runęło.

- Martwyś wreszcie - warknął Conan - czyli jeszcze nie? A cóż to za przekłete miasto?!

Natala, z twarzą ukrytą w dłoniach, drżała jak listek osiki. Zerknęła wreszcie trwożliwie przez palce - i zajęczała z przerażenia.

- Zabiją nas, Conanie! Zabiją za to, coś uczynił!

- A cóżem miał uczynić? Czekać, aż mnie rozplata? - powiódł dokoła baczny spojrzeniem. W ciemnych arkadach nie dostrzegł żadnego ruchu, panowała cisza zupełna.

- Ani żywej duszy - mruknął uspokojony - ukryję go, a dobrze.

Za pas chwyciwszy dźwignął trupa, za długie włosy podniósł uciętą głowę - i tak, na poły niosąc, na poły wlokąc, szedł z nim ku studni.

- Nam się nie napić - zaśmiał się szyderczo - pijże ty!

Przerzucił ciało przez zrąb, ciskając za nim głowę. Po chwili z głębiny doleciał głuchy plusk.

- A krew, Conanie? Została krew - szepnęła dziewczyna.

- Więcej jej rozleję, gdy nie najdziem wody - z groźbą w głosie odrzekł barbarzyńca, który cierpliwością nigdy nie grzeszył, a tym mniej, gdy głodny był i spragniony. Dziewczyna ze strachu zapomniała o pragnieniu i głodzie, ale nie Conan.

- Pójdźmy tam, do pałacu. Jest tu chyba u licha ktoś żywy.

- O, Conanie! - objęła go mocno, drżąc na całym ciele - boję się, boję! To miasto duchów i trupów! Wracajmy na pustynię! Lepiej skonać od żaru niż od mocy nieczystych!

- Ano wrócimy na pustynię, wrócimy - burczał gniewnie - ale nie pierwej, aż nas na łeb na szyję zrzucą z tych murów. Muszę znaleźć wodę, choćby mi przyszło wszystkie głowy w tym mieście

postrzącać!

- A jeżeli im te głowy odrastają? - trzął się jej głos z przerażenia.

- Tedy będę je ścinał, póki całkiem nie odpadną - odparł chełpliwie. - Trzymaj się mnie i pod żadnym pozorem nie uciekaj, chyba, że tak każę.

- Dobrze, Conanie - szepnęła cichutko, śmiertelnie zalękniona, i szła za nim tuż, tuż, tak, że czuł ciepło jej oddechu na plecach oraz, ku swej irytacji, jej sandałki, deptające mu po piętach.

Zapadł już zmierzch, napełniając tajemnicze miasto purpurowymi cieniami. Przeszli przez arkadowe przejście i znaleźli się w wielkiej sali, której sufit, podłoga i ściany - pokryte tkaninami z aksamitu o fantastycznych wzorach, zaś górą obwiedzione złocistym fryzem - były z tego samego szklistego, zielonkawego kamienia co i mury miasta. Podłogę wyścielały puszyste skóry i rozrzucone w nieładzie poduszki z atlasu. Przez łukowate wejścia można było dojrzeć amfilady dalej położonych komnat. Przebyli ciekawie kilka z nich, podobnych do siebie jak krople wody. Nigdzie żywego ducha, a jednak Cymmeryjczyk rozglądał się podejrzliwie i coś do siebie pomrukiwał. Ani chybi był tu ktoś przed chwilą. Oto ta sofa - jeszcze ciepła. Na tej poduszce - ktoś niedawno siedział. W powietrzu unosi się słodka woń perfum - ktoś tędy przechodził.

Nierzeczywista aura spowijała pałac, wyśniony - zda się - w narkotycznym śnie. Jedne komnaty stały w zupełnych ciemnościach - te omijali - inne tonęły w łagodnej poświacie, płynącej z wnętrza drogich kamieni iskrzących się na ścianach. Kiedy tak szli, błędząc zdumionymi spojrzeniami po bajecznych wspaniałościach pałacu, Natalia nagle krzyknęła, kurczowo za ramię chwytając Conana. Szarpnął się i obrócił, wypatrując wroga.

- Co jest? - warknął, nie widząc nikogo. - Nie łap mnie nigdy za to ramię, bo ze skóry obedrę! Czemuś krzyczała?

- Spójrz! - wskazała drżącą ręką.

Cymmeryjczyk przełknął ślinę. Na błyszczącym hebanowym stole lśniła złota zastawa - naczynia pełne jadła i napoju. A w sali nikogo nie było.

- Uczta! - niemal westchnął barbarzyńca - prawdziwa uczta!

- Przecież jej nie tkniemy? - w głosie dziewczyny głód walczył z obawą - Bo jeśli ktoś nadejdzie...

- Lir an mannam mac lir! - bluznął Conan wszetecznymi słowy. Ułapił Natalę za kark i bez ceregieli pchnął na złoczone krzeselko, stojące u końca stołu. - Kiszki się w człeku skręcają, a ona się na drzwi ogląda! Jedzże.

Sam rozparł się w drugim końcu stołu, chwycił nefrytowy puchar, przechylił i opróżnił kilkoma wielkimi łykami. Dla jego gardła, wyschniętego na wiór, ów ostry napój, podobny nieco do czerwonego wina o nie znanym, egzotycznym smaku, był niczym nektar. Ugasiwszy pierwsze pragnienie z wilczym apetytem rzucił się na jadło, na owe mięsiwa pierwszy raz widziane,

wykrojone z jakichś obcych mu zwierząt, na owoce o kształtach przedziwnych. Dzbany, amfory, talerze - wszystko misternej, cudownej roboty, zasię sztucze były ze szczerego złota. Nie tknął ich wszelako Cymmeryjczyk, rwąc paluchami kawały mięsa, szarpiąc je silnymi zębami. Barbarzyńca nie należał zresztą nigdy do wykwinnych biesiadników. Maniery jego cywilizowanej towarzyszki były nieco bardziej okrzeseane, choć i ona pożywiała się bardzo pośpiesznie, z wielkim apetytem. W głowie pochłaniającego cudaczną strawę Conana błysnęło nagle podejrzenie, że przecież to wszystko może być zatrute - wnet jednak porzucił tę obawę, uznawszy, że lepiej od trucizny mrzeć niżli z głodu.

Gdy się już dobrze najadł i napił, rozsiadł się wygodnie i czknął z wielką ulgą. Zaiste, w tym opustoszałym pałacu muszą być jacyś ludzie, skoro jest świeże jadalno. Nie wiedzieć nawet, czy w każdym z tych mrocznych kątów nie czai się jakiś wróg. Ale czai się, czy nie czai - było Cymmeryjczykowi, ufającemu w swą moc, obojętne. Poczł senność i pomyślał, że dobrze by było wyciągnąć się na jednej z tych miękkich otoman i pospać sobie czas jakiś.

Natala, zaspokoiwszy pragnienie i głód, nie wyzbyła się wszelako swoich obaw. Ani myślała o drzemce. Wielkimi, przepięknymi oczyma wpatrywała się z napięciem w ciemne łuki arkad, za którymi czyhało niewiadome, nieznane, a silnie działające na jej wyobraźnię, bo mroczne, tajemnicze i milczące. Komnata zdała jej się nagle znacznie większa niż pierwej, stół znacznie dłuższy, zaś ona sama - znacznie bardziej oddalona od ponurego olbrzymia, niżby sobie tego życzyła. Poderwała się więc szybko, obiegła stół i przycupnęła na kolanie swego ogromnego opiekuna, trwożnym wzrokiem obrzucając komnatę i sąsiednie sale, z których jedne tonęły w miękkiej poświacie, zaś inne były zupełnie ciemne. W te właśnie patrzyła z największym napięciem.

- Chodźmy już, Conanie, chodźmy stąd! - błagała. - Czuję tu zło!

- Nie kracz! Nic się nam jakoś złego nie... - zaczął, gdy wtem coś zaszeleściło, a w tej ciszy był to szmer złowrogi. Conan porwał się, sprężysty jak pantera, dziewczyna jak piórko sfrunęła z jego kolan, a on już stał, z szablą dobytą, napięty, gotów na spotkanie z każdym wrogiem. Szmer nie powtórzył się już i Cymmeryjczyk, bezgłośnie niczym wielki kot, z głową w przód wysuniętą, wtuloną między potężne ramiona, skradał się w stronę, z której dobiegł ów dźwięk, a dziewczyna, skulona i drżąca, postępowała za nim.

Stanęli u progu sąsiedniej komnaty i barbarzyńca znieruchomiał niczym lew przed skokiem, zaś Natala, powolutku wysuwając głowę, z obawą wyzierała zza jego ramienia. Komnata tonęła w mroku, zaledwie rozproszonym słabą poświatą, wpadającą z sali, w której miała miejsce ich suta uczta. Na podwyższeniu, podobnym do skrzyni lub sarkofagu, wyciągnięty na plecach, skąpany w bladym świetle, leżał ktoś, przypominający do złudzenia owego męża, którego Conan wrzucił do studni, tyle że ten leżący ubrany był z większym przepychem: cały obsypany drogimi kamieniami wprost iskrzył się jak brylant. Nie można było rozpoznać, czy tylko śpi, czy pogrążony jest w śnie wiecznym. Znów dał się słyszeć złowróżbny szmer, jakby ktoś odsunął zasłonę. Niczym sprężyna odskoczył Conan, przyciągnął dziewczynę do siebie i dłonią swą potężną zamknął jej usta, a ostatnia była pora po temu.

Stamtąd, gdzie stali, nie było już widać podwyższenia z wyciągniętym nań ludzkim ciałem, jedynie na ścianie komnaty rysował się jego mroczny cień. I oto zbliżał się doń z wolna inny, bezkształtny,

olbrzymi cień i sunął po ścianie taki czarny, tak straszny, że nawet Cymmeryjczyk zmartwiał. Nie był to bowiem cień ludzkiej istoty i nie był to cień żadnego zwierza. Takiego cienia nie widział jeszcze w swym życiu, przeto ciekawość - silniejsza w nim od strachu - popychała olbrzyma naprzód i tylko instynkt jakiś w miejscu go hamował. Natała, z szeroko otwartymi, znieruchomiałymi jak ptak w obliczu węża źrenicami, oddychała gwałtownie - i w grobowej ciszy słyhać było jedynie ów spazmatyczny oddech. Ciężki jak czarna chmura cień już ogarnął człowieka i łoże i przez chwilę bez ruchu piętrzył się na ścianie, po czym spełził powoli i leniwie. Ujrzeni znowu cień łoża. Łoże zaś było puste.

Konwulsyjne wstrząsy, pierwsze oznaki napadu hysterii poczęły przebiegać przez ciało dziewczyny, Conan tedy - aby ją przywieść do opamiętania - zmuszony był użyć swej dłoni. Czuł przecie i sam lodowate zimno w żyłach. Nic na świecie nie mogło go przerazić, nic nie zdołało przejąć trwogą nieustraszonego serca, bijącego w tej potężnej piersi - ale przecież to, co ujrzał, nie pochodziło chyba z tego świata.

Przemożna ciekawość zwyciężyła wszakże odrętwienie i Cymmeryjczyk - nie bacząc na nic, gotów na wszystko - wkroczył do mrocznej komnaty, zwarty w sobie jak tygrys. Ziała pustką. I puste stało podwyższenie, obite jedwabną materią, w którą wsiąkała właśnie kropla krwi, mieniąc się jak drogocenny kamień. Ujrzała ją Natała i krzyknęła z trwogi, co Conan jej wybaczył, bo i on poczuł na gardle lodowaty uścisk grozy. A więc spoczywał tu człowiek, a potem nadsięgnęło coś straszego i ów człowiek zniknął. Ale cóż go porwało, co go uniosło, jakież to siły nieziemskie czają się w tajemniczych zakątkach mrocznego pałacu?

Barbarzyńca ujął dziewczynę za rękę, zdecydowany opuścić tę okropną salę - i zamarł. Z daleka, od strony, z której nadeszli, dał się słyszeć cichy odgłos kroków, rozmnożony tysiącrotnym echem. Ktoś zbliżał się bez wątpienia, a szedł zapewne boso lub w bardzo delikatnym obuwiu. Cymmeryjczyk, czujny jak wilk, natychmiast uskoczył w bok i pociągnął za sobą dziewczynę, licząc na to, że zdołają wydostać się na dziedziniec nie tą drogą, którą tu przybyli, lecz poprzez inne sale, unikając w ten sposób spotkania z tym, kto nadchodził - kimkolwiek był.

Nie zdążyli jednak przebiec pierwszej komnaty, kiedy rozchylana jedwabna zasłona zaszumiła tuż za ich plecami. Wysoki mąż patrzył wprost na nich.

Nie różnił się niemal niczym od zmartwychwstałego trupa, wrzuconego do studni, i od nieszczęśnika, porwanego przez cień. Takoz krzepki, w szacie purpurowej, przepasany suto sadzonym klejnotami pasem. W oczach o barwie prześwietlonego słońcem bursztynu, sennych jak oczy lotofagów, nie miał ani krzty ciekawości, ani błysku wrogości. U jego boku wisiał krótki miecz, ale mąż ów do rękoności nawet dłoni nie zbliżył, stojąc bez ruchu, jakby w nieziemskim roztargnieniu. Panowała cisza jak makiem zasiał, przerwana wreszcie przez nieznanomego, który począł mówić. A mówił głosem tak sennym i obojętnym, jakby zaczarowany odpowiadał na pytanie, które go nic nie obchodzi. Mówił w języku, jakiego nie znali.

Cymmeryjczyk wypowiedział kilka stygijskich słów - i po stygijsku ozwał się ów mąż.

- Kimże jesteście?

- Jestem Conan Cymmeryjczyk - odparł dumnie barbarzyńca. - A ta dziewczka pochodzi z Brythunii, na imię jej Natalia. Powiedz nam, jak się zowie to miasto?

Nieznajomy milczał przez dobrą chwilę, a jego senne, jakby rozmodlone spojrzenie spoczęło na dziewczynie. I zapłonęła w nim namiętność.

- O ty, ze wszystkich zjaw, jakie widziały me oczy, tyś najpiękniejsza, najdziwniejsza zjawa! Dziewico złocistowłosa, z jakichże łądów rozmarzonych tutaj przybywasz? Z Andarry czy z Tothry, a może z Kuth, usianego srebrnymi gwiazdami?

- Co? - zdenerwował się Conan, który słuchać próżnych wyrazów nie lubił.

Nieznajomy nie zwrócił nań żadnej uwagi i głosem pełnym zachwytu tak mówił:

- Prawdziwie, śniłem już piękności piękniejsze od ciebie, o zjawo cudowna, śniłem dziewice smukłe niczym gazele, śniłem panny o włosach tak ciemnych jak niezgłębione tajemnice nocy. Ale twa skóra biała jako mleko mlecznej drogi, oczy przejrzyste jak pogodny poranek, a tyś cała słodka i powabu pełna niczym nektar z najśodszych kwiatów! Pójdź za mną, wejdziemy do mego łoża, miękkiego jako puch łabędzi, o najpiękniejsza z wyśnionych!

Lekkim, bezszelestnym krokiem podszedł do Natali i wyciągnął do niej rękę, na którą spadł w tejże chwili miazdzący cios pięści Conana. Ramię nieznajomego opadło, zachwiał się i ze zdumienia zamglily się jego oczy.

- A cóż to znowu! Zjawa śmie rękę podnosić? - zawołał. - Zjawo niegodna! Zejdź z mych oczu! Przepadnij! Idź precz! Rozkazuję ci - zniknij!

- Raczej łeb ci strącę niż zniknę! - syknął wściekle Cymmeryjczyk, a już szabla łyskała w jego garści. - Tak obcych witacie? Na Croma! Krew na te poduszeczki!

Senne zamroczenie w oczach nieznajomego ustąpiło miejsca wyrazowi niebywałego zdumienia, graniczącego z olśnieniem.

- Na Thoga! - krzyknął. - Tyś przecie żyw! Naprawdę żyw! Kim wy jesteście? Skąd przybywacie do Xuthalu?

- Z pustyniśmy przyszli - ponuro wyjaśnił Conan. - Ledwo żywi i głodni jak wilki wstąpiliśmy do tego miasta o zachodzie słońca, szukając kęsa stawy - i oto nachodzimy stół suto zastawiony, jeno bez biesiadników, tedyśmy siedli i zaspokoili pragnienie i głód, chociaż zapłacić nie mamy czym. W moim kraju gość zawdy pożywi się bez zapłaty, kiedy zgłodniały przybędzie i o strawę poprosi, ale tutaj inaczej jest pewnie, skoroście tak cywilizowani! Przybyliśmy z pustyni, nie uczyniliśmy nikomu żadnej krzywdy i na pustynię pragniemy odejść, by nigdy tu nie wracać więcej, bo - na Croma! - nie podoba mi się miasto, w którym trupy powstają z podniesionym mieczem, a śpiących jakiś diabelski cień połyka!

Ostatnie słowa Conana wywarły na nieznajomym piorunujące wrażenie. Jego twarz pożółkła w okamgnieniu.

- Coś rzekł? Ciebie poły...

- Ciebie to był czy nie cień, nie wiem - Cymmeryjczyk miał się na baczości. - Coś, co przychodzi, po czym odchodzi, a z człeka ostaje się jeno kropla krwi.

- Coście widzieli? Coście widzieli? - tamten trzął się i głos mu się łamał.

- Otośmy widzieli kogoś leżącego na wysokiej skrzyni - zaczął Conan - po czym zstąpił nań wielki cień, a kiedy szczeł...

Nieznajomy nie słuchał. Wrzasnął przeraźliwie i rzucił się do panicznej ucieczki, uderzając w gwałtownym skręcie o ścianę. Zachwiał się, lecz wnet odzyskał równowagę – i pomknął co sił w nogach amfiladą komnat, straszliwie rycząc. Conan stał jak wryty, a dziewczyna, drżąca, rozdygotana, wczepiła się w jego ramię. Krzyk nieznajomego niósł się coraz dalej i dalej, powtarzany echem, odbitym od sklepień niezliczonych sal. W pewnym momencie przerodził się w jakiś straszny skowyt - i wszystko ucichło.

- Na Croma! - Conan drżącą ręką otarł pot z czoła. - Opętane to chyba miasto! Uchodźmy stąd co prędzej!

- Zmory! Zmory! Upiory, same upiory! - skamlała dziewczyna. - Zgubieni jesteśmy, zgubieni! Otośmy już w Piekło! Tak, to jest Piekło! My umarliśmy, tam, na pustyni! A to są nasze duchy! Duchyyyy!

Krzyczała rozdzierająco, więc barbarzyńca swą ciężką łapą trzepnął ją w pośladek. Wrzasnęła tym doniosłej.

- Toż duchy się tak nie drą! - zauważył Cymmeryjczyk, któremu nie brakowało poczucia humoru. - Żyjemy, przecie słyszę. Ale jeśli będziem tu stać - możemy skonu doczekać. Ruszajmy!

Nie zdołali przebyć jednej nawet komnaty, gdy nowy jakiś dźwięk kazał się im zatrzymać. Znow ktoś nadchodził. Ktoś - albo coś. Drgnęły nozdrza barbarzyńcy, zwęziły się jego źrenice - zwietrzył delikatny zapach perfum, ten sam, który unosił się w pierwszej komnacie, do jakiej weszli. Pod łukiem arkady pojawiła się jakaś postać. Cymmeryjczyk chrząknął, skonfundowany, a Natalia ze zdumienia aż usta otworzyła.

Z wyrazem wielkiego zdziwienia w czarnych, zmysłowych, tajemniczych oczach, ocienionych długimi rzęsami, patrzyła na nich smukła, cudownie kształtna dziewczyna. Za cały strój miała wąską przepaskę na biodrach, połyskującą klejnotami. Ciężka fala kruczoczarnych włosów podkreślała biel alabastrowego ciała. Jej olśniewająca piękność wprost zapierała dech. Barbarzyńca stał zauroczony. Jeszcze nigdy nie widział takiej dziewczyny. Owal jej twarzy przypominał twarze kobiet stygijskich, ale one nie miały tak niebiańsko alabastrowej cery.

- Kimże wy jesteście? - zapytała po stygijsku, a głos miała głęboki, melodyjny. - Kimże jesteście? Czyście z nieba spadli?

- A tyś kto? - szorstko zapytał barbarzyńca, który nie lubił, by mu stawiano zbyt wiele pytań.

- Na imię mi Thalís - odrzekła. - A pochodzę ze Stygii. Powiedzcie mi wszakże, jakie losy sprowadziły was do tego miasta. Przecież to istne szaleństwo, aby tu z własnej woli przybywać.

- Rzekłaś: istne szaleństwo! - warknął Cymmeryjczyk. - To cośmy tu ujrzeli - to istne szaleństwo! Przybyliśmy do tego miasta dzisiaj o zachodzie słońca, zgłodniali i spragnieni, ledwo żywi. I oto już w bramie leży jakiś trup, nacierający na mnie po chwili z obnażonym mieczem. Wstępujemy do tego pałacu, w którym nie widać ani żywego ducha, a przecie stoi stół, uginający się od jadła. Po czym widzimy śpiącego mężczyznę, który znika, jak gdyby porwał go cień... - Cymmeryjczyk, bacznie przyglądając się dziewczynie, spostrzegł, że zbladła, o ile śnieżna biel może bardziej zblednąć - ... jak gdyby porwał go cień, a potem...

- A cóż potem? - Stygijka najwyraźniej opanowała strach. - Cóż potem? Mówże! Czekam!

- Hm, czekam i ja. Czekam, kiedy rzucisz się do ucieczki, wrzeszcząc jakby cię ze skóry obdzierali. Gdym rzekł to, co tobie rzekłem, mężowi w purpurowej szacie, umknął niczym królik, a krzyczał jak lew.

- Ach, więc to on tak krzyczał! - wzruszyła śnieżnymi ramionami. - Głupiec! Czyż nie wiedział, że nie umknąć nikomu od pisanego mu losu? Thog znajdzie ciebie, gdy się wypełni twój czas.

- Jakiż znowu Thog? - zapytał Conan, z nutą niepewności w głosie.

Powiodła po jego ciele takim badawczym, bezwstydnym spojrzeniem, aż ciemny rumieniec wypłynął na policzki Natali, a jej perłowe ząbki zagryzły ze złości dolną wargę.

- Siądźmy na tej sofie - zaproponowała Thalís - a opowiem ci wszystko. Wszelako najpierw wy powiedzcie mi wasze imiona.

- Jam jest Conan Cymmeryjczyk - odparł barbarzyńca - a to Natała z Brythunii. - Ani myślę na sofie siadać i czekać, aż cień jaki w kark mnie ukąsi.

Roześmiała się dźwięcznie i z lubieżną gracją wyciągnęła smukłe ciało na miękkiej otomanie.

- Otóż wiedzcie - rzekła z udanym spokojem w głosie - że nikt nie umknie przed Thogiem. To próżny trud. Ów, który tak uciekał, nie umknął przed swym losem. Słyszałeś przecie jego ostatni skowyt?

Conan mruknął coś niezrozumiale i przysiadł na brzegu sofy, ale szablę w pogotowiu trzymał na kolanach. Tuż obok niego przycupnęła Natała, podkuliwszy nogi. Z niechęcią patrzyła na piękną Thalís, czując się przy niej mała i brzydka, a nie uszły również jej uwagi płonące żądzą spojrzenia, jakimi tamta obrzucała spod cienistych powiek ogorzałe członki barbarzyńcy.

- Cóż to za miasto? - pytał Cymmeryjczyk. - Co za obyczaje panują tu szalone?

- Miasto zwie się Xuthal i bardzo jest stare. Jego historia sięga niepamiętnych czasów, kiedy to



lud, przez tę pustynię wędrujący, napotkał w tym miejscu oazę i tu pozostał, ale kiedy to było - nie pamięta nikt.

- Nikt - tedy są w tym pałacu, co zda się stać pustką, jacyś mieszkańcy?

- Niezbyt wielu, a przecież więcej, niżbyś mógł przypuszczać. Xuthal jest miastem, ale zarazem jednym pałacem, wszystkie bowiem budowle w obrębie murów połączone są między sobą tysiącem przejść, więc moglibyście godzinami całymi, całymi dniami wędrować przez te izby - a nie wyszlibyście z pałacu i nie spotkali żywego ducha. A innym znów razem ujrzałbyś setki ludzi.

- Jakże to? - fuknął Conan, bo dość już miał owych czarów.

- Trzeba wam wiedzieć, że mieszkańcy tego miasta przeważnie śpią, na snach upływa im życie, snach równie prawdziwych - dla nich w każdym razie - co jawa, a może bardziej jeszcze rzeczywistych? Słyszałeś o czarnym lotosie? To roślina, co sprowadza śmierć. Przodkowie Xuthalczyków nauczyli się wszakże tak sporządzać jej sok, by sprowadzała nie śmierć, lecz sny, sny fantastyczne, cudowne - i od tamtej pory żyją jedynie w owych snach. Budzą się niekiedy - jedzą, piją, kochają się - i znowu wracają w te swoje sny, pozostawiając nie tknięte uczty, zastawione stoły. Trafiliście zapewne na taką właśnie ucztę.

- A co oni jedzą? - przerwał jej Conan. - Anim pół tu nie widział, ani winnic. Gdzież są ich sady, ich obory?

- Och, to są mędrcy, a raczej ich przodkowie prawdziwymi byli mędrkami. Sporządzają pożywienie z prostych elementów, czerpiąc wprost ze słońca, wody i powietrza. Umieli tworzyć doprawdy z niczego, dopóki nie wpadli w nałóg snów lotosowych. Na szczęście zanim to nastąpiło, zbudowali pośrodku pustyni to wspaniałe miasto. Czyście zauważyli owe świecące klejnoty? Dość taki kamień potrzeć palcem, by zaczął świecić. Dość potrzeć w przeciwnym kierunku, by zgasł. A to jedynie szczątek ich starodawnej mądrości, która niemal wszystka poszła w zapomnienie. Po cóż im zresztą mądrość, skoro śpią i śpią, a sen ich podobny jest śmierci.

- Więc i ów przy bramie - zapytał Cymmeryjczyk - jeno spał?

- Ależ tak, bez wątplenia! Człek pogrążony w lotosowym śnie jest niczym umarły. Ciała spoczywają jakby martwe, a tymczasem dusze wędrują po egzotycznych gościńcach sennych rojeń. Ów nieszczęśnik u bramy był wartownikiem - otóż widzicie, jak oni wypełniają swe obowiązki! - panuje bowiem z dawien dawna obyczaj, który każe trzymać wartę u bram, choć jeszcze nigdy od czasu założenia miasta nie przedostał się tu przez pustynię żaden wróg. Trzymają więc wartę u bram, a raczej śpią pod bramami.

- A gdzież owe setki, o których mówiłaś? - dopytywał się Conan. - Gdzież owi ludzie?

- Śpią - rzekła - śpią na sofach, na jedwabnych otomanach, na futrach puszystych, na poduszkach z atlasu, śpią z rękami skrzyżowanymi na piersiach, nieruchomi pod lśniącymi welonami snu.

Barbarzyńca wzdrygnął się, pomyślawszy, że oto setki ciał leżą wokół niego bez ruchu i szeroko

otwartymi, szklistymi oczyma wpatrują się w sufity komnat bogato zdobionych, spowitych w ciszę i mrok.

- A powiedz mi, cóż to za cień porwał jednego z nich?

Wyraz grozy pojawił się na pięknym obliczu Stygijski.

- To był Thog, starożytny bóg, który mieszka głęboko pod ziemią. Nikt nie wie, czy przybył wraz z pierwszymi ludźmi, czy już był tutaj, gdy oni zakładali miasto. Od wieków mieszkańcy Xuthalu czczą go jako boga. Większość czasu śpi gdzieś w otchłani, ale gdy głód poczuje - budzi się i tajemnymi korytarzami wychodzi na żer. O, wówczas biada tym, których napotka na drodze!

Natala aż jęknęła z przerażenia i objęła Conana za szyję z taką siłą, jakby już teraz stawiała opór wszelkim przyszłym zakusom oderwania jej od olbrzymiego barbarzyńcy.

- Na Croma! - zaklął osłupiały Cymmeryjczyk - jakże to? Więc oni leżą pośnięci jak barany, gdy ich ten demon pożera?

- Odmówiłbyś bogu należnej mu ofiary? W Stygii ludzie składali obiatę na ołtarzu najwyższego kapłana i tam również nikt nie był pewien dnia ani godziny. Więc czy to kapłan składa bogu ofiarę, czyli sam bóg po nią przychodzi - czyż nie wszystko jedno?

- O! - wykrzyknął z gniewem barbarzyńca. - U nas się takich ofiar nie składa! Na Croma! Chciałbym ujrzeć kapłana, co by się ośmielił złożyć w ofierze choćby jednego Cymmeryjczyka! Krew by się poląła, ale krew kapłana!

- Tyś barbarzyńca! - roześmiała się Thalís - prawdziwy barbarzyńca! Ale Thog to bardzo stary bóg, krwawy, zwyczajny ofiar bóg, nie zapominaj o tym!

- A cóż to za naród - mrucał z gniewem Conan - żeby leżeć i spać, gdy się wie, że zbudzić się można w brzuchu potwora!

- Taki już ich żywot - uśmiechnęła się Thalís. - Od niepamiętnych czasów żywił się nimi Thog. Niegdyś były ich tysiące, dziś są jeno setki. Jeszcze kilka pokoleń i wszyscy zostaną zjedzeni, zaś Thog będzie musiał poszukać innego żeru albo zstąpić do otchłani, skąd się był wyłonił.

- Xuthalczyki wiedzą, jaki koniec im pisany, ale nie myślą o ucieczce, a tym mniej o walce, albowiem już dawno pogodzili się z losem. Dacie wiarę, że od kilku pokoleń nikt z nich nie oddalił się od murów na tyle, by stracić je z oczu? Wiem ze starożytnych map pergaminowych, rysowanych przez ich przodków, że o dzień drogi stąd w kierunku południowym znajduje się oaza, a o dzień następny - zielone, bujne łąki. Już od trzech pokoleń nie był tam nikt z Xuthalczyków. Oni są niczym mimozy, zgubiły ich lotosowe sny. Mają złociste wino o cudownych właściwościach, które goi rany, a nawet zdolne jest wlać świeży ogień w żyły najbardziej znudzonego rozpustnika - więc raczą się owym winem i śpią.

- A przecie, pomimo całego otępienia, owi ospalcy kurczowo czepiają się życia, jakeście się o tym mogli przekonać; a ja widywałam nie jednego opętanego trwogą Xuthalczyka, a całe miasto szalejące

z przerażenia na wieść o tym, że Thog wyszedł z podziemi. Ludzie miotali się na wsze strony, rwali włosy z głów, wreszcie uciekli za mury, aby wybrać ofiarę. Ciągnęli losy i ów, na którego padło, bywał krępowany i podrzucany do jednej z komnat, aby Thog mógł nasycić swą chuć i swój głód.

- Uciekajmy stąd! Uciekajmy! - płakała Natalia. - Uciekajmy czym prędzej!

- Ścichnij! Jeszcze nie czas! - warknął Conan, pochłaniając ognistym spojrzeniem białe jako kość słoniowa ciało pięknej Thalís.

- A powiedz no, cóż ty, Stygijka, robisz w tym mieście?

- Dziewczęciem tu przybyłam - odpowiedziała, przeciągając się lubieżnie i z tyłu głowy splatając dłonie. - Królewską jestem córą, a poznać to możesz po mej skórze, białej jako skóra owej dziewczki. Z ojcowskiego domu uprowadził mnie pewien zbuntowany książę, który wraz z bandą kushyckich łuczników, szukając ziemi, gdzie własne królestwo mógłby założyć - zapuścił się na południową pustynię. Po jakimś czasie on sam i wszyscy jego ludzie pomarli z wyczerpania. Życie zawdzięczam jednemu z łuczników, który - zanim ducha wyzionął - posadził mnie na grzbiecie wielbłąda, a owo pocziwe zwierzę przyniosło mnie, omdlałą i półżywą, do tego miasta. Opowiadali mi potem, jak to pewnego ranka dostrzegli z murów leżącą obok martwego wielbłąda dziewczynę, jak to przynieśli do miasta i napiili złotym winem. Wówczas ożyłam.

- Nie znałam ich mowy, przeto oni nauczyli się mojej, a że są wielce pojętni, nauczyli się jej bardzo prędko. Szczególnie mężczyźni celowali w tej nauce. Och, nie dlatego, że tak pragnęli poznać słowa mego języka! Wiedźcie, że dla mnie jednej mężczyźni z tego miasta gotowi porzucić lotosowe mrzonki.

Roześmiała się bezwstydnie, zalotnym spojrzeniem spod ciemnych rzęs kusząc Cymmeryjczyka.

- Ich niewiasty są śmiertelnie o mnie zazdrosne, a - uwierz mi - niebrzydkie są one, mają jeno ów żółtawy odcień skóry i tak samo jak mężczyźni rozespiane oczy. Ci zresztą nie tyle dla mej urody pożądają mnie, ile dlatego, że zbudowana z ciała i krwi. Nie jestem senną zjawą. Zapadałam i ja w sny lotosowe, ale przecie pozostała kobietą, żywą kobietą i nie równać się ze mną owym krowiookim, żółtoskórym lunatyczkom!

- Oni mają tak straszną oskomę na rzeczywiste ciała, że najlepiej uczynisz zabijając tę dziewczkę, zanim wpadnie w ich łapy, bowiem powiadam ci, że lubieżnej żądzy tych rozpustników ona nie zniesie, zbyt krucha jest na to. Jam nie ukończyła jeszcze lat piętnastu, gdy w świątyni ponurej bogini Derketo przeszłam przez orgie misteriów, choć przyznać muszę, iż kapłanki tej bogini nie były aż tak pełne pomysłów jak Xuthalczycy. Zboreźnicy owi żyją jedynie dla rozkoszy zmysłów.

- Obrzydliwość! - Cymmeryjczyk splunął pogardliwie.

- Och, to rzecz gustu! - uśmiechnęła się Thalís, spuszczaając powieki.

- No, na nas pora - dźwignął się Conan - po próżnicy tracimy czas. Czekać, aż się obudzą owi paskudnicy lub zjawi się Thog - nie będziemy. Widzi mi się, że gościnniejsza jest pustynia niżeli to

miasto.

Natala nie mówiła po stygijsku, lecz dobrze rozumiała ten język, przeto w czasie opowiadania Thalís na przemian drżała, truchlała, czerwieniła się i bladła, zaś teraz ochoczo zerwała się z miejsca, gotowa i chętna do podróży.

- Wskaż nam drogę, byśmy mogli opuścić ten pałac na zawsze - rzekł Conan, ale oczy jego kłam zadawały słowom, błędząc z lubością po ramionach i piersiach pięknej Thalís, sklepionych niczym kopuły z kości słoniowej.

Nie uszło to jej uwadze, uśmiechnęła się bowiem tajemniczo, podnosząc się z otomany z leniwym wdziękiem perskiego kota.

- Pójdźcie za mną. - Pięknie toczonym ramieniem wskazała drogę, a sama ruszyła przodem, czując na sobie pożądliwy wzrok barbarzyńcy. Szli przez obce im sale, lecz nim w sercu Conana zrodziło się jakiegokolwiek podejrzenie Thalís przystanęła w małej, wykładanej kością słoniową komnacie, pośrodku której szemrała fontanna.

- Może obmyjesz twarzyczkę, duszko? - zwróciła się do Natali. - Jest cała w kurzu i masz piasek we włosach.

Biedna dziewczyna oblała się gorącym rumieńcem, dotknięta do żywego tonem wyższości i drwiny, wyraźnie brzmiącym w głosie Stygijki. Jej rada nie była wszelako zła, choćby intencje złe były, jako że słońce i piasek zostawiły istotnie swe ślady na delikatnej jak różany płatek cerze, chlubie wszystkich kobiet z Brythunii, słynących z bieli i gładkości swej skóry. Natala uklękła przy fontannie i długie, jasne włosy odrzuciła na plecy.

- Na Croma! - zzywał się Cymmeryjczyk - niewiasta zawsze niewiastą pozostanie! Thog nie Thog, ona zawsze pamięta o zwierciadle. Przecież zakurzysz się, ledwie dwa kroki za mury wyjdziemy! Dasz coś do jedzenia i picia? - zwrócił się do Thalís.

Miast odpowiedzi ona przywarła doń całym ciałem, opasując jego biodra ramieniem. Czuł jej gładką skórę, a upajający zapach włosów drażnił nozdrza.

- A po cóż tobie iść na pustynię? - szeptała gorąco. - Ze mną zostań! Ja nauczę ciebie rozkoszy, wyjawię ci wszystkie tajemnice Xuthalu! Tyś prawdziwym mężczyzną, innym niż tamci senni marzyciele. A jam spragniona ziemskiej namiętności. Ciebie pragnę! Moje serce drży z rozkoszy w blasku twych płonących oczu, twoje potężne ramię sprawia, że mdleję!

- Ze mną zostań! Uczynię cię królem Xuthalu! Zarzuciła ramiona na szyję barbarzyńcy i na palce się wspinając przylgnęła do jego ciała swym gorącym, nagim ciałem. A on tymczasem ujrzał ponad alabastrowym ramieniem Stygijki przyglądającą się im szeroko otwartymi oczyma niebywale zdumioną Natalę. Cymmeryjczyk chrząknął zasromany i jednym ruchem potężnego ramienia na bok odsunął czarnowłosą piękność. Ta podniosła nań oczy, zerknęła na Natalę - i tajemniczy uśmiech przemknął przez jej wargi.

Oczy Natali płonęły, usta zaciskały się gniewnie. Conan mamrotał coś pod nosem. Nie był z natury wierniejszy w miłości od pierwszego lepszego żołdaka w najemnej armii, ale tliła się w nim pewna przyrodzona wstydlivość - najpewniejsza sojuszniczka Natali.

Thalis wzruszyła ramionami, obróciła się na pięcie i prędkim krokiem podeszła do ściany, na której wisiał gobelin. Zdało się Cymmeryjczykowi, że jest czymś przełknięm. Czyżby poczuła obecność owego potwora, buszującego w mrocznych salach pałacu?

- Stało się co? - zapytał. - Czyś co usłyszała?

- Spójrz tam! - wyciągnęła śnieżnobiałe ramię.

Conan obrócił się, szybki jak błyskawica, w obrocie dobywając szabli. Nie ujrzał nikogo. Nagle jakby westchnienie, szelest i szum posłyszał za swymi plecami. Obrócił się więc na powrót, sprężysty jak żbik, w stronę fontanny. Natalia i Thalis zniknęły. Pionowa fałda spłynęła jak fala po gobelinie, jak gdyby ktoś od ściany odchylił przed chwilą jego krawędź - spłynęła i gobelin wygładził się, i nic już nie mąciło ciszy. Cymmeryjczyk stał osłupiały. Wtem zmartwiał. Zza ściany dobiegał stłumiony krzyk Natali.

## 2.

Stała tuż za Conanem, gdy ten się obrócił - i w tejże chwili zwinna Stygijka, sprężysta niczym pantera, jedną ręką zamknęła jej usta, drugą chwyciła Natalę w pól i z niebywałą siłą porwała za sobą jakby wprost w ścianę, wślizgując się w szczelinę uchylonych pod naporem jej barku sekretnych drzwi.

Znalazły się w zupełnej ciemności. Thalís, manipulująca przy sekretnych drzwiach - zapewne zasuwając rygiel - zdjęła dłoń z ust Natali, a ta natychmiast przeraźliwie krzyknęła. Szyderczy śmiech Stygijki przeniknął ciemność niczym trucizna miód.

- Możesz sobie krzyczeć, mała idiotko! Szybciej nadejdzie twój koniec!

Natala umilkła, słyhać było jeno dźwięczne dzwonienie jej ząbków.

- Cóżem ci uczyniła? Com ci uczyniła? Cóż zamierzasz?

- Zamierzam powlec cię, ty płakso, w dół tego korytarza. - Głos Thalís stracił swą głęboką melodyjność, stał się syczący, zły - gdzie sobie poleżysz, dopóki ktoś po ciebie nie przyjdzie, a zjawi się na pewno!

- O! Biada mi, biada! - szlochała Natala, a jej głos łamał się pod wpływem straszliwego przeczucia. - Jam cię nie ukrzywdziła! Przecz że ty mnie krzywdzisz?

- Chcę twego chwata, a ty stoisz mi na zawadzie. Podobam mu się, widziałam to w jego oczach. Gdyby nie ty, zostałby ze mną. Gdy ciebie nie stanie - mój będzie!

- Gardło ci pierwej poderżnie! - załkała Natala, pewna do ostatka swego barbarzyńcy.

- Ano, obaczmy! - roześmiała się Thalís, świadoma swego czaru i wpływu na męskie serca. - Ale tobie się nie dowiedzieć nigdy, czy on gardło mi poderżnął, czy w objęcia mnie wziął. Bo ty już będziesz narzeczoną tego, co wypęłza z otchłani!

Na pól oszalała z trwogi walczyła Natala o życie z zaciętością łasicy. Nie na wiele się to wszakże zdało, bo oto Stygijka porwała ją z niewiarygodną wprost siłą i niczym małe, niesforne dziecko niosła w dół korytarza. Natala, pomna złowieszczonego ostrzeżenia, nie krzyczała więcej. W głębokiej ciszy słyhać tylko było jej gwałtowny, spazmatyczny oddech. W pewnej chwili palce nieszczęsnej Brythunki dotknęły gęsto wysadzanej klejnotami rękojeści sztyletu, który Thalís nosiła za przepaską na biodrach. Biedna dziewczyna, niewiele myśląc, wyszarpnęła sztylet i na oślep pchnęła swoją dręczycielkę, wkładając w ów cios resztkę sił, jakie jej pozostały.

Thalís krzyknęła z bólu i wściekłości. Zachwiała się i wypuściła Natalę z rąk. Dziewczyna upadła na kamienną posadzkę, ale zaraz porwała się na nogi i przywarła do gładkiej ściany, jakby pragnęła w niej zniknąć. W ciemnościach nie dostrzegała Thalís, słyszała wszakże jej głos, co dobitnym było dowodem, że tamta żyje. Żyła istotnie i bluzgała wszetecznymi słowy, a taka w nich była furia, że kości Natali zmiękły jak wosk, a lodem ścięła się krew.

- Gdzieżeś się podziała, ty suko? - syczała jak kobra. - Niech no tylko dostanę cię w swoje ręce! - Opis cierpień, jakie jej zada, o mało nie zabił Natali, a język stygijskiej królowej byłby wywołał rumieniec na policzkach ostatniej kurtyzany w Aquilonii.

Thalis szukała czegoś w ciemnościach - i wkrótce błysnęło nagle światło, niewątpliwy dowód na to, że - zaślepiona wściekłością - zapomniała Stygijka o groźnym niebezpieczeństwie. W mżącej poświacie czarownego klejnotu, osadzonego w ścianie, ukazała się Thalís, przyciskająca ręką bok. Strumyczek krwi płynął przez jej palce, ale nie wyglądała na osobę ciężko zranioną, zaś w jej oczach płonął ogień śmiertelnej nienawiści. Ostatek ducha, jaki kołatał się jeszcze w Natali, zemdlał na widok skąpanej w nieziemskim blasku, dyszącej zemstą pięknej Stygijki, która właśnie z wyrazem pogardy na twarzy otrząsała z palców krople krwi i Natala mogła się przekonać, jak niegroźny zadała cios. Ostrze ześlizgnęło się po klejnotach, wysadzających pas, i zaledwie drasnęło skórę.

- Oddaj sztylet, ty mała żmijo! - przez zaciśnięte zęby wycedziła Stygijka, zbliżając się do skulonej pod ścianą dziewczyny.

Natala wiedziała, że walkę o swe życie powinna stoczyć właśnie teraz, że potem będzie za późno, wiedziała o tym, ale nie mogła wykrzesać w sobie nawet iskierki odwagi - zresztą nigdy się nią nie odznaczała - dygotała jeno, obezwładniona ciemnością, furią przeciwniczki, całą okropnością swego położenia. Thalís z łatwością wyjęła sztylet z jej omdlałych palców i odrzuciła go w ciemność.

- Kąsasz, ty suko? - wycięła Natali piekący policzek. - Kąsasz? A więc krew za krew! Pożałujesz zuchwalstwa!

Chwyliła ją za włosy i powlokła bliżej do światła. Żelazny pierścień tkwił w ścianie, a do pierścienia przywiązany zwisał sznur jedwabny. Jakoby w sennym koszmarze poczuła Natala, że zerwano z niej odzienie, podniesiono ją w górę za ramiona, które u nadgarstków skrępował mocny węzeł. Naga, wyciągnięta jak struna, ledwie koniuszkami palców sięgająca ziemi - zawisa niczym zając, z którego skórę mają ściągać. Z trudem wykręciła głowę i zobaczyła Thalís, zdejmującą ze ściany długi bicz o roziskrzonych klejnotami rękojeści, a zakończony siedmioma plecionkami z jedwabiu, twardszymi niżeli rzemień i bardziej odeń giętkimi.

Stygijka odetchnęła z głęboką rozkoszą, biorąc zamach szeroki - i siedem tnących płomieni owinęło się wokół lędźwi skamlącej z bólu Natali. Wiła się biedna dziewczyna, jęczała, usiłowała wyszarpnąć dłonie z krępujących sznurów, krzyczała, wyła - zapominając w cierpieniu o groźbie potwornej, czającej się gdzieś w ciemnościach. Okrutna oprawczyni najwyraźniej również o tym zapomniała, rozkoszując się wrzaskiem swej ofiary. Plagi, jakie otrzymała Natala na targu niewolników, były jeno niewinną pieszczotą wobec tych strasznych razów, jakie teraz spadały na jej delikatną skórę. Dotkliwsze od różeg brzożowych, bardziej jadowite od biczków rzemiennych, sznurki plecione z nitek jedwabnych, najokrutniejsze z narzędzi siepacza - ze złowrogim świstem przecinały powietrze.

Na pół przytomna Natala podniosła łzami zalaną twarz, aby po raz ostatni błagać Stygijkę o litość - i jęk zastygł na jej wargach, a w oczach pełnych męki pojawiła się nieopisana groza.

Wzniesiony do ciosu bicz jakby zwiotczał w powietrzu, gdy Thalís, uderzona wyrazem oczu swej

ofiary, obróciła się w miejscu, zwinna jak kocica, a przecie nie dość szybka! Przed zmartwiałymi oczyma Natali mignęło, porwane jakąś straszną mocą, białe ciało Stygijki, podobne białej mewie, znikającej w czarnej, ogromnej chmurze. Przeszywający krzyk przeciął ciszę - i chmura odpłynęła z kręgu światła.

Jeszcze tylko z mroków korytarza doleciały bełkotliwe, błagalne okrzyki Thalís, rozpaczliwe jęki, rozzwierające westchnienia, które nagle wzniosły się do strasznego krzyku, załamującego się następnie w szloch i histeryczny, dziki śmiech, a po nim dało się słyszeć gwałtowne sapanie i wszystko ucichło.

Zdrętwiała ze zgrozy Natalia próbowała przeniknąć wzrokiem ciemności, w których przepadła Thalís. Czowała, że czai się tam coś, co nie tylko jej ciału, ale i duszy zagraża. Zapomniała o bólu, wytyżając w mrok szeroko otwarte oczy. Wtem cicho zajęczała.

W ciemności poczynał się kłębić i wznosić jakiś olbrzymi, nieforemny kształt, a raczej bezkształt. Coś niby ciężki łeb, nieokreślona w swych zarysach plama, coś niby gigantyczny pysk ropuchy, ale rozplywający się jak mara w lustrze, coś niby dwie świecące próchnem dziuple, jakby oczy wielkie, łypiące, a w owych ni to oczach, ni sadzawkach trupiej poświaty dawała się wyczuć potężna, kosmiczna żądza, kłębiąca się w owej masie o płynnych konturach, pełzającej, pulsującej, podobnej do czarnego dymu, skłębionego, gęstego – a przecie cielesnej, substancjalnej, a nie eterycznej, na modłę ducha rozwianej. Ciało to było, nie mgła.

Nie wiedzieć, czy pełźnie owo coś, czy stąpa, czy przelewa się z kształtu w kształt, czyli frunie, nie wiadomo, jakim porusza się sposobem - a przecie się porusza, zbliża się. Już poświata, jaką prosił klejnot, padła na tę powierzchnię-niepowierzchnię, oświetliła owo coś, a właściwie nie oświetliła, bowiem ten cień skłębiony nie poddawał się światłu - i wówczas nawet, gdy znalazł się już na wyciągnięcie ręki przed twarzą Natali - gdyby ona, oczywista, mogła wyciągnąć rękę - nawet wówczas nie mogła rozpoznać szczegółów jego

powierzchni-bezpowierzchności, jedynie ropuszy pysk całkiem wyraźnie się rysował, ani wszelako oświetlony światłem, ani nie przeniknięty przez światło, jakby czarna plama na powierzchni własnego oka dziewczyny.

W jej głowie, ścierpniętej z trwogi, błysnęła myśl, że przecie musiała oszaleć - tak, ani chybi straciła zmysły, bo przecie nie jest możliwe, aby owo coś patrzyło na nią zarazem z dołu i z góry, żeby łypało jednocześnie z otchłannej głębi i zawrotnej wysokości - a tak właśnie było, owo coś patrzyło zewsząd. A przecie, widziała to zupełnie wyraźnie, ono było substancjalne, cielesne, a jeśliby nawet kłamał jej wzrok, to nie kłamało ciało, po którym przemknął nagle zimny, oślizgły dotyk ni to macki, ni to śluzowatego ślimaka, zimny, ale zarazem gorący, śliski, ale zarazem szorstki, inny niżeli wszystko, cokolwiek dotykało dotychczas jej skóry. Krzyknęła z obrzydzenia. W dotyku owym była cała sprośność, cała chuć, całe porubstwo, jakie zgromadziło się od początku świata w gnoju ziemskiej nieczystości. Ów dotyk przepalił ją takim wstydem i wstrętem takim przejął, o jakim nie miała dotąd wyobrażenia. Zalało ją morze wszechświatowego plugastwa i już wiedziała, że czymkolwiek był ów potwór, jakąkolwiek formą życia - nie był zwierzęciem.

Szaleńcze wycie dziewczyny rozdarło ciemność, gdy owo coś poczęło ciągnąć ją ku sobie,



brutalną mocą wprost rozrywając jej napięte do granic wytrzymałości ramiona - a wtem w górze dał się słyszeć trzask i jakaś zwarta masa przeszła powietrze, uderzając w kamienną posadzkę.

### 3.

Kiedy Conan Cymmeryjczyk ujrzał wyglądzający się gobelin, z dzikim rykiem cisnął się na ścianę, jakby chciał ją z posad wyważyć. Uderzenie tak było potężne, że z pewnością zgruchotałoby kości każdego innego człeka, ale barbarzyńca jeno odbił się od muru, zerwał gobelin i stanął przed litą powierzchnią. Rozwścieczony wznosił szablę, jak gdyby zamierzał porąbać, rozsiekać marmury, gdy wtem dźwięk jakiś za jego plecami sprawił, że obejrzał się, a ogień dzikiej furii płonął w jego oku.

Naprzeciw stało ze dwudziestu mężów w purpurowych tunikach, o żółtawych obliczach, i każdy dzierżył w garści krótki miecz. Gdy Conan odwrócił się - uderzyli nań, wznosząc gniewne okrzyki. Nie próbował łagodzić ich gniewu, nie usiłował niczego wyjaśniać, rozjuszony zniknięciem swej bogdanki był znów sobą - nieokiełznanym, dzikim barbarzyńcą.

Z rykiem krwiożerczego szału w spęczniałym furją gardle skoczył Conan Cymmeryjczyk i jego świszcząca szabla już odbiła miecz, rozłupała czaszkę i już z głowy pierwszego wroga wytrysnął mózg. Okręcając się zwinnie niczym kot, Conan ciął po raz wtóry - i oto pięść, zaciśnięta na rękojeści miecza, odrąbana od reszty ramienia, poszybowała łukiem w powietrze, ciągnąc za sobą, niczym kometa, warkocz krwi. Nawet przez ułamek ułamka sekundy nie trwał w bezruchu Conan barbarzyńca. Kocim zrywem ciała uchylił się, z obu stron napadnięty przez żółtoliczych rycerzy - i oto miecz jednego zagłębił się aż po jelec w piersi drugiego z nacierających.

Na ten widok Xuthalczyki wydali okrzyk zgrozy, zaś barbarzyńca zaśmiał się ochryple, tryumfalnie nurkując pod nowym ciosem i sam tnąc błyskawicznie w krwawej odpowiedzi. Siknęła szkarłatna struga i następny rycerz w purpurowej szacie zwałił się z jękiem na ziemię z okropnie rozplatanym brzuchem.

Xuthalscy wojownicy zawyli niczym stado wilków w pościgu za zwinną ofiarą. Nieprzywykli do walki, zaprawieni jedynie do lotosowych snów, sprawiali osobliwie nieporadne wrażenie, a ich ruchy zdawały się powolne niczym kapanie miodu w porównaniu z szybkim niczym żywe srebro barbarzyńcą, istną błyskawicą, w której mięśnie ze stali zespoliły się z mózgiem czujnym i sprawnym. Jego przeciwnicy, przeszkadzając sobie nawzajem, przepychając się i szamocąc we własnej niezdarności, zadawali ciosy albo zbyt wcześnie, albo za późno i przecinali mieczami jedynie puste powietrze. Zaś Cymmeryjczyk wirował, uskakiwał, zapadał się niepojętym sposobem w jednym miejscu, aby się za chwilę wyłonić w innym, zjawiał się i znikał, szybki jak myśl, nieuchwytnym był celem dla ciosów purpurowych rycerzy, a tymczasem jego zakrzywione ostrze każdym świstem wróżyło śmierć - i spełniało wróżbę.

Chociaż nieporadni, rycerze o żółtawych obliczach nie byli tchórzami. Roili się wokół barbarzyńcy, wrzeszcząc i siekąc krótkimi mieczami, a już i ze wszystkich stron, przez hakowate wejścia wpadali następni i następni, wyrwani z błogiej drzemki hałasem nigdy tu wcześniej nie słyszonym.

Conan, krwawiąc z rozciętej skroni, jednym potężnym zamachem straszliwego ostrza położył - niczym kosiarz zboże - wrogów wokół siebie - i rozejrzał się, szukając drogi, którą mógłby umknąć. W tej samej chwili na jednej ze ścian odchyliła się nieznacznie tkanina, ukazując ukryte za nią schody

i stojącego na nich męża w bogatej szacie, mrużącego zamglone oczy, jakby zbudził się dopiero co i jeszcze nie zdążył ze słodkiego pyłu snów otrząsnąć powiek. Cymmeryjczyk nie wahał się ani chwili.

Jeden tygrysi skok przeniósł go przez szczękający ostrzami mieczy okrąg i oto już rwał w kierunku schodów, a za jego plecami jazgotała napastnicza sfora. Trzech pożółkłych rycerzy zastąpiło mu drogę; trzy miecze, niczym letnie błyskawice, załśniły nad jego głową – i w tejże chwili opadły, roztrącone w ogłuszającym szczęku stali, zaś Cymmeryjczyk już wskakiwał na schody, a za nim wściekła horda potykała się na trzech leżących ciałach. Jedno nurzało się twarzą w okropnej kałuży z mózgu i krwi, drugie usiłowało dźwignąć się na rękach, na które lała się strumieniem krew z poderżniętego gardła, trzecie, skowycząc jak pies, przyciskało do siebie krwawy strzęp, co jeszcze sekundę temu był zbrojnym ramieniem.

Widząc barbarzyńcę, pędzącego do góry po marmurowych schodach, mąż w bogatej szacie oprzytomniał w jednej chwili - i oto w blasku promiennych kamieni załśnił lodowato miecz i ciął z góry na dół, lecz zanim ostrze zetknęło się z karkiem Cymmeryjczyka, ów pochylił się, nurkując pod ciosem, który nie uczynił mu żadnej krzywdy, jeno skórę przecinając na plecach, a w zamian Conan, uderzając z dołu z potężną siłą, jakby nie szablę dzierżył w dłoni, a rzeźniczy nóż - wraził ostrze w ciało tamtego.

Straszliwy był skutek pchnięcia, a impet jego tak wielki, że nie tylko szabla aż po gardę wbiła się w brzuch, ale i sam Conan, porwany potężnym zamachem, zderzył się z ciałem stojącego rycerza, odbił się odeń, wpadł na ścianę, strącając na łeb na szyję przeszycygo na wylot przeciwnika, zaś ów - spadając - rozpruł się na ostrzu ostrym niczym brzytwa od podbrzusza aż po mostek i runął - omotany własnymi wnętrznościami - na wspinających się rodaków, zbijając ich z nóg i porywając za sobą.

Na wpół ogłuszony barbarzyńca stał przez chwilę oparty o ścianę, dochodząc do siebie - po czym wściekle potrząsnął szablą ociekającą krwią, i pognał po schodach do góry.

Jeno na ułamek sekundy przystanął w komnacie na piętrze, upewniając się, że nie ma w niej nikogo, po czym biegł dalej. Na dole podniósł się tymczasem wielki lament i krzyk, przepełniony takim gniewem i rozpaczą, jakby ów mąż rozpruty był jakąś szczególną osobą, być może królem tego niesamowitego miasta.

Cymmeryjczyk pędził na oślep, byle przed siebie. Pragnął za wszelką cenę odnaleźć i oswobodzić Natalę, był bowiem pewny, że dziewczynie grozi niebezpieczeństwo, ale za plecami mając ową tropiącą go sforę nie mógł uczynić nic innego, jak tylko biec co sił w nogach, ufając, że pościg zgubi, a dziewczynę odnajdzie. W ciemnych lub słabo tylko oświetlonych komnatach górnego piętra pałacu rychło utracił wszelką orientację i rozeznanie w kierunkach, nic przeto dziwnego, że w pewnej chwili wpadł do sali, przez którą już był wcześniej przebiegał, a do której właśnie wpadali z przeciwnej strony jego prześladowcy.

Wrzasnęli na widok barbarzyńcy niczym opętani i pałając pragnieniem zemsty rzucili się nań, a on okręcił się na pięcie i pognał z powrotem - tak mu się w każdym razie wydawało. Nie była to wszelako droga powrotna, co zmiarkował, wpadając do przebogatej komnaty, tym się różniącej od innych pomieszczeń, że była zamieszкана, a jej mieszkanka zerwała się właśnie na nogi z okrzykiem zdumienia i przestachu.

Conan ujrzał przed sobą zupełnie nagą - jeśli nie liczyć drogocennych naszyjników - kobietę o skórze żółtawej, wpatrzoną w intruza szeroko otwartymi oczyma. Naga kobieta podniosła rękę i pociągnęła za jedwabny sznur wiszący na ścianie - oto było wszystko, co barbarzyńca zobaczył, z obrazem tej niewiasty w oczach lecąc w czarną przepaść, jaka rozwarła się nagle pod jego stopami tak niespodziewanie, jakby mu się ziemia usunęła spod nóg, na co nawet Cymmeryjczyk niewiele mógł poradzić, chociaż był szybki niczym sama myśl.

Nie spadł ze zbyt wielkiej wysokości i zapewne każdy inny człek, nie zbudowany jak on z wiązań stalowych i fiszbinu, przeżyłby również taki upadek, łamiąc sobie jeno na drobne kawałki kości udowe.

Padł niczym kot na cztery łapy, nie wypuszczając szabli z garści. Usłyszał dobrze mu znany płacz i szloch. Zerwał się na równe nogi, jako zrywa się ryś, wyszczerzając kły i sycząc złowrogo. I oto spod czarnej, zmierzwionej grzywy ujrzał Conan białą, nagą Natalę, wijącą się rozpaczliwie w pożądanym uścisku chmury czy zmory tak odrażającej, że zrodzić ją mogły jeno najgłębsze lochy piekieł.

Już sam widok straszliwego monstrum winien zmrozić krew Cymmeryjczyka. Tymczasem, w odróżnieniu od swej bogdanki, którą odraza i strach sparaliżowały - Conan zapłonął straszną wściekłością, mgła czerwona zakryła mu oczy, a szkarłatna żądza mordu zaćmiła mózg - i barbarzyńca ciął szablą stwora.

Ów porzucił swą ofiarę, zwracając się przeciw niespodziewanemu napastnikowi, którego potężny cios przeciął ze świstem powietrze, przeleciał przez czarne kłęby napotkawszy jeno opór kleistej mgły i zadzwieczał na kamiennej posadzce, miecąc snop błękitnych iskier. Wytracony z równowagi miękkością substancji, co nie stawiała jego szabli spodziewanego oporu, Conan aż przyklęknął. Gdy dźwigał się z kolan, owo coś, co było ni bestią, ni chmurą, siedziało mu już na karku.

Spiętrzyło się to ponad nim jak zdolna wcisnąć się wszędzie czarna mgła. Zdało mu się, że obejmują go i w siebie wchłaniają fale osobliwego płynu, które niczym galarete przenikało raz za razem ostrze szabli i które z łatwością przeorywał sztylet, szarpiąc i krojąc okropną substancję. Twarz zalewały mu potoki jakiegoś mułu, zapewne leniwej krwi potwora, którego furia wszelako nie słabła.

Barbarzyńca nie wiedział, czy odcina macki, czy inne jakieś członki straszliwego stwora, czyli też tnie ostrzami samo jego cielsko, scalające się wszakże na powrót w jednolitą masę. Miotany gwałtowną mocą owej szalonej walki miał chwilami wrażenie, że zmaga się nie z jedną, a z całym mnóstwem śmiertelnych istot, jednocześnie gryzących, drapiących, miażdżących, grzmocących, kłujących. Czuł kły i szpony, rozrywające mu ciało, czuł wiotkie, giętkie, a twarde przy tym niczym żelazo, ni to macki, ni to liany owijające się wokół jego ramion i nóg. Na domiar złego jakiś ogon z jadowitym zębem bezustannie zadawał ciosy - na podobieństwo skorpiona - to w plecy, to w pierś, to w kark, rozdzierając skórę i sącząc w żyły truciznę palącą niczym płynny ogień.

Przewalając się w śmiertelnych zapasach człowiek i potwór wytoczyli się z kręgu światła i walczyli dalej w zupełnych ciemnościach. Zażarty jak dzika bestia barbarzyńca wbił w pewnej chwili zęby w ciało swego wroga - i wnętrzności aż skręciły się w nim z obrzydzenia, gdy owo coś,

niczym żyjąca guma, w skurczach i piskach wyslizgnęło się z uchwytu jego szczęk.

W burzy dzikich zmagania staczali się coraz dalej w głąb korytarza. Od bólu i ran poczynala się mącić świadomość barbarzyńcy, i świszczący oddech wydobywał się spomiędzy jego zębów, obnażonych w grymasie wściekłości. W pewnym momencie ujrzał wysoko ponad sobą ogromny, ropuszy pysk, opromieniony mdłym światłem, które zdawało się zeń emanować. Zebrał Cymmeryjczyk resztki swych sił i z krzykiem ochrypłym skoczył - niczym wilczur do gardła - w ów pysk potworny. Aż po jelec zanurzyła się szabla i wstrząs konwulsyjny targnął masą spowijającą Conana. Skurcz wulkanicznej mocy zwarł i rozwarł koszarne cielsko, które nagle, z opętańczym pośpiechem, poczęło toczyć się w dół korytarza, unosząc ze sobą barbarzyńcę, co niczym buldog w podgardle bawołu, w ów pysk wczepiony był szablą, której wyszarpnąć nie mógł. Na wsze strony miotany, miażdżony, trzęsiony w lawinowym pędzie - nie pozostawał wszakże beczynny, wściekłymi ciosami sztyletu tnąc na strzępy rozedrganą masę.

Poczęła ona właśnie emanować z siebie jakiś dziwny fosforyczny blask, który oślepił Conana - gdy nagle ów poczuł, że przeszywane drgawkami, kłębiące się cielsko gdzieś znika, zaś ręka szablę ściskająca - zawisa w próżni. Barbarzyńca uzmysłowił sobie, że leży na oślizgłej, kamiennej krawędzi jakiejś bezdennej studni, w której głąb spada, świecąc niczym meteor, cielsko potwora. Przywarł do mulistej płyty i wpatrywał się jak urzeczony w coraz to mniejszą i mniejszą świecąca kulę, ku której z bezdni poczęła się podnosić, jakby na spotkanie, ciemna błyszcząca powierzchnia, pochłaniając wreszcie fosforyczny punkt. W mrocznych głębinach migotały przez chwilę jakieś błędne ogniki, po czym zgasły i one. W czarnej otchłani zapanowała martwa cisza i nieprzenikniona ciemność.

## 4.

Natala resztkami sił próbowała nadaremnie oswobodzić się z więzów, wrzynających się boleśnie w przeguby jej rąk. Gasnące spojrzenie topiła w ciemności, jaka zalegała za kręgiem poświaty. Tam zniknął Conan, szczepiony w śmiertelnym uścisku z demonem – i dziewczyna, wyteżając słuch, mogła słyszeć przez czas jakiś sapanie barbarzyńcy, świst i łomot ciosów, a wreszcie cichnący niczym lawina schodząca z gór hurkot i szum - po czym zapanowała cisza głucha i martwa. Głowa Natali opadła na piersi, ciało zawisło bezwładne, zemdlone.

Ocknęła się na odgłos kroków. Podniosła oczy i ujrzała wynurzającego się z mroków Cymmeryjczyka. Okropny jęk radości zarazem i zgrozy wyrwał się z jej spuchniętych, zaschłych ust i echem wypełnił beczkowate sklepiony korytarz. Litość brała na widok zmaltretowanego, broczącego krwią barbarzyńcy. Twarz jego była jak jeden spuchnięty, krwawy siniec, zupełnie jakby ktoś walił w nią długo obuchem. Krew z rozciętej głowy zalewała oczy, wargi miał pomiażdżone, uda, łydki i ramiona porzniete głębokimi cięciami, a całe ciało czarno-sine od twardych zderzeń z kamienną posadzką. Najgorzej wszelako ucierpiały jego kark i pierś, szerniałe, spuchnięte, poszarpane, jakby darto zeń pasy i obnażone mięśnie sieczono stalowym biczem.

- Ach, Conanie! - łkała Natala - całyś w ranach!

Opuchłe wargi Cymmeryjczyka wykrzywił grymas pogardliwego lekceważenia dla własnych ran. Dyszał ciężko, a owłosiona lśniaca od potu i krwi pierś podnosiła się i opadała niczym miech kowalski. Z najwyższym trudem sięgnął do jedwabnych pęt, krępujących nadgarstki Natali. Przeciął je sztyletem i śmiertelnie wyczerpany oparł się o ścianę, szeroko rozstawiając drżące nogi, by nie upaść. Natala przytuliła się doń i gorzko płakała.

- O, Conanie! Tyś raniony śmiertelnie!

- Nie sposób - zamruczał cicho - walczyć z demonem i nie zaznać rany.

- Tyś go zabił? - zapytała z trwogą. - Zabiłeś go, Conanie?

- Nie wiem. Wpadł do jakiejś studni. Nie wiem, czy ima się go stal.

- Och, twoje plecy! - załamała dłonie. - Okropnie są poranione!

- To ta macka - skrzywił się z bólu. - Cięła jak bicz ze stali, paliła niby ogień. Ale najgorszy był jego uścisk, niczym stu pytonów. Gotówem się założyć, że nie mam ani jednej kiszki na miejscu.

- I cóż my teraz pocniemy? - szlochała dziewczyna.

Spojrzał w górę. Kłapa zapadni była zamknięta. Żaden odgłos stamtąd nie dobiegał.

- Sekretnymi drzwiami wracać nie możemy - mrucał. - Pełno tam trupów i straż pewnie trzymają. Myślą, że z nami już koniec, albo boją się zapuszczać w te korytarze. Wydłub no ten świecący kamyk. Gdym tu szedł, namacałem w ścianie wyloty bocznych korytarzy. Pójdziemy pierwszym z brzoza.

Gnić tutaj przecie nie będziemy.

Ze świecącym klejnotem w lewej i z szablą ociekającą krwią w prawej ręce Cymmeryjczyk ruszył w dół korytarza. Szedł wolno, z wielkim trudem. W jego przekrwionych oczach malowało się tępe cierpienie. Co chwila zwilżał językiem spieczone wargi.

Po pewnym czasie w nikłym świetle ukazał się czarny otwór, w który Conan skręcił bez wahania. Ile czasu posuwali się tak krok za krokiem, prowadzeni przez czarny tunel, oświetlony jeno bladym świetlikiem klejnotu - Natalia nie wiedziała. Dotarli wreszcie do wysokich schodów, wdrapali się na nie i stanęli przed kamiennymi drzwiami zaryglowanymi złotą zasuwą.

Dziewczyna z wahaniem spojrzała na chwiejącego się na nogach olbrzyma, w którego dłoni osłabłej drżało światełko, kołysząc w tę i z powrotem ich ogromnymi cieniami na kamiennym sklepieniu.

- Otwierajże, dziewczko! - wybełkotał Conan. - Tam nas czekają. Na Croma! Złożę ofiarę, o jakiej nie słyszano w tym mieście.

Zrozumiała, że majaczy. Wyjęła z krwawej dłoni barbarzyńcy świecący klejnot, wyciągnęła złoty bolec i odsunęła zasuwę. Ujrzała podszewkę złocistej tkaniny. Odsunęła ją ostrożnie i z sercem w gardle zerknęła do wnętrza. Komnata, którą zobaczyła, była pusta, tylko pośrodku szemrała srebrna fontanna.

Ciężka dłoń barbarzyńcy spoczęła na jej nagim ramieniu.

- Na bok, dziewczko - wymamrotał. - Będzie tu rąbanina.

- Nie masz tu nikogo - uspokoiła go. - To woda szemrze.

- Woda - oblizwał szerniałe wargi - przeto napijmy się przed śmiercią.

Ujęła go za rękę i ostrożnie stąpając poprowadziła, niczym ślepeca, ku srebrnej fontannie, z drżeniem serca czekając, kiedy zewsząd wpadną rycerze w purpurowych tunikach.

- Ja dam baczenie, a ty pij - wymamrotał Conan.

- Nie, jam nie spragniona. Legnij tu, obmyję twe rany.

- Nie słyszę szczęku ich mieczy - zdziwił się, ramieniem trąc oczy, jak gdyby usiłował zedrzyć zaćmę.

- Nie masz tu nikogo, Conanie.

Macając przed sobą rękoma, pochylił się i zanurzył twarz w kryształowej strudze i pił, pił, jakby nigdy nie miał przestać pić. Gdy podniósł wreszcie głowę, w jego oczach już nie było szaleństwa. Z ulgą wyciągnął na posadzce swe potężne członki, ale szabli z dłoni nie wypuścił i wyraz czujności nie schodził z jego zmasakrowanej twarzy. Przemywała poszarpane rany, najgłębsze bandażując

pasami z jedwabnej zasłony, którą rozdzierała. Pochłonięta swą delikatną pracą nie przestawała wszelako ani na chwilę szukać sposobu ratunku. Gdyby tutaj pozostali, mogą zostać odkryci. Nie wiedziała przecie, czy Xuthalczycy tropią ich, czy zapadli już w swoje sny.

Obmywszy rany Cymmeryjczyka, Natała podniosła głowę - i zamarła. W alkowie, której uprzednio nie postrzegła, w szczelinie zasłony dojrzała coś do ręki ludzkiej podobnego, woskowego.

Jak najciszej, by nie obudzić podejrzeń Cymmeryjczyka, ujęła rękę sztyletu i podkrađła się do alkowy. Błagając serce, aby ciszej biło, powoli odsuwała zasłonę. Naga, żółtawa kobieta spoczywała na podwyższeniu o kształcie katafalku, a za nią, tuż obok jej ramienia, stał nefrytowy dzban, pełen dziwnego, złocistego płynu. Był to zapewne ów cudowny eliksir, o którym mówiła Thalís. Natała przechyliła się ostrożnie, sięgnęła ponad śpiącą, ostrzem sztyletu niemal dotykając jej piersi - i chwyciła dzban.

Obejmując ramieniem drogocenne naczynie, zastanawiała się, czy nie powinna śpiącej pogrzyść w śnie wieczystym, aby raz na zawsze zapobiec możliwości wzniecenia przez nią alarmu - nie mogła się wszakże zdobyć na zanurzenie sztyletu w łonie nieznajomej, zaciągnęła przeto na powrót zasłonę i powróciła do leżącego na posadzce Conana, na wpół jeno świadomego.

Pochyliwszy się przytknęła dzban do warg barbarzyńcy. Pił posłusznie - ale wnet dziwnie się ożywił, jakby wielce zasmakował w owym napoju, wyjął naczynie z rąk dziewczyny i usiadł.

- Na Croma! Skądże masz ten cudowny płyn?

- Stał w tej alkowie - wskazała ręką. - Spoczywa tam jakaś uszpióna hurysa.

Conan znów przechylił dzban i pił łapczywie.

- Na Croma! - westchnął głęboko. - Czuję ogień w żyłach! Nowe siły we mnie wstępują! Toż to pewnie ów eliksir, owo wino cudowne!

Porwał się na równe nogi.

- Wracajmy tam, Conanie, wracajmy do tego korytarza, dopóki nie wydobrzejesz!

- Przenigdy! - zawołał barbarzyńca. - Czyśmy szczury, by kryć się po norach? Odejdziemy z tego przeklętego miasta i niech no tylko ktoś spróbuje stanąć nam na drodze!

- A twe rany?

- Nie czuję już mych ran! - rzekł rażno. - Moc to może złudna, co z tego wina płynie, ale zaprawdę nie czuję już bólu!

Podszedł do okna, którego Natała w ogóle uprzednio nie zauważyła. Zerknęła ponad jego ramieniem. Orzeźwiający wiatr poruszył jej jasne loki. Ponad nimi wznosiło się ciemne, aksamitne niebo, usiane gwiazdami. Pod nimi szarzała głucha, bezkresna pustynia.



- Mówiła Thalís, że to miasto jest jednym wielkim pałacem - przypominał sobie Conan - przeto i w basztach na murach muszą się mieścić komnaty. I to właśnie taka komnata. Nie omylił nas dobry los.

- Co zamýślasz? - spytała z obawą w głosie.

- Tam na stole stoi kryształowy' dzban - rzekł zamiast odpowiedzi. - Napełnij go wodą i mocno owiąz paskiem owej zasłony, tak, by było za co uchwycić. A ja ukroję kęs owych obić jedwabnych.

Uczyniła, jak kazał, a gdy głowę podniosła, on właśnie wiązał skrócone pasma jedwabiu w długą linę, której jeden koniec przymocował do nogi masywnego stołu z kości słoniowej.

- Poszukamy szczęścia na pustyni - oznajmił barbarzyńca. - O dzień drogi stąd jest przecie oaza, a jeszcze dalej owe bujne łąki. Tam się zatrzymamy, bym wylizał rany. Zaiste, to wino jest płynem czyniącym cuda! Niedawno byłem półtrupem, teraz góry mógłbym przenosić! Okryj się czymś.

Natala zapomniała, że jest zupełnie naga, nie miała zresztą nic przeciwko temu, ale przecie żar i skwarne słońce mogłyby zniszczyć jej białą pleć, spowiła więc swą kibić w jedwabną szmatkę. Cymmeryjeżyk tymczasem podszedł do okna i z pogardliwą łatwością wyłamał miękkie, kute w złocie kraty. Biodra Natali opasał następnie jedwabna liną, zawiązując ją w pętlę, po czym przeniósł dziewczynę ponad zielonkawym parapetem, tak że zawisła jakieś trzydzieści stóp ponad ziemią, i z wolna opuścił na dół. Gdy tylko dotknęła stopami piasku i wyslizgnęła się z jedwabnej pętli, Conan wciągnął sznur, przywiązał doń dzban z wodą i winem - i już po chwili stały obok dziewczyny, a po sznurze wzdłuż szklistego muru zsuwał się Cymmeryjeżyk.

Gdy sięgnął ziemi, Natala odetchnęła z ulgą. Stali oto ramię przy ramieniu u stóp potężnego muru, samotni pod gwiezdny sklepieniem, otoczeni zewsząd piaskami pustyni. Jakież jeszcze niebezpieczeństwa czyhają na nich - nie wiedziała dziewczyna, ale teraz jej serce śpiewało z radości, bo cało przecie wyszli z tego upiornego miasta.

- Jeśli znajdą linę, mogą ruszyć w pościg - mruknął Conan, przewieszając przez ramię oba związane ze sobą dzbany. Skrzywił się, gdy zetknęły się z jego obolałym ciałem. - Tuszę wszelako, że nie wyjdą z miasta. Tam droga na południe. Ruszajmy.

Z czułością niespotykaną u tego barbarzyńcy ujął Natalę za rękę i ruszył przed siebie, dopasowując swe wielkie kroki do małych kroczków dziewczyny. Nie oglądał się za siebie na zimno błyszczące pod wysokimi gwiazdozbiorami miasto Xuthal.

- Powiedz mi, Conanie - zdobyła się na odwagę Natala - gdyś walczył z potworem, a potem szedł tym czarnym korytarzem, czyś nie widział gdzie Thalís?

- Było ciemno zupełnie, widzieć jej nie mogłem, alem drogę macał przed sobą i wiem, że tam nikogo nie było.

- Dręczyła mnie ona - szepnęła Natala - a jednak żal mi tej dziewczyny.

- Zgotowali nam gorące przyjęcie w tym przeklętym mieście - prychnął gniewnie barbarzyńca, ale

zaraz odzyskał humor. - Założę się, że zakarbują sobie dobrze naszą wizytę. Sprzątanina czeka ich moc. Mózgi i kiszki walają się na marmurowych kafelkach, a ów bóg Thog, jeśli jeszcze żyje, gorzej ode mnie pokiereszowany. Przyznać trzeba, żeśmy mieli szczęście. Oto mamy wodę i wino, i wiemy, gdzie szukać oazy. Jam co prawda poranion, a tyś oćwiczona...

- Twoja to wina! - zawołała. - Gdybyś się tak nie gapił na tę stygijską kocicę...

- Do stu demonów! - zaklął. - Czyż trzeba końca świata, by dziewczka zapomniała o zazdrości? A czym to ja kazał tej Stygijce, aby rozmiłowała się we mnie? Toż to niewiasta jeno była!

## SPIS TREŚCI

Od wydawcy

Era Hyboryjska (część I)

Dom pełen łotrów

Córa lodowego olbrzyma

Królowa Czarnego Wybrzeża

Narodzi się wiedźma

Pełzający cień